NIEZAPOMINAJKI.

ZA POZWOLENIEM CENZURY.

Nakładem Wydawcy.



Drawn by R. Westall R.A.

Engraved by R. Brandard.

NIEZAPOMINAJKI

NOWOROCZNIK

NA ROK

1838.

WYDANY

przez

Karola Korwella.

Z PIĘCIĄ RYCINAMI I MUZYKĄ.



W WARSZAWIE.

W DRUKARNI PRZY ULICY RYMARSKIÉJ N° 744.

Niezapominajki.

Przy końcu lichego sioła
Stoi samotna lepianka;
Wiatr szparami dmie dokoła;
Wewnątrz, wdowa, jéj mieszkanka,
Gronem dziatek otoczona,
Napół smutna, napół rada,
Cała w myślach pogrążona,
Zawiniątko małe składa.

Dar ten, jedyny, ubogi,
(Na większy wdowę nie staje)
Razem z świętemi przestrogi,
Najstarszéj córce swéj daje,
Coby zebrać groszy parę,
Niemi matkę wspomódz w biédzie,
Zrobiła z siebie ofiarę,
I wśród obcych służyć idzie.
Halina, w kornéj postaci
Schyla się matce pod nogi,
Żegna siostry, ściska braci,
I rodzinne rzuca progi.
Staruszka smutna, lecz stała,
Długo idzie wraz z dziewicą;
Dzień już znikał, noc padała
Gdy stanęły nad krynicą,
Co wieś przedziela od miasta.
— »Tu się nam rozstać wypada"
Rzecze sędziwa niewiasta;
— »Lecz jeszcze ostatnia rada,
Posłuchaj córko kochana!
Jak znosić smutki, strapienia,
Jak w niedoli chwalić Pana,
To już umiesz z doświadczenia.
Lecz gdyby święte wyroki,
Gdyby mądra wola Boga

Zlała na cię łask potoki,
Gdybyś, tak dzisiaj uboga,
W dostatki opływać miała,
Nie łudź się chwałą pozorną!
Jak w nieszczęściu byłaś stała,
Tak w bogactwie bądź pokorną." —
Dziewica, łzami zalana,
Oczy do nieba podnosi,
Ściska staruszki kolana,
I jeszcze, jeszcze ją prosi
O dar jaki, choćby mały,
By ostatnie matki słowa
Wiecznie jéj w sercu zostały.
Lecz ileż ta prośba nowa
Kłopoce wdowę w téj dobie!
Oddalona od mieszkania,
Cóżby mogła mieć przy sobie?
Gdyby jaką część ubrania?
Lecz wszystko dała Halinie;
Teraz, choć najlichszy płatek,
Potrzebny drobnéj rodzinie.
Cóż więc da?.... oto ten kwiatek
Maleńki, blado-niebieski,
Co nad brzegiem strugi rośnie,
A wieczornéj rosy łezki
Tak przejrzyście, tak radośnie

Na nim błyszczą.—»Niech ten datek
Przestroga matki uświęci;
Ten skromny, niewinny kwiatek,
Niech będzie kwiatem pamięci!”—

* * *

Minęło lato i zima;
Wiosna rozwinęła drzewa;
Od Haliny wieści niéma!
Wdowa codzień się spodziewa;
Codzień, klęcząc błaga Boga,
Aby jéj objawić raczył,
Czy żyje jéj córka droga?
Czy jéj szczęsny los przeznaczył?
Czy zawsze dobra, cnotliwa,
Pobożne rady pamięta?
Lecz próżno niewiasta tkliwa,
Głębokiém czuciem przejęta,
Płonną nadzieją się zwodzi;
Wiosna przeszła, lato ginie,
Mroźna zima znów nadchodzi,
Ani słychać o Halinie!
Raz, gdy wicher wył po błoni,
Staruszka tęskna, wybladła,
Z wrzecionem w strudzonéj dłoni,
Przy bladém ognisku siadła.

W izbie młodych dzieci koło
Wśród żwawych pląsów się snuje,
Śmieją się, skaczą wesoło,
A matka dla nich pracuje
I myśli: — o! gdyby teraz
Moja Halina tu była! ....
Może też i ona nieraz
Żałuje, że nas rzuciła.
Może nędza, może zbrodnie
Znękały duszę jéj młodą,
Lub może w zbytkach, niegodnie
Swoją się pyszni urodą! ....
Wtém u drzwi zniszczonéj chaty
Śnieg zaskrzypiał pod kołami,
I powóz, świetny, bogaty,
Oświetlony latarniami,
Stanął przed nią; stopnie spadły,
Młoda pani po nich zbiegła;
Lica wdowy mocniéj zbladły,
W pani...... córkę swą spostrzegła.
— »Czego chcesz?" rzecze jéj smutnie:
— »Czemu stare moje lata
Tak mi zatruwasz okrutnie?
Ten powóz, ta świetna szata,
O! to wszystko mi dowodzi,
Żeś się zrzekła matki, cnoty!

Cóż jéj stratę dziś nagrodzi!
Kto powróci wiek twój złoty!"
— »Matko!" zawoła dziewica:
— »Niechaj ci moje dostatki
Smutkiem nie powłóczą lica!
Patrz! oto jeszcze te kwiatki,
Co w dniu naszego rozstania
Rosły nad wodą, przy drodze,
Coś mi, w chwili pożegnania,
Przy świętéj dała przestrodze.
Ja, twe słowa wzięłam w serce,
Przy sercu złożyłam kwiatki,
I po długiéj poniewierce
Czystą wracam do twéj chatki!"
— »Jak to?" — »Tak! ciężką i długą
Nędzę cierpiałam w milczeniu;
Lecz kwiat zerwany nad strugą
Cieszył mnie w każdém strapieniu,
A ostatnie twe wyrazy
Zawsze w mojém uchu brzmiały,
I jakieś dziwne obrazy
Przed moją myślą stawały;
Aż nakoniec, z długiéj drogi,
Mojéj pani syn jedyny
Powrócił w domowe progi.
Poznał serce twéj Haliny,

Widział, jak płakałam skrycie,
Jak, nad wszystko ceniąc cnotę,
Przykre jednak wiodłam życie:
I..... za żonę wziął sierotę."

— »Dzięki niebu!" — »Matko miła
Dar twój wspiérał moje chęci;
Nierazbym może zbłądziła,
Gdyby nie kwiaty pamięci."

Paulina K....

GWIAZDY.

Świéćcie mi, świéćcie, oczy aniołów!
Gwiazdy! prowadźcie dziecko padołów
    Przez krzywe ściezki, śród burz.
W pasma mych uczuć wpleććie promyki,
Wciągajcie duszę w wasze tajniki,
    Jak księżyc wody przyciąga mórz.

Nieraz gdym serce gubił w rozumie,
Wikłał w pojęciach, zatapiał w dumie,
    Do was bieżałem po sąd.
Jeśli mi lądy za ciasne były,
Ku wam wzrok rzucić zebrałem siły,
    I znów przestrone serce i ląd.

Świeckiej roskoszy spętany szałem,
W czczości przesytu ku wam spójrzałem,
    I oczyściłem się z plam.

Wszak tajemniczy napis w tle nieba:
Niebo w swéj duszy rozkochać trzeba,
Kto ją chce posłać do niebios bram.

Gdym w księgach dzieje wartował ludów,
Oko mgłą zaszłe z niewczasu, — trudów,
Nurzałem w gwiaździstą noc;
J zaraz jasność mię opłynęła,
Widomie stały minione dzieła,
I pojmowałem słów bożych moc.

Dzisiaj — o gwiazdy! blask się wasz cieni,
Piękniejsząm gwiazdę znalazł na ziemi,
I już nie patrzę do was;
Bo w jéj spójrzeniach strop wasz odbity,
W boskich jéj myślach wasze błękity,
Przy niéj wiecznością znikomy czas.

Świeć-że mi gwiazdo! — w ócz twoich blasku,
Jak na dziecięcym pobiegę pasku,
Śród serca tęsknic i burz;
W pasma mych uczuć wpleć twe promyki,
Przyciągaj duszę w swoje tajniki,
Jak księżyc wody przyciąga mórz.

L. S.

***

CHŁOPCY.

Stara Gawęda

Z XVII WIEKU.

(Z miejscowego podania)

« Stara powieść dobra, stanie za stary miód."
Przypowieść z XV wieku.

I.

Na wyniosłem wzgórzu, nad brzegami Narwi, wznosił się dw.r drewniany, z mocnego budowany dębu. Był on zwyczajnego kształtu, jak wszystkie dwory zamożnej naszej szlachty: zewnątrz bez wytworu; wewnątrz dopiéro zasłany drogiemi makatami, kobiercami i rzeźbą. Słusznie wyrzekł jeden z Nunciuszów Papiezkich, nazywając takie dwory »*stosem drew suchych*" do których zawsze z oba-

wą wstępował cudzoziemiec, a krajowcy wesoło w nich żyli. (*) Prowadziła doń droga szeroka, wysadzana po obu stronach cienistemi lipami. — Za dworem bieliły się na wiosnę kwiatem, jabłonie, stare grusze, i sławne węgierskie śliwy: a w jesieni uginały rosochate konary, pod ciężarem smacznych owoców. Sad ten nie wiele miał ozdób: szpaler strzyżony lipowy, użyczał chłodu w skwar słoneczny, a kilka kwadratów wysadzanych bukszpanem i zasianych kwiatem, były całém upiększeniem małego pod oknami tarasu. Bukszpan ten nietylko do ozdoby służył: gdy przyszła Wielkanoc, niemało go narwano, by umaić babki, mazurki, drób' tłusty, słowem całe święcone.

Jeżeli nie był dwór ten, ani ogród, wielce zajmującym, za to we środku wiele zawierał obszernych komnat, a ozdobnych nie mało. Z dużego ganku, wielkie drzwi prowadziły do rozległéj gościnnéj izby: nad niemi wznosił się chórek, mogący do dwudziestu grajków pomieścić; szerokie i wysokie ściany

---

(*) Malaspina, włoch, Bolończyk, przybywszy do dworu pana jednego, a widząc gmach pięknie zbudowany, powiedział: „że nigdy nie widział piękniéj drew ułożonych." Gdy zaś po wieczerzy, z wielą świéc lanych do tegoż domu był przyprowadzony, niechciał wnijść w ono mieszkanie, i ze świecami tam chodzić nie kazał, powiadając: że między taką kupą drzew i tak suchych niebezpieczno z ogniem." (*Co nowego abo dwór Mauryciusza Trzyptyckiego* — broszura z XVI wieku)

okrywał adamaszek pąsowy, w srébrne kwiaty, których blasku i świeżości dziesiątek lat nie zepsuł; na środku stał stół dębowy, z tak grubemi nogami, żeby się nieugiął pod rycerzem w całéj zbroi, choćby nań z koniem zbrojnym skakał. — Bogaty kobierzec perski okrywał go niezupełnie, bo ozdobna po bokach rzeźba i grube nogi z mosiężnemi floresami, dostrzegł każdy wchodzący. Cztery ławy długie, skórą czarną obite, a na to okryte adamaszkiem pąsowym, i kilka krzeseł, w którychby ze trzy osoby naszego pokolenia wygodnie zasiadło, kończyły sprzęty téj izby. Do ozdób należy policzyć we środku zawieszony, u modrzewiowéj belki, wielki pająk, w którym sto świéc jarzęcych blask rzucało, czy za zjazdem wrzaskliwego kuligu, czy w czasie imienin lub urodzin pana i pani domu, lub którego z dzieci, a miał ich pan domu niemało, bo siedmioro żyjących, a drugie tyle w grobie swych przodków pochował.

Do izby gościnnéj przytykały dwie komnaty obszerne, równie bogato na ścianach adamaszkiem żółtym i niebieskim w kwiaty przybrane: za temi ciągnął się rzęd izb, sypialni z nyszami i alkówek, w których mieścił się *pan Adam* (tak go zwyczajnie sąsiedzi nazywali), jego małżonka, sześciu dorostków synów, z których najmłodszy 29 lat liczył, i córka w dwudziestym roku, któréj obecnie wyprawiano wesele z całym przepychem i zwyczajami, jakich

już dzisiaj nikt nie zobaczy, i dzisiejsze pokolenie nie zna nawet, jakto niegdyś ich babka zabierała się do tego stanu.

Już było po ślubie i obfitym obiedzie, sto świec z żółtego wosku rozlewało światło z pająka na izbę gościnną, gdzie zebrano już ze stołu, w podkowę zastawionego. Dwudziestu grajków odświeżało gardło na chórku, a gospodarz siwy, z puharem w ręku, otoczony męzkiém pokoleniem, zachęcał do spełniania wiwatu, i pomagał ochoczym gościom pieśń dawną nucić:

Kiedy się nam pora zdarza
I taka doba,
Pijmy zdrowie gospodarza,
Co się podoba.

Pijmy zdrowie gospodarza
Choćby do rana,
Mości panie bracie szlachcic
W ręce Waspana!" —

Kapela (jak nazywano grajków) wtórowała pieśni, i wystrzały ze szwedzkiej szmigownicy długiéj a żelaznéj, co stara i zardzewiała leżała na spróchniałych lawetach, przy bramie z herbem pana Adama. Do téj pieśni dodawały niekiedy z cicha głosu, powa-

żne matrony, siedzące na adamaszkowych ławach, obok cór nadobnych. (*)

Niebrakło jadła, i węgrzyna nawet: wszystkiego był dostatek, a jednak wśród ochoty i gęstych puharów, z litością spoglądali sąsiedzi na sześciu dorosłych synów pana Adama, którzy w przetartych kapotach patrzali na skinienia ojca, podając mu, to kielichy, to gąsior z węgrzynem; nawet wśród pijatyki, tak powszechnéj dawniéj, synowie, gdy ojciec podchmielony raczył pić do którego: *do Waci Janie i Stanisławie! — do Waci panie Józefie! — do Waci smyku Malcherze!* tak bowiem najmłodszego nazywał, wówczas dopiéro każdy z wymienionych podnosił się i wychylał nalany puhar.

Dziwiło to najwięcéj tych gości, którzy raz pierwszy dwór pana Adama odwiedzili; sąsiedzi bowiem okoliczni i przyjaciele tego domu wiedzieli, z jakiém sknérstwem wychowuje synów, chociaż na kupno beczek węgrzyna nie żałował nigdy, i zawsze gościa przyjął dostatnie i ochoczo.

Nigdy więcéj żadnemu niesprawił nad jednę kapotę roczną; a kaftan łosi musiał sześć lat jednemu

(*) Gdy chciano gęste po obiedzie przerwać kielichy, śpiew ulubiony zaczynały niewiasty, wtenczas i mężczyzni, rozmarzeni, jak mówi Miaskowski (*Zbiór rytmów* 1622 *r.*)

„Powtarzają słowa
„Które śpiewa powoli gładka białogłowa!"

służyć, nim się nowego doczekał, a stary na czeladź oddawał. Gdy sprawiał któremu nowy kaftan, zawsze mówił: „Wać pamiętaj, że to ubiór nie lada; mój dziad a wasz pradziad, będąc dworzaninem, otrzymywał to za barwę, (*) i za prawdę wygodna szata, bo choć co i z wąsa spadnie, łatwiej plamę wywabić, niż z teraźniejszych sukien włoskich i owego *per cento* (**), co bez wstydu w oczach, już teraz i szlachcic na jednej zagrodzie do swego stroju używa. »Masz Wać nowy kaftan, a jak plama, to wiesz co cię czeka, z wszelką estymą dla krwie tak zacnej, na kobiercu plag pięćdziesiąt."

A po takiej przemowie synek najstarszy, w 36 roku, z ogromnym sitarskim wąsem, i pięciu braciszków zarosłych, z uniżonym pokłonem, odbierali od ojca

(*) „Pomnę ja w Polszcze gdy barwę dawano,
Żupany łosie, a długo ich miano,
Bo choć nań z wąsa co takiego spadnie,
Przecież to z skóry może wytrzeć snadnie."
(Biesiady rozkoszne Baltyzera z kaliskiego powiatu 1684 *r.* in 4⁰*)*

(**) Marcin Bielski, zasłużony kronikarz, w poemacie osobliwej rzadkości pod napisem: *Rozmowa nowych proroków dwu baranów o jednej głowie. w Krakowie* 1587 roku in 4to narzekając za swoich czasów na wielki wpływ Włochów i ich zdzierstwo, wspomina owe sukno *per cento*:

„*Falendyszem* przezwali (Włochy) włoskie sukno drogie,
Aby chytrze szaleli Polaki ubogie,
Dla prałatów *per cento* drugie sukno zowie,
Aby tak wyłudzali pieniądze Włochowie."

podarki w szatach, w dzień nowego roku. Ileż było obawy i trwogi, gdy który splamił kapotę albo kaftan (w którym chodzili, kiedy gości nie było, a kapotę na święto zachowywali), już się nieprędko przed obliczem groźnego ojca ukazał; siedział dopóty na folwarku, dopóki staraniem połączonem szafarki i starego kredencerza plamy nie wywabiono.

II.

Pod władzą surowego starca jedyną ich bylo rozrywką, łowy; rzadko z nich który odwiedzał sąsiadów, bo wstydził się lichego ubioru, a nie miał za co lepszego sprawić; szkatuła przecież pełna złota, i kufer z workami niemal z każdego roku nowo wybitych talarów, spoczywały w apteczce obok sypialni pana Adama,

Apteczka ta, byłato kwadratowa izba o jednem oknie, z mocnemi żelaznemi kratami, a bez pieca. Chłód ten był potrzebny dla dużej szafy, w której konfitury, powidła, pierniki, śliwki suszone na drewienkach, gruszki nadziewane, suszone jabłka, w niemałych były ustawione słojach. Wyższe półki zajmowały rozmaitego gatunku wódki: ratafije i likwory; w najniższych, stały małe słoiki z lekarstwami domowemi; było tam sadło zajęcze i borsucze, tłustości z królików i bocianów, psie, niedźwie-

dzie, wilcze i lisie, wody marcowe i ze śniegu, dryakwie z wszelkich gadów, octy rozmaite, wyciski z ziół różnych, powidła bzowe i ziółka jakie wonczas na wszelkie słabości używano. W worku ze skóry łosiej, troskliwie zachowywany był kawał z czoła żubrzego skóry, ów inkluz dla ciężarnych kobiet, i zawieszony między dwoma jeleniemi rogami, które przybito na środku wielkiej szafy. Słowem była to jedna z onych starożytnych apteczek, które nam żyjący opisuje poeta: (5)

„Na lewem skrzydle pokój pobielany.
Mniejszych i większych szafek szereg długi;
Rzędem przybite tarcice do ściany,
Pułki, szuflady, szkatułki, framugi;
W szafkach lekarstwa, i maście, i zioła,
I gdańska wódka, toruńskie pierniki;
A wszystek zarząd, cały ład dokoła,
Porządkiem lwowskiej stawiany apteki!"

Pan Adam często odwiedzał tę apteczkę, i sięgał ręką najwyżej, opuszczając łakotki i sadełka sławne na wiele chorób, a sięgał jedynie po gdańską wódkę, w której złoto płatami pływało. Co-ranek odwiedziny te odnawiał; a gdy po wychyleniu niema-

(*) Jest-to wyjątek z powieści w rękopiśmie, pod napisem: „Obrona Trembowli" znanego zaszczytnie Alexandra Dunina Hr. Borkowskiego, którego małe próby czytała publiczność nasza w *Haliczaninie*, i *Ziewonii*.

łéj miarki, splunął i wąs siwy otarł, przyglądał się z równą troskliwością ni żółw na swoje jaja, czy szkatuła nieporuszona i kufer w całości. I jakby niedowierzając osłabionym oczom, poruszał wieka, czy zamki mocno trzymają.

Na Swięty-Jan, na Swięty-Marcin, i po Bożém-Narodzeniu, dłużéj w apteczce bawił; wtedyto zamykał się na całe poobiedzie, i zebrany dochód za czynsz i zboże, w złocie i srebrze, dokładał do szkatuły i do kufra. Stary Jakób, pachołek, przynosił wody na miednicę, a Jegomość, myjąc ręce ubrudzone liczeniem pieniędzy, żartował wesoło z dawnym sługą, i przypominał figle młodości. Zawsze potém pachołek w swojéj izbie, gdzie paniczowie na gawędę schodzili się, często mówił „Jegomość o starych figlach tak dobrze pamięta, jak o swoich workach, które, by dusze zaklęte, na uwięzi trzyma." A paniczowie spoglądali po sobie, ustawał gwar wesoły, i każdy westchnął tajemnie.

Jegomość stary (jak cały dwór nazywał pana Adama), po odwiedzeniu apteczki i spełnieniu swojéj miarki, szedł do Imości staréj, powiedzieć *swojéj dzieweczce* (jak wyrażał) dzień-dobry; poczém wychodził do *kancellaryi*, gdzie pańszczyznę zapisywał. Tam, syn jeden po drugim przychodził, a całując go w rękę, odbierał na cały dzień *dyspozycye*. „Idź Wać do gorzelni pilnować" — „Wać do stodoły" — ten w po-

le, ów na drugi folwark. Gdy gości się spodziewano, wonczas Jegomość do synów mówił: „No! moje chłopcy, trzeba się postarać o zwierzynę." I wtedyto był dla tych chłopców dzień swobody i uciechy.

Od niejakiego czasu wszyscy synowie osowieli. Stary jegomość, przy słabych oczach, niezważał na to; ale bacznego oka matki nieuszedł smętek *paniczów* (jak nazywała). Stary pachołek częściej wzdychał i nieraz mówił: „Mój Boże! wypiastował-ci człowiek żwawych chłopców, ale cóż na tym mają robić świecie? Dojrzali w latach, a niemogą myśléć ani o swéj grzędzie, ani o *postanowieniu* (tym wyrazem oznaczał małżeństwo). Jegomość stary uwędzi paniczów; ni-to mają uciechy, ni zabawy kiedy." Na te wyrazy synowie starego Jegomości wzdychali, a pachołek uważał, że częściej, bez zapytania nawet ojca, odjeżdżali do kniei.

Ciche wieści z początku, zaczęły coraz większéj nabierać pewności, że banda rozbójników pokazała się w lasach poblizkich. Lecz chociaż o tém każdy głosił, nikt przecież niedoznał żadnego napadu. Jegomość stary, ufając swojéj odwadze i sile z lat młodych, polegając na sześciu dorostkach pod wąsem, mało dbał o rozbójników; zachowywał wszakże tę ostrożność, że klucz od drzwi głównych w sieni brał do siebie, a okiennicę w sypialni kazał mocno po zachodzie słońca przyszrubowywać.

Cztéry brytany ogromne co-noc spuszczano z łańcuchów, a do tych mięszało się dwadzieścia psów rozmaitego gatunku: gończe, charty, legawce, taksy i kundle; tak zaopatrzony zewnątrz w stróżach czworonożnych, ufając w drzwi z mocnego modrzewiu i okiennice dębowe, zasypiał smaczno; a gdy niespokojna myśl zbudziła go, wcześniej szedł [do apteczki, wychylał swoję miarkę, a spoglądając na kufer i szkatułę, mruczał pod nosem:

„Do djaska! nieźleby się obłowili!" Wspomnienie to marszczyło mu czoło; z niepokojem spoglądał przez kraty, gdzie nie było okiennicy, na podwórze, i pocieszał się zaraz.

„Niech się szklanką wody upiję ze sromem mojego imienia (mówił wtedy), jeżelibym nie skręcił pierwszemu karku; a moje chłopcy pomogą staremu tych hultajów odstraszyć, i nauczą gwizdać po kościele."

III.

Nadchodziły Zielone-świątki; porozsyłano czeladź do lasu, po gałęzie do majenia, i na staw szeroki, po tatarak do wysypania podłogi w całym dworze i folwarku. Pan Adam, powiedziawszy dobra-noc swojéj małżonce, poszedł do sypialni; a gdy go stary pachołek rozbierał, wielce się zdziwił, że żadnego

panicza w domu nie ma. „Do djaska! zawołał z gniewem, chłopięta zaczynają brykać, ale ja ich nauczę stępo chodzić."

—›Oj! już ci też nasze panicze coś więcéj jak pacholęta; każdy pod dobrym wąsem; czasbyto przecie postanowić. Wiele w okolicy hożych szlacheckich dziewek, a Jegomość wędzi paniczów by półgąski."

—„Co! co stary ty gadasz?" wyrzekł z uniesieniem, lecz zaraz się udobruchał. ›Masz racyą stary Jakubie; najstarszy mógłby się ożenić; jutro zaraz pojadę w swaty do pana Cześnika albo Podstolego, a ty rano sprowadź z miasta żyda krawca, niech mu kapotę skroi i uszyje."

Uradowany Jakób odszedł do swojéj izby, ale nieotworzył drzwi jeszcze, gdy w sieni usłyszał wrzawę i szczekanie psów wszystkich. Natychmiast zamknął corychléj drzwi duże, i pobiegł do Jegomości.

›Coto jest? coto jest?" pytał niespokojnie starzec, ›gdzie moje chłopcy?"

—›Paniczów nie ma, a zdaje się, że to są hultaje: musieli dowiedzieć się że wszystko rozjechało się z dworu, to śmieléj napadają."

Pan Adam zdjął koszulę drócianą w kółka, co wisiała nad łóżkiem; kazał podać sobie krótką dzidę; pachołek dobył myśliwskiego kordelasa z pochwy, i obaj starcy stanęli przy wchodzie komnaty, by zu-

chwałym rozbójnikom stawić opór. Sokoł na berle siedzący, przy łożu pana Adama, najeżył pióra i otworzył błyszczące oczy. Niedługo czekali. Łoskot siekiery trwał krótko; wyruszone drzwi sienne z zawias, upadły z łoskotem, i ukazało się zaraz kilku rozbójników. Ale ich twarzy nikt niepoznał, bo je maski okrywały; i wpadli razem do sypialni, gdzie dwaj starcy, dalecy bojaźni, gotowali się stawić im opór. Lecz cios silny dzidy pana Adama, strącił pierwszy hultaj, a pachołka rozbrojono. Obaj starcy spoglądali na siebie z podziwieniem, niedoznając żadnej krzywdy. Ale wkrótce pan Adam ją uczuł, gdy zobaczył, że prosto do apteczki idą, zabierają szkatułę i wynoszą kufer.

»Łotry! zbójcy!" wykrzyknął, drżąc z uniesienia: rumieniec mocny ożywił twarz bladą i zmarszczoną; chwytał cochwila żylastą dłonią za bok lewy, jakby chciał szablę ująć; a gniew trzęsąc nim całym, niedozwalał mu wszystkich przeklęstw wymiotać.

»I właśnie w tę dobę (dodał pachołek) gdy Jegomość najstarszemu synowi chce nową kapotę sprawić, bo ma go żenić."

Zbójcy przecięż mało na to baczyli. Parę worów z talarami dobyli z kufra i złożyli na stole; porwał z nich jeden pan Adam, jak jastrząb kuropatwę, a drugi schował pod kurtę pachołek; resztę do zaprzężonego wozu zapakowali i odjechali spokojnie.

Jegomość krzyczał i przeklinał, Jejmość płakała, a stary Jakób załamywał ręce. Pierwszy dzień Zielonych-świątek był bardzo smutny; albowiem i synowie niepokazali się w domu ojca.

Xiężyc przyświecał w pełni; rosa w błyszczących kroplach okryła łąki i zielone pola, gdy wóz, siedmią zbrojnymi otoczony zbójcami, toczył się prędko po piaskowéj drodze. Żaden z tych łotrów niewyrzekł słowa; biegli chyżo, bez spoczynku, trzy całe mile. Już zhasali dobrze konie, gdy ten, co jechał na przodzie, jakby obawiał się rozbudzić echo, rzekł z cicha: — »Teraz w prawo! w téj gąszczy, gdzie dzik się tarza i niedźwiedź jeno lega, możemy bezpiecznie odpocząć."

I cała czereda w głębi ciemnéj puszczy zniknęła.

Wśród małéj polanki stanął cały orszak. Naniecono niewielki ogień. Każdy z łotrów dobył z torby borsuczéj flaszę, łyknął haust spory, a gdy koniom podsypali owsa, sami zasilali głodne żołądki półgęskiem, szynką i wędzoną słoniną.

Na znak, dany przez jednego z nich, którego wzrost wyższy i wąs *sitarski* czarny odznaczał, pięciu powstało, zbliżyli się doń, i otoczyli wieńcem ładowną brykę. Siódmy, jakby nienależał do łupu, odszedł zwolna i stanął na czatach ponad piaskową drogą.

»Moi bracia!" rzekł z czarnym wąsem zbójca: »wedle umowy i prawa podzielam się równo: potém każdy z nas w osobny powiat pojedzie. Niezapominajmy i o naszym Grześku, który nam tyle dopomógł."

I po téj przemowie, dobywając worek po worku, talary i złoto w równéj podzielił części, a gdy podział skończył, zdjął czapkę, wrzucił w nię garść talarów naprzód, za tym przykładem poszli i jego, jak nazywał, bracia, i niemal całą czapkę wypełnili! »Grześko!" wtedy zawołał,' a stojący na czatach wrócił do bryki.

»Oto masz od nas tymczasem, a gdy Bóg poszczęści i polepszym naszę dolę, będziemy hojniejsi."

I wysypał mu w połę siwéj kapoty talary z czapki, a Grześko nizko się skłonił. — Wtedy dosiadł konia, a za nim i pięciu innych; każdy podał Grześkowi rękę na znak pożegnania, i ruszyli dobrym kłusem. Grześko, pozostawszy z próżną bryką, w trzos wysypał darowane talary, wsiadł na kozieł, a niezwracając się na drogę, którą przybyli z łupieżą, na inną wyjechał i galopem popędził: byłto leśniczy pana Adama.

Jegomość stary napróżno pierwsze święto i drugie oczekiwał na swoich chłopców: zginęli, by kamień w wodę. Wieść wkrótce obiegła całą okolicę o tym napadzie i łupieztwie. Każdy szlachcic zadrzał na tę wiadomość, w obawie o swój dostatek; podwo-

jono baczność w każdym dworze, i przygotowano się do odparcia zuchwałych łotrów.

Jakób, stary pachołek, który próżny stawiał opór zbójcom, równo ze świtem, nikomu i słowa nierzekłszy, wsiadł na stępaka, i puścił się śladem, widomym na piasku, za łotrami. Jak pies gończy ślad ten wietrzył, wykręcał się, to po polach zasianych, to po ugorach, to łąkami, równie jak zbójcy prowadzili zdobycz, i tak bacznie śledził, że dostał się do gąszczu i trafił na niezgasłe ognisko.

Tu więc (pomyślał sobie) te pogany spoczywali! Zsiadł z konia i zaczął troskliwie szukać śladów: ale przezorność starego łowcy tu się omyliła, w przeciwnych bowiem kierunkach znalazł ślad koni i wozu. --

»Trafił bies na pogana!" spluwając wykrzyknął, »szukaj teraz wiatra w polu!"

Gdy wtym koń najeżył uszu, zaczyna parskać, wreszcie wystraszony zerwał cugle, i jak wiatr poskoczył, a stary pachołek z niemałym przestrachem zobaczył ogromnego niedźwiedzia. Lecz nieraz spotykał się z nim w młodych jeszcze latach; wiedział, że upaść i dech zatrzymać jest jedyny ratunek; wszakże niechciał narażać żeber na pogłaskanie łapy niedźwiedziej, ani żeby mu Bat'ko nagadał w u-

cho: (*) przygotował strzelbę, którą luftkami nabił i bez niéj nie wyjeżdżał z domu; poleciwszy więc duszę Bogu, stanął za bajrakiem i wziął na cel. Ale niedźwiedź nierozdrażniony przeszedł mimo spokojnie, obejrzał się kilka razy i znikł w gąszczu, a pachołek o mil trzy od dworu, zaprzestawszy dalszego śledzenia, smutny i zmęczony powrócił pieszo w nocy do domu.

Tym czasem jezdzcy, każdy z dobrze naładowanym trzosem, pędzili drogą: a gdy ujrzeli wieże kościołów Lublina, zatrzymali się w gaju. Zsiedli z koni, wytchnęli z godzinę, poczém w milczeniu jeden drugiemu rzucił się w objęcia, i rozjechali się różnemi drogami.

IV.

Upłynęło lat sześć od onego czasu. Pan Adam codziennie odwiedzał apteczkę, wychylał miarkę

(*) Ruscy myśliwi, niedźwiedzia zwykle Bat'kiem nazywają; a gdy nie jednego z nich zwierzę to dobrze naznaczy i wygniecie, na przeprawę takową, używają właściwego wyrażenia „że Bat'ko wysłuchał go spowiedzi," lub „że mu nagadał w ucho." Albowiem niedźwiedź, napadłszy bezbronnego strzelca, gdy ten całe ocalenie w zatrzymaniu oddechu i udaniu wytrzymałem nieżywego znajduje, ciągle gniecie, bije, a przykłada ucho do twarzy człowieka, dla pewności, czy żyje. Biada myśliwemu, gdyby się oddechem lub westchnieniem zdradził!

złotéj wódki (*) i z nazwyczajenia spoglądał na próżne kąty, gdzie stał kufer i szkatuła. Wspomnienie tych starych przyjaciół wydobywało mu niejedno ciężkie westchnienie, i nie jednę łzę z oczu pod siwemi brwiami. A jednakże gdy go rozbierał Jakób, starzec częściéj syny swoje wspominał, niż złoto i talary, do których tak był przywiązany.

»Stary Jakóbie!" nieraz mówił, » a gdzie moje chłopcy? czy powrócili z kniei?"

Jakób odwracał smutne oblicze, aby łzy niepokazał, a starzec upadał na łoże z boleścią, i zakrywał zmarszczonemi rękoma twarz bladą i wychudzoną.

Lubił dawniéj polowanie z sokołem, synowie mu przeto wyuczyli sokoła: lecz ten, po zniknieniu paniczów, zdechł we cztery lata. Jakób wystarał się o innego, i nowego przybysza pasadził na berle, co stało w sypialni starca. Z początku nie dojrzał tego, lecz wkrótce, gdy głos tego ptaka obudził w nim dawne wspomnienia, dawne rozrywki, w zapomnieniu zawołał:

»Przyzwać mi tu smyka Malchera (był to najmłodszy z synów); niechaj wdzieje rękawicę, pojedziemy na kuropatwy."

»Jest-ci na bagnie i czapel niemało" odrzekł Jakób.

(*) *Złotą wódką* nazywano wódkę z Gdańska sprowadzaną, znaną dotąd pod nazwą *Gold-wasser*

›O! nie chcę tak pięknego narażać ptaka. Wiesz, że jak się zapali i uderzy z góry, może się przebić dziobem czapli.”

›Paniczowie (mówił pachołek) nieraz łowili czaple, a przecięż żaden sokół nie zginął.”

›No to i teraz sprobujemy razem; idź zawołać mi tu moich chłopców.”

Jakób odszedł — starzec rzeźwo wchodzi do apteczki, by wzmocnić siły na łowy; spojrzał na próżne kąty, przypomniał rozbój i zgubę synów, nie wyciągnął ręki ku flaszy złotéj wódki, stał długo ze zwieszoną głową, a napojem jego była łza gorzka.

V.

Przed murowanym dworem, w piękny dzień majowy, blizko południa, stanęło pięć ozdobnych kolas. W każdéj siedziała strojnie przybrana niewiasta i po parze małéj dziatwy. Pięciu panów wąsatych, na dzielnych biegunach, jechało obok w bogatych szatach; rzędy na koniach lśniły się od złota i srebra, a karabele zwieszone błyszczały drogiemi kamieniami.

Na ganku, pod wystawą, stał gospodarz tego dworu, wysadzał uprzejmie z kolas niewiasty i dziatwę, a zsiadających z koni serdecznie pozdrawiał; bylito bowiem jego bracia rodzeni, z żonami i dziećmi.

Małżonka pana *Jana z Grzędy*, z szczérą uprzejmością witała braci męża i młode dorodne bratowe. Zaledwie drużyna przybyłych weszła do wielkiéj komnaty, każdy z braci zdjął trzos ze skóry łosiéj, i wysypał złoto. Pan *Jan z Grzędy*, jako brat najstarszy, przerachował sztuki i wsypał do szkatuły w mosiądz okutéj: poczém w te się odezwał słowa: »Za dwa dni, panowie bracia, Zielone-świątki; ażeby stanąć na miejscu, jak konie spoczną, potrzeba zaraz wyruszyć." — I we dwie godziny, sześć kolas z białogłowami i dziećmi, i sześciu dorodnych mężów na koniach, jechało szerokim gościńcem.

* * *

Jak przed sześciu laty, w przeddzień Zielonych-świątek, wieczorem, wysłano z dworu pana Adama czeladź, po gałęzie do lasu, i tatarak na jezioro. Starzec osłabiony, siedział w wielkiém krześle w swojéj sypialni; przed nim stał siwy Jakób, trzymając na rękawicy sokoła, którego karmił wypłókaném mięsem. Pan Adam bawił się ptakiem, jak dziecię cackiem, ale ta rozrywka prędko go znudziła. — »Posadź go już na berle (rzekł po chwili), nieprędko będzie bujał na wolném powietrzu! Jużeśmy się zestarzeli obaj, i chyba nam karmić sokoły. Miałem żwawe pacholęta, lecz tych Bóg zabrał." — I zwiesił smutnie głowę na piersi.

»Niech się Jegomość uspokoi (mówił, łzy połykając, przywiązany pachołek). Bóg daje, Bóg bierze! stań się święta jego wola! Jednakże mam nadzieję że się wrócą paniczowie, a wtedy i sokoł pobuja.”

Ledwie tych słów domówił, usłyszeli zdaleka wrzawę. Zadrżał starzec, zbladł pachołek, obaj przypomnieli sobie noc ową. Jakób chciał biedz i drzwi od sieni zamknąć — starzec schwycił za czekan z siekierką, którym się opierał; lecz się prędko uspokoili, gdy usłyszano trzask z bicza i turkot kolasy.

»Choćby to byli i łotry (rzekł pan Adam) niech wnijdą, cóż zabiorą!”

Pachołek wyjrzał oknem, a zdziwiony wielością panów konno i bogato przybranych, zawołał radośnie: „Na świętego Jakuba! to jacyś wielcy panowie!”

Starzec opierając się jedną ręką na ramieniu sługi, drugą na czekanie, wszedł do *izby gościnnéj*, gdzie już małżonka jego stała, zdziwiona tak licznemi gośćmi. W tym roztwarły się drzwi nagle, sześciu mężów weszło, i upadli wszyscy na kolana, a za nimi przyklękło sześć niewiast i dwanaście dziatek. Starzec, z początku zdziwiony, osłupiał; przy słabym wzroku niepoznał gości; lecz małżonka jego z płaczem zawołała: „To nasze Adasiu chłopcy!”

Na ten wykrzyk radośny matki zadrżał starzec; łzy oblały twarz zmarszczoną i bladą; po chwili rumie-

niec nieznany oddawna osiadł na licu. Upadł na kolana, a rzuciwszy się w objęcie najstarszego syna Jana, omdlał z wzruszenia.

„Panie ojcze mój! (rzekł, otrzeźwiwszy starca, *Jan z Grzędy*: tak go od wsi dziedzicznéj po żonie, w posagu otrzymanéj, nazywano) oto wasze syny z żonami i dziećmi, na kolanach czekamy waszego wyroku. Nie zbójcy cię zrabowali, my to sami byli. Lata zbiegały nam na niczém, a strój lichy wstydził nas wszystkich; żaden nie śmiał i. sąsiada odwiedzić. Trzeba było o sobie pomyśléć. Podzieliwszy się zdobyczą z waszéj szkatuły i kufra, każdy się w inną stronę udał. Bóg poszczęścił! Dziś w dobréj doli przychodzimy błagać cię o przebaczenie, i pożyczone oddać pieniądze."

A po tych słowach wnuczęta otoczyli wieńcem starca; niemógł rozczulony wyrzéc i słowa, całował dziatki w głowę i ciągle żegnał.

Na znak dany przez Jana z Grzędy, dwóch braci przyniosło szkatułę, okutą w mosiądz; otworzył ją i na stół dębowy wysypał złoto. „Panie ojcze! to wszystko jest wasze; oddajemy co do grosza." Ale starzec, choć mu złoto zajaśniało, rzucił raz tylko nań oczyma; niesięgnął po nie, tylko wzrok utkwił w oblicze drobnych wnuków, i pobłogosławił synowe.

Stary Jakób, napłakawszy się z radości, pobiegł naprzód do sypialni pana, stanął pod berłem, a

podskakując, zawołał do ptaka: „Paniczowie, nasze chłopcy przyjechali!" i zaczął pieścić sokoła; potém biegł, ile zdążył, do szafarki i kredencerza, co wywabiali dawniéj plamy z kaftanów łosich i kapot.

»Coto za państwo wielkie?" zapytała ciekawa szafarka.

Tu Jakób niemógł odpowiedzieć, w głos się rozbeczał, a łkając zaledwie wymówił: „To pa... pa... paniczowie nasi!" Kredencerz i szafarka za Jakubem poczęli płakać, gdy wbiegł do nich na folwark pan Malcher, najmłodszy panicz. Wszyscy zaczęli mu się kłaniać i całować w ręce, a ten zapytał radośnie: „Jakubie! a gdzie nasz sokoł? Chciałbym go zobaczyć." Stary pachołek wybiegł naprzód, by pokazać ładnego sokoła.

* * *

Na dębowym nakryto stole do wieczerzy. Starzec pieścił jeszcze wnuki i synowe, gdy, w długiéj rękawicy, trzymając sokoła z dzwonkiem na niéj, wszedł Malcher, i rzekł do ojca: „Panie ojcze! może pojedziem na kuropatwy albo na czaple; widziałem ich niemało po wyżarach."

Starzec odwrócił głowę, a ujrzawszy syna w łosim kaftanie bez plamy, z ptakiem na ręku, uśmiechnął się radosnie. Byłto, po jego łzach wielu, pierwszy uśmiech serdeczny.

Wesołość napełniła ten dwór i duże komnaty gdzie sześć lat panował smutek, łzy i boleść. Wieczorem przywołał Jakuba Jegomość, a pokazując szkatułę pełną złota: „znalazła się zguba (rzekł radośnie), wnieśmy to do apteczki. Poczciwe moje chłopcy oddali co do grosza; przerachowałem wszystko.” Stary pachołek wypełnił rozkaz. W tym samym kącie, jak dawniéj, postawiono szkatułę, a Jegomość sięgnąwszy ręką najwyżéj, na półkę dużéj szafki, napił się złotéj wódki w ręce starego Jakuba.

K. Wł. Wojcicki.

Pierścień z Włosów.

Jakże lubię poglądać na ten pierścień złoty,
Co jasnych jego włosów pasemko zawiera!
Jakże tkliwemi codzień darzę go pieszczoty,
Chociaż do smutnych uwag pole mi otwiera.

Bo jakże się nie lękać przeznaczenia ciosów?
Żyć spokojnie, wesoło, ufać naszéj sile?
Gdy nasze szczęście, życie nawet, nie trwa tyle,
Co ten, ledwie dojrzany, zwitek płowych włosów!

Choć czas stłumi ten ogień, co dziś w sercu płonie,
Choć siwizna pokryje świéżą teraz głowę,
Te włosy będą jeszcze tak świetne, tak płowe,
Jak w chwili, gdy lubego ocieniały skronie.

A gdy, z jego miłością, minie moje życie;
Na zimnej mojéj ręce ta włosów plecianka,
Choć ją wraz ze mną ciężkie przytłoczy pokrycie,
Przetrwa szczęście, i życie, i stałość kochanka.

JEDYNAK.

Piosnka Matki.

Przez łąki, przez gaje i chodzę i gonię,
Na kwiatki, motyle i ptaszki,
Przebiegam ogrody, strumienie i błonie,
Dla twojéj tylko igraszki.

O! wszystko jest twoje,
Gdzie tylko nas dwoje:
I kwiatki i zdroje,
I ptaszki są twoje.

Swawolnik z ramienia tam w górę ucieka,
Chce małej z nieba gwiazdeczki,
Uciekaj, uciekaj, lecz znowu zdaleka,
Wróć do ust twojéj mateczki!

O! wszystko jest twoje,
Gdzie tylko nas dwoje:
I kwiatki i zdroje,
I gwiazdki są twoje.

Baranek dla ciebie, i matka dla ciebie,
Oboje równie cierpliwi;
Lecz, jak ty gwiazdeczkę, tak matka ma w niebie
Pociechę, która ją żywi!

O! wszystko jest twoje,
Gdzie tylko nas dwoje:
I kwiatki i zdroje,
I serce to moje.

A. J. Szabrański.



Wynalazek Muzyki.

Już się słońce za ciemne obłoki ukryło; już nocne cienie zaczęły powłóczyć ziemię: i wszystko, od człowieka, tego dumnego pana przyrodzenia, aż do niezmordowanej mrówki, udało się na spoczynek; jeden tylko starzec siedzi nad brzegiem wody, z schylonem czołem, z skurczonemi członkami, które coraz gwałtowne przejmuje drżenie; siedzi, i z największą pilnością przysłuchuje się szmerowi, który rosnące nad brzegiem rzeki i wiatrem kołysane sitowie wydaje.

Im silniej wiatr powiewa, im głośniej świszcze w trzcinie, tym mniej drży nieszczęśliwy. Zwolna, ociężała jego głowa skłania się na piersi, powieki się zwierają, i nakoniec lekkim snem zmorzony, przestał cierpieć na chwilę.

Jakże mu błoga ta chwila spoczynku! Bo to był Kain!..... Kain, którego serce, wieczną dręczone zgryzotą, zapomniało wszelkich tkliwych uczuć; od którego własna zbrodnia i przekleństwo Boga oddaliło wszystkich, co mu niegdyś miłymi byli; który, schylony wiekiem i cierpieniem, zbliżał się drżący do kresu życia, nie wiedząc, czy się zbliży do kresu swej kary!

Sam na świecie, nie mogąc zostać na jedném miejscu, długo się tułał po ziemi bez pociechy i spoczynku. Nareszcie, żal i zgryzota, wróciły go ku stronie, gdzie się ziemia, z rąk jego, pierwszy raz krwią ludzką napoiła; wrócił tam, gdzie go niewinny Abel napróżno o litość błagał. I, rzecz szczególna! w żałośnym odgłosie, wiatrem kołysanej trzciny, w tym głosie, co mu ostatni jęk zamordowanego przypomina, znalazł choć chwilową ulgę, choć krótko-trwałe zawieszenie swych cierpień!

Przysłuchując się tym dźwiękom, wraca wprawdzie pamięcią do czasu swej zbrodni; lecz to nawet wspomnienie lżejszém mu jest od okropnej terazniejszości: bo wtedy nie dojmowała mu jeszcze zgryzota sumienia, nie czuł jeszcze ciężaru Boskiego przekleństwa. To wspomnienie, co go zrazu zgrozą przejmuje, zwraca zwolna jego myśli, ku szczęśliwej przeszłości, przywodzi mu na pamięć łagodność Abla, i te błogie czasy, kiedy żyjąc ra-

zem, na jednym ołtarzu składali Bogu dary, i jeden płomień z nieba na nie zstępował; bo wtedy jeszcze mu czarna zawiść nie szarpała serca.

I teraz pewno tak marzył: bo sen jego był spokojny, wypogodziło się oblicze, i grube łzy spływały niekiedy z pod przymkniętych powiek. W tém, mimo późnéj pory, młodzieniec jakiś przyjemnéj postaci zbliżył się do spiącego winowajcy; usiadł przy nim, i z tkliwą litością wzrok swój utopił w jego obliczu. Byłto wnuk jego Jubal; jedyna istota, co się wyklętym zajmowała Kainem, któréj nieszczęście i zbrodnia nie zdołały od niego oddalić. On po całych dniach siedział lub chodził ze starcem, zachęcał go do posilenia się czémkolwiek, strzegł go we snie, pocieszał: słowem, widząc jego czułą troskliwość, możnaby myśléć, że sam Bóg, łagodząc surowość swego wyroku, zesłał Kainowi anioła-pocieszyciela.

Lecz gdy się młodzieniec cieszył spoczynkiem dziada, wiatr ustał, ucichł smutny świst sitowia, i drżenie przebiegło członki Kaina; przebudził się, lecz nie otworzył oczu; obraz przeszłości stanął mu pewno w pamięci, bo załamując ręce zawołał z rozpaczą: »Och! jeszcze jeden raz bracie! bo, z ostatnim twoim jękiem, usłyszę straszny głos sędziego;..... a oto.... już się zbliża anioł, co na mém czole wyryje piętno odrzucenia!... »Lecz ci-

chość panowała dokoła, a Kain wychodząc z obłąkania, spojrzał w około siebie, i jakby chcąc wrócić do niego, rzekł żałośnie: „Jubalu, wiatru! proś o wiatr!" Jubal klęknął, modlił się gorąco, łzy płynęły mu po licu, lecz wiatr nie powstał, bo krótkiego tylko spoczynku dozwalał Bóg nieszczęsnemu bratobójcy. Młodzieniec, wzruszony jego cierpieniem, przybliżył się, chcąc go na chwilę pieszczotami uspokoić; lecz go Kain odtrącił, mówiąc: „Precz.... wiatru!..." I znów drzeć począł, i rysy jego przybrały wyraz najokropniejszéj rozpaczy.

Jubal, zupełnie oddany nieszczęśliwemu starcowi, oddawna już przemyślał, jakimby sposobem zastąpić jękliwy szmer sitowia; próbował sam naśladować jęk konającego, sprowadzał blizko siedliska Kaina młode wielblądy i inne zwierzęta, których żałośny głos zbliża się do niego; wiódł nieszczęsnego w gaje, gdzie się spodziewał, że go miły śpiéw ptaków rozerwie, lecz wszystko napróżno. Nic nie uspokajało winowajcy, wydzierał się z tkliwych objęć młodzieńca, biegł nad wodę, i krył się w najgęstsze zarośla.

Nieraz strapiony Jubal, z radością i podziwieniem wpatrywał się w te proste i giętkie pręty, co nad umysłem nieszczęśliwego, dobroczynniejszą wywiérały władzę, niż wszystkie usiłowania jego czułéj i kochającéj duszy, i łamał je, chcąc dociec, skąd

ten miły odgłos pochodził. Raz, gdy znużony długiém i bezskuteczném badaniem, westchnął, oddech jego, dotknął trzciny do ust zbliżonéj, i, wpadłszy w jéj wydrążenie, wydał świst lekki; zdziwiony młodzieniec, dmie już umyślnie w trzcinę, i po kilkakrotnych próbach, udaje mu się wydobyć z niéj dźwięk smutny i przeciągły.

Ach! pomyślał sobie, gdyby mój oddech mógł powiew wiatru zastąpić, jakżebym dął z całéj siły mych piersi! Lecz świst ten mocny, krótki i jednostajny, dalekim był jeszcze od melancholijnego szumu sitowia nad brzegami wody. Czegóż jednakże na téj ziemi szczéra chęć i przywiązanie nie dokaże? Młodzieniec, z niezmordowaną czynnością pracował nad udoskonaleniem swego odkrycia; uważał, że grubsze trzciny, mocniejszy, cieńsze, słabszy głos wydawały, dął w nie po kolei, i zdawało mu się, że to już podobniejszém było do upragnionego brzmienia; lecz trudziło go ciągłe przemienianie cieńszych i grubszych prętów, umyślił więc w jednę całość ich spoić, ułamki trzciny, podług objętości, powiązał w długi rzęd, cienkiemi gałązkami bluszczu, i wtedy przesuwając swoję fletnię koło ust, naśladował szum wiatru, od najmocniejszego powiewu do najsłabszego echa.

Uszczęśliwiony z tego owocu długiéj pracy i namysłu, Jubal pragnął jak najśpieszniéj doświadczyć

jego skuteczności, i, jakże wyrazić radość, która jego serce przejęła! gdy na rozpaczny głos Kaina, »wiatru!" przebiegł tchem całą fletnię, a oczy nieszczęsnego nie otworzyły się jeszcze do łez, zmysły nie ocknęły się do cierpień; gdy dmąc rozmaicie w swoje narzędzie, wydobywał z niemej trzciny smutne i przeciągłe dźwięki, a drżenie bratobójcy ustawało zwolna, i dobroczynny sen sklejał nanowo jego powieki. Któż pojmie jego szczęście? kto jego radość opisze? Ten chyba, co sam doznał, jak to słodko przynosić ulgę cierpiącemu ukochanych nam osób.

Takto powstała piérwsza fletnia. Cóż dziwnego, że muzyka taką władzę na nasz umysł wywiera, że nasze serce wznosi i rozczula, że zaciéra pamięć trosk i cierpień, kiedy tak tkliwe i szczytne ma źródło, kiedy ją dziecinna miłość wynalazła, na osłodę udręczeń duszy, i złagodzenie Boskiego przekleństwa!

Paulina H.....



Moje życzenie.

Gwiazdki piękne, gwiazdki złote!
Jakże ja tęsknę za wami,
Do was wznoszę mą istotę,
Patrząc się na was ze łzami.

Nie raz topiąc wzrók mój w niebie,
W waszém złotém światła drżeniu,
Proszę was, by mnie do siebie
Wciągła która po promieniu.

A choć myślę sobie skrycie,
Że mnie może blask wasz łudzi,
Wolałbym tam jednak życie,
Byle tam nie było ludzi.

Teofil Nowosielski.

Stado Żołebi.

Stara Gawęda

z r. 1760.

I.

Zawsze co rano w dzień powszedni, na piąciu miedzach, widziano pięć demeszek zardzewiałych utkwionych, a koło każdéj, stał przy pługu rosły szlachcic, w siwéj kapocie, wełnianym pasie, i ogromnémi ostrogami, przy nosatych butach z wywijaną cholewą. Było-to piąciu otroków krzepkich, żylastéj ręki, a chropawéj dłoni, a wszystko bracia rodzeni.

Ojciec i matka od lat dwóch pomarli, zostawując piąciu wyrostkom, pięć par siwych wołów, pięć

krów, pięć bron i pługów, a trzy konie i wóz jeden; do tego garnek grosiwa, który nietknięty dotąd w całości stał zachowany u pana Jakuba, najstarszego brata. Po pracy, w świętą niedzielę, alboli w czasie odpustu, pan Jakub siadał na jednego *siwka*, a czterech braci po dwóch, to na *łysego*, to na *białonóżkę*. Każda para uwiązawszy konia przy parkanie, rozchodziła się na cmentarzu: brat jeden wchodził wielkiemi drzwiami do kościoła, drugi od zakrystyi; na środku, schodzili się niby niespodzianie i witali uprzejmie, jakoby dalecy sąsiedzi, każdy z innéj strony i na osobnym przybył koniu.

Pracowali szczérze, kochali się wiernie, a sąsiedzi podziwiali rzadką zgodę piąciu braci. Tak upływały lata; przy skrzętności a pracy i Bóg błogosławi; omijając zdala gospody, przyszli do grosza, zamożnéj trzody i koni. We trzy lata, już na swoim koniu oklep jeździł każdy do kościoła, w sześć roków miał i rzędzik skromny. W dziesiątym od śmierci matki i rodzica roku, pan Jakub począł siwieć, bo już liczył lat sześćdziesiąt, a wkrótce potém i Janusz najmłodszy dobrze oszpakowaciał. — Kiedy śnieg wieku okrył ich krucze dawniéj czupryny, i pobielił sumiaste wąsy, sąsiedzi to grono braci przezwali *Stadem gołębi.*

Od lat dziecinnych do podsiwiałości, zgoda, miłość i przyjaźń serdeczna, panowały pod strzechą

dużego domostwa, które razem zamieszkiwali. Każdy z nich równie omijał ze wstrętem karczmę we wsi, i gospody w poblizkiém miasteczku, jak stronił od wabnych dziewcząt, które napróżno miłém powabiały okiem. Sąsiedzi daremnie zapraszali do siebie, przystrajali córy; a szlachcianeczki, w wigilią ś. Andrzeja, bez skutku słuchały wiatru, z któréj strony zawieje. Zawiał ci nieraz i od strony domostwa *Stada gołębi*, ale żaden ze swatem nie zajrzał, ani w téj wsi, kędy zamieszkali, ani w okolicy.

A że raz nadszedł odpust w kościele tamecznym na ś. Stanisława, przyjechało konno całe Stado gołębi. Wchodzi pan Jakub, zaledwie skropił czoło święconą wodą, spojrzy na bok, i dostrzegł hożą dziewicę, skromnie modlącą się na dużéj z klamrami książce. Pan Jakub uczuł dreszczyk po kości, odwrócił oczy, poszedł na środek kościoła i ukląkł: niedługo wrzekomo, wrócił na powrót, i znowu począł patrzéć na dziewczynę. Już nic nie widział w około siebie, jeno jéj lica hoże, oczęta niebieskie i *personę* (jak wyrażał) by archaniołka. Nie słyszał śpiéwu organisty, ani trąbienia z chóru, ani bicia w kotły przy podniesieniu; stał by kamień, z wlepionémi w dziéwczę oczyma, i tylko, pogłaskiwał czupryny siwéj, zawiesiwszy czapkę na rękojeści.

Minęło nabożeństwo; dziewica wchodzi z matką, mój pan Jakub za nią: ona na bryczkę, on na konia. Ruszyły rzeźwo matka z córką; pan Jakub dobrzebódł zardzewiałemi ostrogami swego kasztanka przycierając zawsze blisko. Obejrzy się raz matka, pan Jakub skłoni czapką; obejrzy się córka, pan Jakub zapomniał, że ma ręce i czapkę, ino oczyma jakby ją zjeść chciał. Tak jechała bryczka długo, a za nią to kłusem, to galopa, pędził pan Jakub spotniały, wymęczony i z bijącém sercem. Aż przecie stanęli przed dworkiem na początku wioski Lipna, o dwie dobre mile, i wysiadły matka z córką: Pan Jakub zsiadł z konia, ukłonił się nizko, a nie wiedząc co z sobą począć, musiał wytchnąć kasztanowi. Usiadł więc pod lipą, chciał rozmyślać, ale głód rozpędził rój myśli, co się poczęły zbierać. — Kasztan zhasany, okryty pianą silnie robił bokami, pan Jakób powstał, chciał iść do karczmy poblizkiéj, gdy wychodzi z tego domostwa, na które patrzył się ciągle, sędziwy szlachcic, i zaprasza do siebie.

— »Czém chata bogata, tém i rada — zjédzcie z nami, sąsiedzie, chleb z solą, a z dobrą wolą.”

Pan Jakub skłonił czapką aż do kolan, rad jakby go na koń turecki wsadził, i poszedł za gospodarzem. Oddawszy chłopcu kasztana, wchodzi do izby; wita go matka, wita i córka. Pan Jakub za-

gawroniony córką, nie ukłonił się matce, jeno stał przy progu. Byłby stał i do wieczora, gdyby nie gospodarz, co nalawszy spory kielich *aquavity*, ocucił go z tego stanu. Wonczas wychyliwszy podany kielich, ukłonił się matce, i śmieléj postąpił na środek, a usiadłszy na ławie przy oknie, począł zbiérać myśli. Zaproszony na obiad po sytém jedle i starym miodzie, przyszedłszy do siebie, począł przepraszać ojca i matkę; za drugim dzbanem miodu, przysiadł się do gładkiéj Hanny; przed wieczorem, upadłszy na kolana, oświadczył w gorących słowach swoję miłość a *afekty* i wbrew zwyczajowi, bez swata, prosił o rękę córki. Ojciec, pan *Jarzęba*, znał dobrze rozkochanego *Gołębia*; rad był w duszy, że dobrze postanowi swoję córkę; przyjął więc oświadczyny, i dzień ślubu naznaczonym został.

II.

Czteréj bracia, wróciwszy z odpustu, napróżno pana brata oczekiwali. Rozjechali się w różne strony, ale i śladu znaleźć nie mogli: przecie nad wieczorem, gdy zgłodniali i niespokojni wracali do domu, sąsiad ich zawiadomił, że widział pana Jakuba, jak pędził za bryczką młodéj *Jarzębianki*. W milczeniu spożyli obiad, a pomówiwszy pacierze, każdy legł na swém posłaniu.

Janusz najmłodszy począł dumać, i taki z sobą prowadził rozhowor.

»Starszy pan brat pewnie rozmiłowany; a że *kto miłuje rzewnie*, *to szaleje pewnie*, ożeni się zaprawdę. Nie od tegoć i mnie byłoby: Marya sąsiadowa, od trzeciéj miedzy, gładka dziewka, a jać nie stary! Jeżeli się pan Jakub ożeni, i ja zanim *hajda*! daléj w taniec."

Tak rozumując, znużony szukaniem brata, dobrze zasnął; nierównie lepiéj od pana Jakuba, który w stodole, na pachnącém sianie, ani zmrużył oczu, bo pieścił w marzeniu Hannę z modrem okiem. Ale trzéj bracia starsi Janusza, żaden nie marzył o żonie; każdy z nich bolał, że wkrótce zgoda, pokój, miłość braterska i cichość, uciekną z tego domostwa, kędy lat tyle przeżyli z sobą.

Słónko już wysoko zeszło, a na polu *Stada gołębi* pusto. Sąsiedzi zdziwieni nie ujrzeli ani zbroi w miedzy, ani pługa żadnego.

Trzéj bracia: *Jerzy*, *Stanisław* i *Jacek*, poszli do boru. Janusz czyścił nowy żupanek i czerwone buty, chcąc podobać się czarnobrewéj Maryi. Wieczór nadszedł; wrócił Jerzy ze zwierzyną; Stanisław furę drew przywiózł z lasu, a Jacka niebyło widać. Janusz poszedł na zaloty. Piérwszy raz, dwóch jeno braci do wieczerzy usiadło.

— »Cóż-to, na mego patrona! (wyrzekł Stanisław) czy nas kto urzekł, czy domostwa oczarował? Od wczorajszego odpustu dziwne dzieją się rzeczy: jak *Kubuś* (*) poleciał za dziewką i Januszek zaczyna brykać!... a Jacek....

— »Co Jacek? (zawołał opryskliwie wchodzący), czy i o mnie chceta gadać? No! byłem w lesie" i spojrzał z niesmakiem na braci.

— »Siadajże Wasze! (przemówił milczący Jerzy), i zjedz z nami co Bóg dał."

— »Niepotrzebuję waszéj wieczerzy, co wam z wąsów spadło!" Odrzekł z gniewem Jacek.

Stanisław przeżegnał się, splunął i wymówił z cicha: »*Na psa urok!*" Jerzy ruszył ramionami odchodząc od stołu.

Jacek tymczasem, wyczyściwszy buty z błota, przypasał zardzewiałą demeszkę, a wdziawszy na uszy czapkę, wyszedł z pomrukiem. Idąc przez wieś, ujrzał w izbie, u sąsiada od trzeciej miedzy, ruch niezwykły, i spory na kominie ogień; zajrzy *wyględem* (**), aż tam siedzi pan Janusz przy czarnobréwéj Maryi, trzyma za rączkę i na ucho szepce. »Coś pilno panu bratu!" — pomyślał, i poszedł dalej."

(*) *Kuba*, Jakub — *Kubuś*, Jakubek,

(**) Oknem.

Na końcu wioski stał dóm spory, wybielony, z małém podwórzem, ocieniony lipą. Tam śpieszył, uchylił drzwi i zniknął w cieniu.

We dwie godziny, Stanisław i Jerzy patrzyli zza lipy oknem, jak pan Jacek smalił cholewki do młodej wdowy. Zajrzeli i tam, kędy Janusz klęczał przed swoją czarnobrewką. Z westchnieniem odchodząc od każdego okna, powrócili do domu, niewyrzekłszy słowa, rzucili się nawzajem w objęcie, a w milczen u ściskając się serdecznie, gorzko zapłakali.

2.

—»Mój Kubusiu!" rzekła pani Jakubowa, we dwa miesiące po szlubie, »tu nam będzie ciasno; trzeba byśta się z braćmi podzielili, niech każdy na swoje idzie!"

Pan Jakub kiwnął głową, potarł razem czupryne, i może chciał łzę skrycie otrzeć.

Janusz i Jacek, ożenili się w miesiąc po najstarszym bracie. Jacek, przed ślubem miał wymówione sobie, że zaraz od braci swoję część oddzieli: bo to była wdowa, do której się zalecał; a lubo (jak u wdowy, chleb gotowy, ale nie każdemu zdrowy) pan Jacek zamieszkał w domostwie swojej żony, nie przestała nań nalegać o przyśpieszenie podziału. Janusz, ani jego czarnobrewa Marya, nie myśleli

o podziale ; ale gdy z sobą rozmawiali z cicha, narzekali , że im trochę przyciasno.

Stanisław i Jerzy, chodzili zawsze w pole i uprawiali w pocie czoła swoje i braci zagony, gdy ci często zabaczali pługa; zwozili drzewo z lasu, przynosili wody.

Pani Jakubowa nazywała to, ich powinnością; a dobra Marya dziękowała im uprzejmie, odbierając wiadra. Janusz uszczęśliwiony, zawsze ich całował serdecznie; a stary Jakub nieraz do ogródka zamyślony wychodził.

Nadeszła wreszcie chwila podziału. Pan Jakub został przy domostwie ; Jacek, otrzymawszy część swoję, mieszkał w domu żony, i, pomimo jéj nalegań, niechciał processować braci, bo widział że się podzielili sprawiedliwie. Januszowi wystawiono nowe domostwo, gdzie się przeprowadził z żoną: przy nim zamieszkali Stanisław i Jerzy, unikając dumnéj Hanny, co truła spokój najstarszego brata: pokochali szczerze dobrą Maryą i poczciwego Janusza.

W rok, Stanisław i Jerzy naprzemian kołysali małego Januszka; a chociaż cieszył się i Jakub potomkiem, rzadko do dawnego domostwa zajrzeli, gdzie ich spotykał brat ze smutném obliczém , a pani bratowa z rozpalonym od gniewu policzkiem. Jacek niedoczekał się téj pociechy, lubo pracować ciężko

musiał na dzieci z pierwszego małżeństwa; uciekał nieraz z domu, gdy mu żona ciągle stawiała za przykład nieboszczyka męża. Zmartwiony, przybywszy raz do Janusza i braci, usiadł w milczeniu; nagle, niepytany zawołał: „Oj! nieboszczyk! nieboszczyk!" Gdy go zdziwieni zapytali: co znaczy taki wykrzyknik? wyznał otwarcie, że powtarzał z nazwyczajenia słowa swojej żony, która, co słowo, a zaraz nieboszczyk wyjeżdża na przód przed swaty.

We dwa lata umarł ze zgryzoty brat Jakub, zostawiwszy dwóch synów. Pani młoda, zaraz po żałobie, poszła w rychle za młodego hołysza szlacheckiego od Sochaczewa, a mając zapis od męża, sprzedała domostwo. Kupili je z radością Jerzy i Stanisław, a całując ze łzami progi, w których lat tyle przeżyli, zaraz przenieśli się od Janusza.

Jacek niedługo przeżył brata najstarszego; umierając nic nie wyrzekł jeno te wyrazy: „Oj! nieboszczyk! nieboszczyk!" — Pozostali trzéj bracia, wystawili wspólny grób zmarłym, na smentarzu przy kościele. Tam, co-niedziela, po nabożeństwie gorące modły zasyłali za ich duszę.

3.

Zima była mroźna. Sniegi wielkie spadły. W wigilią Bożego-Narodzenia siedział Janusz z żoną, trzema synami i braćmi przy stole, sianem za-

słanym; snopy zboża stroiły każdy kąt izby. Wśród tej uroczystej chwili, wspominając ze łzami zmarłych, usłyszeli nagle jęk na ganku. Wybiegają. Niewiasta młoda, otulona płachtą, klęczała na progu, trzymając dwa pacholęta przemarznięte. — Zaledwie Janusz zaświecił jej w oczy, wykrzyknął z podziwieniem:

— »Na Boga! prędzej do izby! to nasza bratowa!"

Jerzy, na te słowa porywa dzieci, Stanisław prowadzi osłabioną Hannę. Omgłała w cieple; pacholęta na pół nagie drżały od zimna i głodu.

Marya z płaczem ratowała Hannę. Próżne jej były starania. Złożono umierającą na łożu.

„Bóg mnie srodze ukarał za waszego brata. Ten, któregom wybrała po nim, wszystko roztrwonił, stracił puściznę tych dzieci, a ja codzień katowana, uczułam zaród śmierci. Przywlekłam się do was, i dzięki Bogu! mogę umrzeć spokojnie, bo dzieci waszego brata napróżno nie będą przywoływać waszej opieki."

Oddech po chwili miała cięższy; głos ustał w piersi. Marya podała jej poświęconą gromnicę, a wszyscy wieńcem uklękli w około łoża.

„Niech tak Bóg w ostatniej godzinie śmierci mojej odwróci odemnie oblicze, i nie da zbawienia duszy!" zawołał rzewnie Stanisław, »jeżeli zapomnę o tych sierotach."

„Tak! i ja toż samo!" wyjęknęli razem Jerzy z Januszem; a Marya, spłakane pacholęta przycisnęła do serca.

Hanna odwróciła głowę, by zobaczyć swoje dzieci. Gromnica wypadła z martwych ręku, a dusza uleciała w lepsze mieszkanie!

* * *

Odtąd Jerzy i Stanisław, radośnie pracowali w polu; bo maluczcy synowcowie uweselali starców. — W długie wieczory zimowe, schodzili się razem trzej bracia z dziećmi, i patrzyli z uśmiechem na ich zabawy. W dobie letniéj wszyscy w polu, a dziatwa drobna pomagała, to grabić siano, to zbierać snopy; siadała na wozy ładowne zbożem, i z okrzykiem radośnym zajeżdżano do stodół.

Późniéj, gdy podrośli i w siłę i w lata, wyręczali chłopcy rodziców i swoich dobrodziejów.

Jerzy z Stanisławem patrząc na ich miłość, przywiązanie i zgodę, nieraz mówili potrząsając głową:

„Trzeba się obawiać, jak to podrośnie; a pożeni się, zginie jak kamień w wodę, i ta zgoda, i to przywiązanie, i miłość!

»Bóg jest opatrzny!" odpowiadał na to Janusz. »Niech się każdy z nich żeni młodo, a dostanie taką żonę, jak moja Marya."

K. Wł. Wojcicki.

Fedor Bezrodny (*)

Nad dnieprową siedział sagą (1)
Młody kozak z ciurą,
Grał dnieprowy zalew flagą,
Łęg szumiał ponuro.

To nie szumiał łęg nadwodny,
Ni zalew przestrzenny;
Lecz Uszkale (2); padł bezrodny,
Otaman kurenny.

Mały ciura uszedł cało,
Przypada zdyszany,
Poranione myje ciało,
I zawija rany.

(*) Tak się zwał jeden z Otamanów kurennych na Ukrainie którego los jest przedmiotem téj powieści.

(1) *Saga*, w powiatowszczyznie znaczy: odnogę, zalew.

(2) *Uszkal*, wyraz miejscowy, znaczy: rozbójnik.

„Wierny ciuro, biegaj w pędzie
Ponad Dniepr, na szlaki:
Czy tam gęsi, czy łabędzie,
Uszkal, czy kozaki?
„Gdy łabędzie, gęsi krzyczą,
Spędź. Gdy ciągnie tłumnie
Uszkal, skryj mię przed tą dziczą;
Z kozaki sam ku mnie!"
Bieży ciura; wre po ranu
Dniepr: to czajki płyną;
„Hej! ku ojcu Otamanu
Spiesz się, spiesz drużyno!"
I przybiegli; wtedy czoło
Otaman wzniósł w górę;
Jednał, żegnał wszystkich w koło,
I wysławiał ciurę.
Skonał. Kopią mu suchodoł (1)
Kozackie szabliska
Krają ziemię; z czapek, z podoł,
Perść (2) skopana pryska.
Siedmiopiędzie brzmią piszczały,
Wrzask o chmury złaman
Surm; bez pieśni i bez chwały,
Nieginął Otaman.

A... B...

(1) *Suchodoł*, grób,
(2) *Perść*, drobna ziemia,

Kobiéta i Mężczyzna

POWIEŚĆ.

W pięknym pokoju drugiego piętra, na sofie stojącej naprzeciw ogromnego zwierciadła, siedziała młoda jeszcze i piękna kobiéta. Piękność jéj doszła do tego stopnia doskonałości, że już się więcej rozwinąć nie mogła: i jeżeli dziś piękniejszą była jak wczoraj, jutro pewno nie tak już piękną będzie.— Wiedziała o tém, bo układając włosy westchnęła; przypomniała sobie pierwszéj młodości marzenia, które się dla niéj dotąd nie ziściły, i doznała tego tęsknego wzruszenia, opanował ją ten niepewny smutek, którego się zwykle doznaje widząc jutrzenkę nastającą po bezsennie przepędzonéj nocy.

W dość nieporządnéj izbie na czwartém piętrze, przed małém zwierciadełkiem, ubierał się mło-

dzieniec; włożył już hałsztuk i westchnął; i on myślał o tych uroczych snach miłości, co mu upiększały życie, lecz których ziszczenie zdawało się dotąd przed nim uciekać.

Pani L.... nieraz sobie wystawiała mężczyznę któregoby kochała, gdyby jéj go przypadek spotkać kiedyś zdarzył: byłby wysoki, przystojny, twarz jego, czarnemi ocieniona włosami, byłaby szlachetną i nakazającą; chciała by miał wyobraźnią poety i tkliwe serce dziecięcia, umysł żywy, lecz niepragnący ściągnąć powszechnéj uwagi.

I Lucyan myślał nieraz o kobiécie, którąby chciał kochać, a którą, jak mu się zdawało, prędzéj lub późniéj napotkać musi: byłaby małą, szczupłą, miałaby jasne włosy i błękitne oczy, coś przyćmionego w spojrzeniu, coś uroczego w poruszeniach, a w sercu to lube uczucie słabości, które koniecznie każe szukać podpory.

Lucyan był średniego wzrostu, miał piękne jasne włosy, i wyraz słodyczy rozlany na miłéj twarzy; nie zbywało mu na dowcipie, ale byłto dowcip więcéj szumny, jak żywy.

Pani L... wysoka, miała chód szlachetny, tę tuszę, co kobiétom drugi stopień piękności nadaje, a oczy jéj jaśniały szczególnym wyrazem mocy umysłowéj.

Pani L. . .. wstała, zadzwoniła na pokojową, chcąc dokończyć ubrania.

Lucyan wstał, nie zadzwonił, boby nikt nie przyszedł; lecz sam dokończył przygotowań do zwycieztw dnia tego.

Pani L . . , wsiadła do karety z matką; Lucyan wsiadł do dorożki, i zjechali się przed domem Pana S. . ., gdzie tego dnia było wielkie zebranie.

Liczne towarzystwo napełniało salon, w którym przypadek zbliżył Lucyana do pani L. . . Przepędzili wieczór bardzo przyjemnie, i rozeszli się mocno sobą zajęci.

Lucyan starał się bliżéj poznać Panią L...; ona go nie unikała. W miesiąc więc potém odebrała list następującéj treści:

„Znalazłem nareszcie kobiétę, któréj postać tak dawno łudzi moję wyobraźnię. Tak! twoję - to twarz miłą widziałem we wszystkich snach mojéj młodości i t. d.

Pani L... odpowiedziała w tychże prawie wyrazach. Oboje kłamali. Ale Lucyan kłamał rozmyślnie; każdéj innéj byłby toż samo napisał. Pani L.,. pisała co czuła.

Lucyan niezmienił w niczém dawnego sposobu życia. Miłość pani L... była jedną z wielu przyjemności dla niego. Ona przeciwnie, żyła tylko tém uczuciem, nie wychodziła nigdzie, nie przyi-

mowała nikogo, i kiedy z nim być nie mogła, wołała być raczéj samą, niż w obojętnych osób towarzystwie. Ubierała się wtedy tylko, gdy się spodziewała Lucyana; gdyby jéj co najdowcipniejszego było na myśl przyszło, nie odezwałaby się z tém, skoroby go nie było. Słowém poświęciła mu tak dalece wszystkie swoje skłonności, że nawet miłe jéj niegdyś osoby nieznośnemi się teraz stały.

Lucyan, poznawszy rodzaj jéj miłości, przeląkł się. Ta kobieta, co mu tak chętnie całe swoje oddawała życie, wielką nań wkładała odpowiedzialność. Lucyan był lekkim, zalotnym; lecz niechciał zwodzić nikogo.

Przywiązanie pani L... niepokoiło go niezmiernie; nie spał całéj nocy, i nazajutrz napisał list następujący:

,,Wzniosłość twego umysłu i szlachetność serca przebaczy mi zapewne krok, który za powinność moję uważam. Nie sądź mnie po pierwszém przeczytaniu tego pisma; nie karz mnie twoją wzgardą i nienawiścią, za czyn, który z czasem sama uznasz sprawiedliwym.

,,Gdybyś w moich oczach zwyczajną tylko była kobietą, chlubiłbym się twojém poświęceniem, pozwoliłbym się kochać tą miłością bez granic, i choćbym jéj nie odpowiedział godnie, używałbym spokojnie szczęścia, którémby mnie otaczała.

„Lecz gdybym nawet miał stracić w twojém sercu i umyśle, muszę ci wyznać prawdę. Kocham cię tyle, ile tylko kochać jestem zdolny: miłość była dla mnie tylko przyjemnością, póki nie poznałem ciebie; teraz jest szczęściem. Ale poświęcić jéj całe życie nie jest w mojéj mocy; znam siebie, nie mógłbym długo kochać z równą siłą i zapałem. Moc twojéj duszy wsparłaby bez wątpienia moję na czas jakiś, lecz w końcu musiałbym stracić na twoim szacunku.

„Nie Adelo! nie jestem ja takim, jakim mnie sądzisz; nie mógłbym cię zawsze kochać tak, jak zasługujesz, i dla tego nieprzyjmuję twéj miłości, nie przyjmuję twego poświęcenia: bo im więcéj się nad sobą zastanawiam, tym mocniéj czuję, żem niezdolny godnie mu odpowiedzieć.

„Żegnam cię! Nie gań odwagi, z jaką moje szczęście twojemu poświęcam itd.

Za całą odpowiedź odebrał te słowa:

„Odpowiem ci za miesiąc."

W istocie, w miesiąc potém, wieśniak jakiś przyniósł Lucyanowi list, i odszedł nie czekając odpowiedzi.

„Mój przyjacielu! Nie jestem już w Warszawie, lecz jestem szczęśliwa, spokojna; mówmy więc o tém, co minęło.

„Odebrawszy twój list, oburzyłam się, płakałam, gniewałam się, lecz potém otarłam oczy i zaczęłam myśleć.

„Uczyniłeś dla mnie to, czego żaden jeszcze mężczyzna dla żadnej nie uczynił kobiety; dziękuję ci!

„W miłości zawsze jedno kocha, drugie jest kochaném; podług mnie szczęśliwszy ten, co kocha; a kiedy mi ta właśnie część przypadła, przyjmuję ją chętnie.

„Potwarzasz się sam Lucyanie, nazywając się słabym; owszem więcej masz mocy duszy, jak sam może mniemasz: bo dobrowolnie, z szlachetności jedynie, wyrzekłeś się kobiety, która ci miłą była. Kocham cię i zawsze kochać będę, a jakkolwiek mało wzajemności odbiorę od ciebie, zostanę twoją, kiedy ty moim być nie możesz.

„Kupiłam mały domek nad Wisłą, o milę od Warszawy, i w nim resztę życia przepędzę. Nie jest to postanowienie rozpaczy; niezostanę pustelnicą; mój domek jest ładny i dobrze urządzony; jestem szczęśliwą; ubóstwiłam cię w mojém sercu, kocham cię bez samolubstwa; szczęśliwą będę, każdą chwilą twego szczęścia, choćbyś go obok innej doznawał kobiety.

„Odwiedź mnie kiedy; niech twoja obecność poświęci moje mieszkanie; ten jeden raz tylko przybądź, potém nie przyjdziesz, jeżeli nie zechcesz. —

Czekać cię będę zawsze, lecz bez gniewu, bez niecierpliwości, jeżeli cię długo wyglądać będę. Będziesz mógł przyjść jak kochanek, lub jak przyjaciel, po miłość lub pociechę, a zawsze dobrze przyjętym zostaniesz. Opowiesz mi twoje szczęście, lub strapienie; zwierzysz mi się ze wszystkiém; poradzę ci: bo będąc wyłącznie tobą zajęta, będę mogła wiedzieć, co ci korzystném będzie. Jeżeli będziesz kochał, rozpoznam, czy przedmiot twéj miłości będzie jéj godnym, nadewszystko nie pozwolę, żebyś miał sam kochać, bo nie mógłbyś tak, jak ja teraz postąpić, a wtedy umrzeć by trzeba. Są w ludzkiém życiu godziny, gdzie się życie ciężkiém zdaje: wtedy przyjdź do mego domku; zagram na arfie ulubione twoje śpiewki, smucić się będę twoim smutkiém: podzielony prędzéj minie.

»Gdybyś przyszedł niespodzianie po pięciu latach nieobecności, zastaniesz mnie czekającą na ciebie. Nigdy skarga z ust moich nie wyjdzie, nigdy na mojéj twarzy innego wyrazu, prócz szczęścia nie ujrzysz. Nie myśl, że się łudzę; miałam miesiąc czasu do rozwagi, do doświadczenia sił moich, pewną jestem tego, co ci obiecuję. Żegnam cię! ten jeden raz tylko proszę cię, abyś przyszedł.”

Lucyan wyjechał natychmiast, a w godzinę potém stanął przed domkiem Adeli. Znalazł go łatwo: był ładny, maleńki i prawie zupełnie zakryty kwi-

tnącemi akacyami. Serce mu gwałtownie biło; zapukał: otworzyła mu nie zalotna i zgrabna pokojowa, lecz tłusta, nieszykowna, przyjemna jednakże i porządnie ubrana wiejska dziewczyna; spytała się o nazwisko Lucyana, i wkrótce wróciła mu powiedzieć, że wejść może.

Pani L... siedziała niedbale na sofie. Pokój był obity błękitną materyą, firanki u okien i łóżka były błękitne i białe, kobierzec, krzesła i sofa błękitne. Pani L... miała na sobie białą kaszemirową suknię, lekko tylko pasem ściśniętą, a jéj włosy w gęstych i licznych zawojach spadały na twarz i szyję. Jeszcze jéj Lucyan nigdy tak piękną nie widział. Milczał długo, gdy zostali sami; doznawał tak nowych, tak rozlicznych uczuć, że nie miał na nie wyrazów.

Pani L... zdawała się tak wesołą, że Lucyan ledwie nie zapłakał. Ta kobiéta, tak była szczęśliwa, że go mogła kochać, że mogła wszystko dla niego opuścić — a on! Patrzała nań z uwagą, jak gdyby na długi czas chciała zebrać wspomnienia.

—Adelo! rzekł nakoniec.

Odwróciła oczy; zdawało się, że ją głos jego dotknął boleśnie.

Wziął ją za rękę.

— Adelo! zwiodłem cię, zwiodłem sam siebie; ja cię kocham, kocham cię z całéj mojéj duszy; chcę

żyć dla ciebie jedynie. Pani L... zdawała się zrazu być pomięszaną; potém wzięła go nawzajem za rękę, mówiąc: — Lucyanie, jeżeli mi to powiész jeszcze, uwierzę ci na chwilę, lecz na chwilę tylko. Dziś czujesz to, co mówisz; lecz z czasem dawna obojętność wróci, a jakżebym się potém obeszła bez szczęścia, któregobym całą wartość uczuła?... Pozwól mi się kochać! kochasz mnie może sam w téj chwili; bo nadzwyczajność naszego położenia silnie działa na twoję wyobraźnią; ale nie łudźmy się; takby zostać nie mogło. Lepiéj więc zostańmy tylko przyjaciołmi! Teraz zobacz mój ogród.

Lucyan westchnął i poszedł za nią.

Oprowadzała go po wszystkich ścieszkach, jakby chciała pomnożyć wspomnienia jego bytności.

Lucyan został na obiad; po obiedzie rzekła pani L... »Mój przyjacielu, zostań takim, jakim jesteś w istocie; nie zwódź mnie nigdy; jedno spojrzenie, jedno szczére, serdeczne ściśnienie ręki, milszém mi zawsze będzie nad obszerne oświadczenia. Kiedy zabawiwszy tak długo, jak cię tu przywiązanie zatrzyma, wyjdziesz bez wymówki, bez pozoru, czyż się będę mogła skarżyć na to, kiedy będę przekonaną, że przez ten cały czas, nie przymus, nie przyzwoitość, ale miłość cię zatrzymała? Jeżeli mi się czasem zdarzy niewidzieć cię przez kilka miesięcy, jakże będę szczęśliwą w dniu, w któ-

rym tu wejdziesz! bo wtedy pewną będę, że mojéj obecności szukasz i potrzebujesz.

Nie przymuszaj się do pisania; bąć szczérym, raz ci jeszcze powtarzam; nie zwódź mnie nigdy: wszak ja nie miłości, szczérości tylko żądam od ciebie. Twoje szczęście zawsze mojém szczęściem będzie, choćbyś go szukał w miłości innéj kobiety; dla tego bądź zawsze otwartym, wtedy nawet, gdy będziesz kochał inną, co będzie piękniejszą, dowcipniejszą odemnie, co nareszcie będzie inną....

Przy pożegnaniu, pani L... dała Lucyanowi klucz od domu, i z uśmiéchem poglądała za odjeżdzającym. Gdy go już nie było widać, weszła do domku, zamknęła się, a rzuciwszy się na kolana, zakrywszy twarz rękoma, zalała się łzami, które się przecz cały czas bytności Lucyana zbierały na jéj sercu.

Lucyan powrócił wieczorem; potém nazajutrz, na trzeci dzień jeszcze, na czwarty rzekł:

—Nie przyjdę dziś wieczorem, mam interessa.

—Bez żadnych wymówek, odpowiedziała mu uprzejmie Adela, — pamiętaj naszą umowę!

Lucyan nie przyszedł dwa dni, potém tydzień, potém miesiąc, lecz ile razy przyszedł, zawsze był czekanym; znać było, że przez cały czas jego nieo-

becności, pani L... nie miała i jednej myśli, któraby się nie ściągała do niego.

Raz nie przyszedł całe cztery miesiące.

Pani L... przebudzona z uśpienia szelestem w swoim pokoju, ujrzała Lucyana. Smutny, ponury, wziął ją za rękę, lecz jéj nie pocałował jak zwykle.

— Adelo! smutny jestem, nieszczęśliwy; przyszedłem płakać, wyrzekać przed tobą.

— Witam cię! rzekła pani L...; taki jesteś blady, znużony, może będziesz wieczerzał?

I ręką wskazała mu wieczerzę, którą od cztérech miesięcy kazała dla niego zastawiać co-wieczór, i bez szemrania sprzątać co-rano.

Lucyan nie chciał jeść; był pomieszany.

— Cóż ci jest? rzekła pani L...; może potrzebujesz pieniędzy? mam ich dość.

— Nie.

— Nie nalegam: byłoby to niegodném nas obojga. Kochasz się?

— Tak.

— Unika cię? czy cię zwodzi?

— Jedno i drugie; unika mnie, pozwoliwszy powziąć największą nadzieję.

— Jeżeli cię ta kobiéta kocha, przekonaj ją tylko, że ją kochasz nawzajem, lub wmów jéj to przynajmniej, to ci łatwiéj przyjdzie, a na jedno wychodzi. Jeżeli cię nie kocha, trzeba zręczności,

łecz przy mojéj pomocy, otrzymasz wzajemność.... Słuchaj tych rad, rzekła kończąc, i bądź pewnym wygranéj.

Lucyan mocno wzruszony, ścisnął jéj rękę. Byli sami wśród nocy i milczenia....

— Idź mój przyjacielu, odpychając go lekko, rzekła. I pojechał.

— Jaki posłuszny! mówiła do siebie z goryczą, kiedy jéj już niedochodził odgłos jego kroków — jak się śpieszy z moich rad korzystać! Lecz (dodała) czegóż się żalić? Będę nie jego kochanką, ale opiekuńczym aniołem; będę szła przed nim, usuwając przeszkody, co mu stawać będą na drodze życia; przygotuję mu to życie tak, że tylko jego przyjemności znać będzie.

I całą noc spędziła, zapominając o sobie, myśląc o szczęściu Lucyana, które rozdzierało jéj duszę, a przecież własném jéj było dziełem.

Długi czas Lucyan nie odwiedził Adeli. Wiele przez ten czas wycierpiała; nieraz budziła się w nocy, bo we śnie widziała Lucyana obok szczęśliwéj rywalki. Nie raz, płacząc gorzko, oskarżała Lucyana o nieczułość, i dziwiła się, że go tyle miłości, tyle poświęcenia nie wzruszało.

W miesiącu Maju, Lucyan znużony zimowemi zabawy, przyjechał do domku pani L... i oświadczył, że u niéj miesiąc cały zostanie. Spojrzała nań za-

dziwiona; lecz kiedy jéj toż samo powtórzył, oddała się dziecinnej radości, śmiała się, płakała, całowała ręce i włosy kochanka, tysiąc czyniąc układów, aby mu swój mały domek uprzyjemnić.

Nazajutrz zwiedzili ogród, i wszystkie miejsca, w których pani L... tak długo i tak często o Lucyanie myślała; karmili razem gołębie; oddychali pierwszych róż zapachem.

Na trzeci dzień, Lucyan ujrzał na podwórzu pięknego osiodłanego konia; przyprowadzono go z wybornéj stajni, i miał zostać na wsi tak długo, jak Lucyan zechce zabawić.

Wieczorami wsiadali w mały bacik, a puszczając go z biegiem wody, rozmawiali o chwilach, które zdala od siebie przepędzili. Adela nic prawie nie miała do powiedzenia; przez cały ten czas myślała tylko o Lucyanie, a smutek i zmartwienia swoje, najstaranniéj przed nim ukrywała. Słuchała jego opowiadań: wypytywała się o jego zabawach, miłostkach, o szczęśliwych swoich rywalkach nawet; słuchała z upodobaniem jego opowiadań, jak ten, co ocaliwszy się z rozbicia i stanąwszy na brzegu, spogląda na bałwany, którym uszedł zaledwie, i słucha ich ryku, połączonego z przerażającym swistem wiatru.

— Mów mi! rzekła raz, o tej, którąś kochał wtedy, gdyś mnie ostatni raz odwiedził: gdzie ona teraz? czy piękna? czy kochasz ją jeszcze?

— Na dwa pytania, jednem słowem ci odpowiem. Nie wiem wcale gdzie jest teraz. Nie była bardzo piękną, ale szczególny wdzięk i godność odznaczały każde jej poruszenie; głos miała tak świeży i słodki, jaki tylko dotąd aniołom przypisywałem, a płowe jej włosy, miększe i cieńsze były od jedwabiu.

Lucyan zamilkł na chwilę. Włosy Adeli były także płowe, miększe i cieńsze od jedwabiu; uderzyło go to podobieństwo, Pani L.., odgadła, co zajmowało Lucyana, z niewymowną rozkoszą czuła, jak jego ręka pieściła gęste zwoje jej włosów.

Bacik wrócił pod wodę. Adela, w lubém zamyśleniu, czy z istotnego pociągu, czy z zalotności, zaczęła nucić rzewną i przejmującą spiewkę; głos jej rozlegał się wśród nocnego milczenia; Lucyan słuchał z uwagą, wstrzymywał wiosło, wstrzymywał swój oddech, aby i jednego dźwięku nie stracił, i znów pogrążył się w dumaniu, bo głos Adeli był także słodki i świeży.

A jednak trzy tygodnie nie minęły, gdy się stał roztargnionym. Uważała to Adela, ujrzała nawet, że raz wsiadłszy na koń, mimowolnie zwrócił go ku Warszawie; tego samego wieczora pożegnała go, prosząc, aby odjechał: i usłuchał jej jeszcze.

Długo Adela żyła tylko wspomnieniem swego szczęścia; lecz, mimo wiedzy Lucyana, zajmowała się nim tkliwie. Lucyan, wróciwszy do Warszawy, zapoznał się z pewną znakomitą rodziną cudzoziemską, i bywał często w jéj domu, bo w nim była młoda dziewica, zwana Luizą: słodka, milcząca, szczupła, wysoka, lękliwa, zupełnie zajeła wyobraźnią Lucyana. Radzili mu przyjaciele, aby się z nią ożenił; bo ten związek bardzoby mu był korzystnym pod względem majątku.

—Majątek mnie nie zniewoli, odpowiedział; lecz w tydzień prosił ojca Luizy o jéj rękę.

Lucyan nie był bogatym; ale miał starego, bezdzietnego stryja, i wszyscy sądzili, że zostanie jego dziedzicem. Młodzieniec tylko wiedział, że z tego nic nie będzie. Kochany stryjaszek miał córkę, którą dotąd starannie na wsi ukrywał. Pewnego dnia rzekł do Lucyana:

—Mam córkę, i cały mój majątek jéj będzie własnością: wszelako jestem twoim przyjacielem, i nie chciałbym ażebyś został biedakiem; ożeń się z nią, a posiądziecie mój majątek.

Córeczka była trochę ułomna, i nie najprzyjemniejszego charakteru. Lucyan nic nie odpowiedział, lecz nie wrócił więcéj do jego domu.

Ojciec Luizy oświadczył, że chętnie swoję córkę odda Lucyanowi, z warunkiem atoli, jeżeli, przed

ślubem jeszcze, stryj mu zapewni taką summę, jaką Luiza dostać miała.

Usłyszawszy to Lucyan, poszedł do stryja, rozmawiał z nim przez dwie godziny przynajmniéj o rozmaitych obojętnych rzeczach, wstawał, siadał, chrząkał, przechadzał się po pokoju, nakoniec z wielką trudnością oświadczył mu czego żąda; lecz stryj, bez namysłu, powiedział, że nie da ani grosza, i drzwi mu pokazał.

W kilka dni Lucyan napisał do niego list w najczulszych wyrazach; lecz stryj wyjechał był z córką, nie powiedziawszy nikomu, gdzie i na jak długo. Wtedy młodzieniec w rospaczy zamknął się u siebie, i zaczął rozważać, jakimby sposobem zakończyć pełne przeciwności życie. Pistolet... woda.. tak równe miały za sobą korzyści, że trudno było wybrać jedno z nich na prędce. Namyślał się więc ze dwie godziny, gdy wszedł jakiś nieznajomy, i oddał mu w imieniu stryja oblig na wypłatę oddawcy, summy, równéj prawie téj, o którą napróżno błagał dziwacznego starca.

Pobiegł do ojca Luizy, przyjęto go; dziewczyna dość się radowała małżeństwem, ale obojętnie jéj było iść za Lucyana lub za kogo innego. Lucyan zdziwił się, widząc ją tak zimną; lecz wkrótce wmówił w siebie, że tchnienie miłości ożywi piękne to stworzenie, i że niesłusznieby było żalić

się na tę słodką niewinność, na tę skromną trwożliwość, co nie tylko pierwszą miłość miała przynieść szczęśliwemu małżonkowi, lecz nawet pierwiastki wszystkich uczuć, które się z czasem dopiero rozwinąć miały.

Nakoniec, choć Lucyan niedbał o to, Luiza była bogatą, była nawet ładną, podobną do delikatnych winietek Johaneta; tylko że jego winietki więcéj mają życia i wyrazu.

Mimo poetycznéj twarzy, Luiza w rozmowach z Lucyanem bardzo się prozaiczną okazywała: na wygórowane jego oświadczenia miłości, odpowiadała układami, ściągającemi się do urządzenia przyszłego ich domu; liczyła, ile im będzie trzeba pokoi, wybierała służących, kazała szyć bieliznę, robić srébrne naczynia i t. p.

Gdy pewnego wieczora Lucyan wrócił do domu, rzekł mu odźwierny:

—Pan tu już nie mieszka; lecz pod N. 15 na téj samej ulicy. Oto klucz od nowego mieszkania! kazano mi go panu oddać w imieniu stryja.

—Ależ, —rzekł zdziwiony Lucyan, moje sprzęty, papiery?

—Wszystko już przeniesione, a nawet stancya na górze komu innemu najęta.

Lucyan rozumiał że śpi; poszedł jednak pod N. 15: mieszkanie jego było wygodne, przybrane wy-

twornie i w najlepszym smaku; nie brakawało nic, coby mogło być przyjemném lub użyteczném, a z całego urządzenia znać było, że się w niém nie spuszczono na tapicera,

Lucyan nie spał całą noc na wyborném swojém łóżku, nie dla tego, żeby lubił twardo sypiać, lecz myśli o przyszłém małżeństwie i o tajemniczych dobrodziejstwach stryja, nie pozwalały mu zmrużyć oka.

Nazajutrz odebrał list od Adeli, w tych tylko zawarty słowach:

„Wyjeżdżam na kilka miesięcy."

Biedna Adela! pomyślał Lucyan; pewno się dowiedziała o mojém małżeństwie.... lecz po co te smutne myśli? czyż ich i tak mam mało?

Usiadł przy nowém biurku, otworzył szufladę, znalazł wszystko czego do pisania potrzeba, i zaczął pisać list z podziękowaniem do stryja. Już był z góry napisał „Kochany Stryju!" gdy, spostrzegłszy że było późno, zamknął biurko i poszedł do Luizy.

Przyjęła go zimno, jak zwykle. Każdy dzień zbliżał chwilę ich związku, a młoda Angielka nie była ani tkliwszą, ani poufalszą. Siadła do fortepianu i zaczęła śpiewać; głos jéj był miły, lecz jednostajny, a do tego śpiewała piosnkę, którą przed kilką miesiącami Adela z takiém uczuciem śpiewała na wodzie.

Lucyan nie mógł przytłumić wzruszenia, jakie w nim to wspomnienie wzniecilo; wyszedł wcześniéj jak zwykle. Wróciwszy do siebie, zastał bogaty koszyk; stryj go przysłał. Lucyan zdziwił się na nowo, tym bardziéj, że wszystkie przedmioty najstaranniej były dobrane, nawet w wyborze kolorów nie zapomniano, że Luiza była blondynką. —Któż się tym koszykiem zajmował? stary stryj? — nie podobna żeby miał tyle dobrego smaku; może niekształtna odrzucona córka?....

Wyznaczono dzień ślubu za trzy tygodnie. Raz wieczorem, Lucyan nie zastawszy nikogo w salonie ojca Luizy, a widząc drzwi przyległych pokoi otwarte, przeszedł je, i zastał Luizę w jéj pokoju.

Zarumieniła się jak wiśnia; byłoto drugie wzruszenie, które Lucyan w niéj spostrzegł. Piérwsze było rodzajem wstydu i niecierpliwości, gdy raz Lucyan zganił konfitury, przyrządzone jéj ręką. Drugie było prawie równe pierwszemu. Wyrzucała przykro Lucyanowi, że się ośmielił wejść do jéj pokoju; usprawiedliwiał się jak mógł, dowodząc, że w Warszawie wcale tego źle nie uważają. Ale gniew kobiety to sobie ma właściwego, że mu trzeba koniecznie wolne pole zostawić; najjaśniejsze dowody, najrozsądniéjsze uwagi, sprawiają ten sam skutek, co drobne kamyki rzucane w wodę; woda mruczy głośniej i płynie dalej.

Zły humor łatwo się udziela; niechętny Lucyan wyszedł. Nie wiedział co robić i poszedł do stryja. Starzec przyjął go zimno; wrócił był dopiero dnia poprzedzającego z podróży; lecz gdy mu Lucyan zaczął oświadczać swoję wdzięczność za wspaniałe jego dary, zawołał z niecierpliwoscią:

—Mości Panie! czyś głowę stracił? czy żartować myślisz? Miałżebym cię właśnie wtedy obsypywać dobrodziejstwy, kiedyś mi się niewdzięcznym i nieposłusznym okazał?

—Ależ.., odezwał się Lucyan.

—Ależ, rzekł stryi, nie łudź mnie, ani siebie! nie dałem ci nic, i nic dać nie myślę; nie chce cię znać, ani twojej przyszłej żony; nie chce nawet słyszeć o tobie, i twoich listów wcale przyjmować nie będę.

Obrażony Lucyan wyszedł. Gdy wrócił do domu, powiedział mu odźwierny:

—Jest tu list do pana; przyniósł go służący pańskiego stryja.

—Ciekawym, rzekł Lucyan, czego jeszcze chce odemnie ten stary dziwak? Jeżeli dar jaki, odrzucę.

Otworzył list; był on od Adeli,

—Mój przyjacielu! pisała mu, — moja podróż potrwa całe lato; szczęśliwąbym była, gdybyś przez cały ten czas zajmował mój domek nad wodą. Wierz mi, że się szczérze cieszę wszystkiém, co cię uszczę-

śliwić może, a spodziewam się, że twoje małżeństwo będzie należało do liczby tych zdarzeń... Nie odrzucaj mego domku, jeżeli mnie nie chcesz zmartwić.

Lucyan zszedł na dół.

—Skądże ci przyszło do głowy, rzecze do odźwiernego, że to służący mego stryja ten list ci zostawił?

—Skąd mi do głowy przyszło? poznałem go przecież; wysoki, brunet, w szarym surducie.

—Bynajmniéj! rzekł Lucyan; służący mego stryja jest nizki i chudy staruszek, chodzi zaś w błękitnéj liberyi.

—A, to chyba pański stryj ma kilku służących; bo to ten sam brunet, w szarym surducie, najął to mieszkanie, zajął się urządzeniem go, przyniósł koszyk, a dziś ten list oto.

Lucyan stanął na wschodach; nagła myśl mu się nawinęła.

Służący, co najął moje mieszkanie, przyniósł mi list od Adeli; a mój stryj, co się wszystkich darów tak szczerze wypiera!.... Wyszedł; pobiegł do odźwiernego dawnego swego mieszkania.

—Kto się zajmował przenoszeniem moich sprzętów? zapytał.

—Wysoki jakiś brunet w szarém ubraniu. Czy panu brakuje czego?

— Nic! a kto mieszka w mojéj stancyi na górze?

— Jakaś pani.

— Jak wygląda?

— Piękna, blondynka, grzeczna bardzo, ale smutna.

— Czy przychodzi do niéj ten służący w szarym surducie?

— Prawie co-dzień.

Lucyan wrócił do siebie smutny i zamyślony.

Rano, przysłał mu ojciec Luizy projekt ślubnego kontraktu, i wezwanie, aby przysposobił wszystko do obrzędu, ażeby kazał ogłosić zapowiedzi i zamówił wszystko w kościele, bo młoda narzeczona była katoliczką.

Warunki kontraktu tchnęły nieufnością, obłudą, i widocznie miały na celu, nie tylko utrzymanie Luizy w zupełnej niezależności od męża, lecz owszem poddanie go pod władzę żony.

Lucyan napisał list do ojca Luizy; potém kazał ogłosić zapowiedzi, zamówił powozy, i ułożył się z przełożonym kościoła, gdzie ślub miał być dany

We dwa tygodnie potém przebudził się szczęśliwszym, weselszym, niż był kiedykolwiek. Ubrał się, powydawał potrzebne rozkazy, wsiadł do doróżki i pojechał.

Zajechał przed swoje dawne mieszkanie. Nic nie mówiąc nikomu, wszedł na czwarte piętro i zapukał.

Adela sama drzwi otworzyła. Zbladła, ujrzawszy Lucyana; usiadła śpiesznie, aby nie upaść, i dała mu znak ręką, aby także usiadł.

—Adelo! dziś mój ślub.

—Wiém o tém.

—Żenię się za dwie godziny.

—I to wiém; pójdę do kościoła, i nikt się pewno tak gorliwie, jak ja, o twoje szczęście modlić nie będzie.

—Adelo! próżno się ukrywałaś tak długo; wiém o wszystkiém. Tyś-to najęła i urządziła mieszkanie, które dziś zajmuje, tyś mi przysłała kontrakt corocznych dochodów, a potém bogaty koszyk.

Adela, spuściła głowę.

—Zubożałaś, aby mnie zbogacić, aby mi dostarczyć środków zaślubienia innéj kobiéty.

—Nie jestem ubogą, rzekła Adela pół głosem; zapewniłam na całe życie utrzymanie mojéj matki, zostawiłam sobie wiejski domek i tyle, ile mi do życia potrzeba.

Uścisnął ją Lucyan; potém otworzył drzwi, i wszedł służący z koszykiem, przeznaczonym dla Luizy.

—Adelo! ubiéraj się; bo jeżeli się żenię, to z tobą! Nie Luiza, ale ty będziesz moją za dwie godziny!

Adela ledwie żywa z wzruszenia padła na kolana.

—Moja Adelo! rzekł Lucyan,podnosząc ją i przyciskając do piersi, —ubieraj się, wszystko już gogotowe, czekają na nas w kościele, zapowiedzi już wyszły; z pomocą twojej matki wszystko to załatwiłem!

—I moja matka.....

W tym usłyszano turkot powozu; matka pani L... weszła w uroczystym stroju; szczęśliwa, ubrała szczęśliwą Adelę, podczas, gdy Lucyan wyszedł dla dania jeszcze niektórych poleceń służącym Nie zapomniała kazać poprzerabiać na swoję córkę wszystko, co ona przygotowała dla Luizy.

W dwie godziny potém Lucyan i Adela byli złączeni. We trzy godziny, byli sami, w małym domku nad Wisłą.



Mój List.

Przelać boleść chcę w wyrazy;
  Ale dusze, jak ze stali,
Ale serca, jako głazy,
  Nie podzielą moich żali....

Trzymam lutnię w mojém ręku,
  By roztopić boleść w tony;
Ale nie chce wydać dźwięku;
  Popękały wszystkie strony!

Choć nabiegły krwią powieki,
  Do jednéj, jednéj osoby,
List napiszę... w kraj daleki,
  W kraj daleki — aż za groby!....

Do méj lubéj list napiszę,
Co snem wiecznym śpi w mogile;
List jéj poślę w to zacisze;
Ach! ona go przyjmie mile!

»Luba!" powiém, »tu nieczuli —
Zrób mnie miejsce pod twym głazem;
Niech nas jeden głaz przytuli,
Będziemy na wieki razem!...

Teofil Nowosielski.



Jéj Oczy.

Przed białym dworem,
Cichym wieczorem,
Stanąłem z miłą,
Moją Ludmiłą.

Gwiazd było na niebie roje,
Co pięknie, jasno świéciły,
Lecz kiedy do nich przybyło dwoje,
Dwoje ócz mojej Ludmiły;
Gdy roztoczyły blask swój uroczy,
Niebieskie pogasły oczy....

Teofil Nowosielski.

JULJA.

W ogromnéj sali starożytnego Mac-Gregorów zamku siedziała młoda Julja, jedyna dziedziczka ich imienia i dostatków; wsparta na stojących przed nią krosienkach, tęsknym wzrokiem poglądała na wzburzone morze, rozbijające się z hukiem o odwieczne skały, które zamkowi za podnóże służyły.

Obok niéj, na nizkim stołku, z wrzecionem w ręku, lecz równie jak dziewica nieczynna, siedziała stara jéj mamka Elżbieta, smutna, zamyślona; wzrok jéj nie w morzu, lecz w bladém młodéj pani tonął obliczu, a blask ciemnego jéj oka, i częste zmiany pomarszczonéj twarzy, zdradzały wewnętrzną walkę.

—Juljo! rzekła nakoniec: czegóż tak pilnie patrzysz w te wały?.... czyż się zmieniły, od czasu, jak im się od rana do nocy przyglądać zaczęłaś?... niemasz-że w koło siebie godniejszych uwagi przedmiotów?

Julja zwróciła zwolna głowę ku staruszce, i wpatrzywszy się w nią przez chwilę, rzekła smutnie:

—Ciebież ja słyszę, Elżbiéto! ciebie, coś mnie swójém mlekiem wykarmiła, co znasz każdy czyn, każdą myśl całego mego życia; ty mnie pytasz? dla czego na morze poglądam? Czyliżeś zapomniała, że te wały uniosły mego Allana aż na drugi koniec téj ziemi, i że prędzéj czy później, wrócić mi go muszą!

—Muszą! powtórzyła smutnie staruszka; tylko Pan Nieba ma prawo rozkazywania morskim falom!

—Cóż znaczą te złowróżbe wyrazy?... Elżbiéto! miałażbyś jakie przeczucie?

—O nie!... rzekła przeciągłym głosem mamka.

—Cóż więc? mów! na Boga! Wiadomość od Allana?....

—Nie mam jéj. Możnaby ją wszelako w każdym czasie otrzymać.

Julja powstała z wysokiego krzesła, zbliżyła się do staréj niewiasty, i rzekła surowo:

—Elżbiéto! jeżeli chcesz, abym cię zawsze za moję mamkę uważała, nie zapominaj, że we mnie

masz panią, i że córka Mac-Gregorów, nikomu, nawet tobie żartować z siebie nie dozwoli!

— Pani! zawołała zmieszana temi słowy Elżbiéta, padając przed dziewicą na kolana: jabym z ciebie żartować miała!... chciałabym ci dopomódz, pocieszyć! O! gdybyś chciała pójść za wiernéj sługi radą.

— Mów więc, mów! rzekła żałująca swéj porywczości Julja: jakim sposobem można się dowiedzieć o losie Allana?

— Oto... pod zamkiem, w pieczarze, na samym brzegu morza, mieszka cudowna niewiasta....

— Stara Meg? przerwała strwożona Julja.

— Tak jest. O! święta-to kobiéta! dawno już mawiano, że do niéj anioł schodzi z nieba i przyszłe rzeczy odkrywa; a od czasu jak umarła, znów ożyła.

— I ty takim baśniom wierzysz Elżbiéto?

— Baśniom? ach pani! nie mów tego, bo stara Meg, nietylko, że wié, co kto wymówi, ale nawet, co pomyśli. Potém, jak nie mam wierzyć temu, co na własne oczy widziałam? Pobożna Meg umarła przed trzema miesiącami; złożono ją nieżywą w ciasnéj pieczarze; odwiedzałam jéj ciało, zmówiłam wraz z drugiemi pacierz za jéj duszę, a w trzy dni potém, ujrzeliśmy ją chodzącą jak dawniéj, tylko, że teraz zawsze twarz kapturem okrywa, i głos jéj się zmienił cokolwiek.

Zamyśliła się Julja. Wychowana w prostocie i bogobojności, wahała się przez chwilę; lecz wnet miłość, niepewność i ciekawość, przemogły skrupuły i obawę.

— Sądzisz więc, rzekła do mamki, że Meg i to wié, co się w Ameryce dzieje?

— Ach! nietylko, ale nawet to, co się dzieje w niebie, a może i...., rzekła żegnając się staruszka.

— Kiedy tak, Elżbiéto! mogłabyś jéj się zapytać...

— Ja? o! nie pani! Kto się chce czego od staréj Meg dowiedzieć, sam musi iść do niéj, i to po całodziennym poście, bo inaczéj, jéj słowa nie miałyby żadnego znaczenia.

Julja odwróciła się od Elżbiéty i zasiadła obojętnie do krosienek.

Nazajutrz, za nadejściem nocy, młoda dziewica ciemnym płaszczem okryta, udała się w towarzystwie staréj mamki, do pieczary cudownéj niewiasty. Zastali ją w kącie tego ponurego, torfowym dymem napełnionego schronienia, a mdły płomyk tlejącego zarzewia, czasami tylko oświecał jéj wysoką, brunatną szatą pokrytą, postawę.

— Kto tam? zawołała grubym, lecz stłumionym głosem, usłyszawszy ich stąpanie.

Julja, przejęta nieznanem dotąd uczuciem trwogi, zatrzymała się w milczeniu; lecz Elżbiéta, przywykła już, jak się zdawało do podobnych odwiedzin, rzekła za nią:

— Jest-to młoda dziewica, matko! która się przez was chce dowiedzieć o losie narzeczonego.

— Julja Mac-Gregór! zawołała szydersko tajemnicza istota. O młoda pani! daleko od siebie dwa brzegi morza.... głębokie dno. . a wątła deska, co zuchwałego człowieka po jego powierzchni unosi.

— Kobiéto! rzekła Julja, zbiérając całą przytomność umysłu, nie staraj się wzniecić we mnie próżnej obawy, bo tego czczemi nie dokażesz wyrazy! Lecz jeżeli umiesz czytać w przyszłości, odkryj ją memu oku, a jaką zechcesz nagrodę.....

— Jeśli umiem! przerwała oburzona Meg: co było, co jest, co będzie, wszystko, jak na dłoni widzę a nagroda!... czémżeby mnie dziedziczka Mac-Gregorów nagrodzić mogła?

Julja i Elżbieta milczały, bo głos starej mieszkanki pieczary, wznosząc się coraz bardziéj, nie zdawał się z kobiécéj piersi wychodzić.

Po chwili przestanku, stara Meg mówiła dalej:

— Dziewico! twój Allan popłynął do Ameryki; bo przed połączeniem się z tobą, potrzeba mu było błogosławieństwa starego stryja.... — Przytłumiony śmiéch nastąpił po tych wyrazach. — Tak

to często bywa, że człowiek pewne dla niepewnego dobra rzuca!

Cudowna niewiasta zamyśliła się głęboko; lecz wkrótce przyszła znów do siebie, i szybko, jakby z niecierpliwością, wymówiła te słowa:

— Jutro, o północy, rok właśnie upłynie od chwili, w której cię twój narzeczony opuścił. Jeżeli chcesz zbadać jego przeznaczenie, pość i módl się przez dzień cały, a nad wieczorem, czekaj mnie sama w twojej komnacie.

Skinęła ręką na znak pożegnania. Julja i stara jej towarzyszka wyszły z pieczary, i nic do siebie nie mówiąc, zbliżyły się ku zamkowi: bo przykre jakieś uczucie przejmowało je obiedwie, a szyderczy głos wróżki, wychodzący z pod grubego kaptura, złowieszcze się odbijał w duszy młodej dziewicy.

Całą noc przepędziła bezsennie, walcząc z sprzecznemi uczuciami: raz, żałując uczynionego już kroku, postanawiała zaniechać zuchwałego badania przyszłości; to znów, słodkiej oddając się nadziei, z upojeniem myślała o chwili, która tak długą niepewność zakończyć miała. Nakoniec, równo ze świtem opuściła łoże, i już-to zaleceniem starej Meg, już własném powodowana uczuciem, udała się na modlitwę. Cały dzień spędziwszy bez posiłku i rozrywki, Julja niecierpliwie wyglądała przybycia

wróżki. Jakoż, o zupełnym zmierzchu, olbrzymia jej postawa stanęła w pokoju dziewicy.

— Juljo! — rzekła swoim podziemnym głosem, — badałam nadprzyrodzone władze o twoję przyszłość, i przychodzę tu ci ją oznajmić, jeżeli masz dość odwagi, aby ją poznać gdyby niepomyślną była.

— Mów! co-prędzej! zawołała niespokojna Julja.

— Módl się więc do samej północy, ale samotnie; wtedy spójrzyj na księżyc, i uważaj jakie go chmury otaczać będą. Jeżeli białe, — twój Allan ci się przeniewierzył. Jeśli czarne, — umarł. Jeśli czerwone, — poległ w walce. Ale jeżeli ujrzysz księżyc bez chmury, po błękitnym toczący się przestworze, wtedy bądź pewną, że twój narzeczony wierny, i szczęśliwy, niebawnie powróci.

Domówiwszy tych słów, Meg wyszła spiesznie z komnaty, nie zważając na dziękczynienia dziewicy; a ta, powtarzając sobie wieszcze staruszki słowa, uklękła w otwartém oknie, i z większym jak poprzednio zapałem modlić się zaczęła.

Po kilku godzinach trwożnego oczekiwania, północ wybiła nareszcie. Julja wzniosła oczy ku księżycowi, lekkie białe chmurki krążyły koło niego. — Boże! zawołała: czyżby to być mogło? mój Allan niewierny! — lecz zwolna białe obłoczki różową przybierają barwę, a ta, również nieznacznie,

zmienia się w krwawą łunę. Nieszczęśliwa Julja, dwudniowym postem i całodzienną na kolanach modlitwą, fizycznie i moralnie osłabiona, uległa pod tym ciosem.

— Niewierny!... i zabity!... wyrzekła tylko i bez czucia padła na bogaty przy oknie rozesłany kobierzec.

Po chwili wraca jej przytomność; najpierwej więc pogląda na księżyc. Lecz jakże tak z sobą sprzeczne pogodzić wróżby? Ostatnie dźwięki zamkowego zegaru brzmią jeszcze w uchu dziewicy, a księżyc, żadną nieprzyćmiony chmurą, jasno świeci na czystém nieba sklepieniu. Ciche skrzypnięcie podwoi zwróciło uwagę Julii odwraca się od okna, i spostrzega.... nie twarz, gdyż ciemność, panująca w pokoju, i strusie pióra; z czapki spływające, nie dozwalają jej dokładnie rysów rozeznać, lecz — postać, chód, i ubiór Allana.

— Dzięki niebu! zawołała radośnie, usiłując się podnieść i biedz w otwarte narzeczonego ramiona; ale nagle wstrzymuje się z przestrachem, gdyż obok niego, drugą takąż samą postać spostrzega.

Przerażona tém zjawiskiém, sądząc się pod wpływem czarów i zaklęć starej Meg, szczérze żałować zaczyna, iż uniesiona naganną ciekawością i łatwowiernością poddała się dobrowolnie jej tajemniczej władzy. Chce się modlić; lecz wysilona tylu wra-

żeniami dusza nie ma dość mocy, aby się wznieść do Stwórcy; znękane zmysły opuszczają ją nanowo; słuch tylko najdłużej pozostaje, wstrzymany zapewne szczękiem ścierającej się broni i groźnym głosem Allana, wołającego: poddaj się!

Gdy po długiem omdleniu Julja do życia wróciła, ujrzała się na sofie, otoczona wszystkiemi prawie służebnémi swemi; wierna kobieta nacierała jej skronie orzeźwiającemi płynami, a młody Allan, w największej niespokojności i trwodze, oblewał łzami rękę dziewicy. Julja sądząc się jeszcze w obecności widziadła, które ją tak mocno było przeraziło, przeżegnała się i odwróciła oczy z pośpiechem. Zwolna tylko, i w miarę wzrastających sił ciała i ocucającej się tkliwości serca, przekonała się, że nie marę, lecz w istocie swego narzeczonego widzi; nie mogła jednak pojąć, co znaczyła podwójna jego postać, którą tak wyraźnie widziała o północy. Wyobrażenia jej mieszały się coraz bardziej; niepewność wzrastała; lecz nim zdołała zadać komukolwiek zapytanie w tym względzie, lekki ale posilny sen objął jej zmysły. Służebne wyszły z pokoju. Allan, również zaspokojony, opuścił Julję na chwilę, zostawiając ją pod strażą przywiązanej mamki.

Już się słońce wysoko wzniosło na niebie, gdy dziedziczka Mac-Gregorów wyszła z głębokiego

uśpienia, przetarła oczy, zebrała myśli, i od wchodzącego właśnie Allana, żądała objaśnienia wczorajszego wypadku.

O kilka godzin drogi od zamku Mac-Gregorów, mieszkał młody Jakób Kenneth, z dawnéj i równie szlachetnéj, jak Julja, pochodzący rodziny; możny, bogaty i niezależny od nikogo, widział ją nieraz chodzącą ze starą mamką po lesie, lub nad brzegiem morza, a nie wiedząc o jéj rodzie, pokochał namiętnie. Dowiedziawszy się wszelako o jéj nazwisku, stracił zupełnie nadzieję otrzymania kiedyś ręki dziewicy, i czarny smutek opanował jego młodą i ognistą duszę: bo od kilku lat słyszał o znanéj powszechnie rodzinnéj umowie, łączącéj młodego i świetnego Allana ze znakomitą Mac Gregorów dziedziczką.

Gdy na wezwanie ukochanego swego stryja Allan popłynął do Ameryki, w celu otrzymania przed ślubem błogosławieństwa sędziwego starca i objęcia w posiadłość ogromnego jego majątku; promień radości rozjaśnił zasępione czoło Jakóba: bo sądząc z przysłowia: »lepszy kwiczoł w ręku, niż cietrzew na sęku;" spodziewał się zbliżyć do Julii i zatrzeć w jéj pamięci nieobecnego Allana.

Znikła jednakże ta nadzieja, gdy dziewica, zaraz po odjeździe narzeczonego, głośno oświadczyła, że, aż do jego powrotu, nikogo obcego widzieć nie chce.

Strapiony, lecz nie zniechęcony tém młodzieniec, nie mogąc pokonać wzrastającego z przeszkodami uczucia, postanowił siłą, lub zdradą posiąść rękę Julii; podwojona liczba sług zamkowych, wątpliwém i niebezpieczném czyniła pierwsze z tych przedsięwzięć; drugie więc przynajmniej chciał przywieść do skutku.

Oddawna przebywając w pobliżu Julii, łatwo się dowiedział o śmierci staréj Meg, uważanéj w całéj okolicy za prorokinią. Natychmiast więc umyślił korzystać z tego zdarzenia. Pogrzebał w nocy jéj ciało, przywdział jéj szaty, przywłaszczył sobie pieczarę, i uchodząc za zmartwychwstałą niewiastę; zjednał sobie nieograniczoną cześć gminu, sług zamkowych, a między nimi Elżbiety.

Osiadłszy tak blisko zamku, sądził się równie zbliżonym do celu swych życzeń. Ale długi czas upłynął, nim mu, za pośrednictwém łatwowiernéj i odurzonéj tajemniczemi mowami mamki, udało się zwabić Julją do pieczary, pod postacią mniemanéj wróżki, zjednać sobie jéj zaufanie, wcisnąć się aż wgłąb zamku i przejrzeć położenie jéj pokoju. Łatwowierność dziewicy sprzyjała zuchwałemu za-

miarowi jego; ułożył więc sobie plan, któryby się niezawodnie udał, gdyby nie nagłe i niespodziewane przybycie narzeczonego.

Widząc z jaką wiarą dziewica przyjęła wieszcze jego wyrazy, Jakób pochlebiał sobie, iż osłabiona na ciele i umyśle, i przygotowana na śmierć lub zjawienie się Allana, byłaby zapewne przebranego zwodziciela wzięła za niego, lub jego marę, a uwiedziona podobieństwem głosu, które powszechnie w dwóch młodzieńcach upatrywano, byłaby bez wątpienia zawierzyła słowom mniemanego Allana, i bez oporu poszła nad brzeg morza. Tam czekać ich miała łódka, w którą wsiadłszy, przeprawiliby się do kaplicy na wązkiem stojącej wybrzeżu, i odurzona, wysilona tylu wzruszeniami Julja, czyniąc zadość zmyślonemu rozkazowi ukochanego w nocy, w milczeniu i bez świadków, przysięgłaby wieczną wiarę od dawna wybranemu młodzieńcowi. Wtedy musiałaby spaść zjej oczu zasłona; lecz nie czasby się już było cofnąć; a przytem Jakób ufał, że tak wielka miłość usprawiedliwi niezbyt szlachetny postępek w oczach dziewicy, i że całe życie poświęcenia się dla niej, wynagrodzi chwilę podejścia.

— Nieprawdaż! rzekł Allan, skończywszy opowiadanie, że plan ten doskonale był ułożonym?

— Dzięki niebu, że się nie udał! zawołała dziewica, lecz któż cię o nim tak dokładnie uwiadomił?

— Sam Jakób. Więcej mojém nagłém zjawieniem się, jak orężem pokonany, uległ mojéj sile, i przez cały czas twojego snu i omdlenia, zostawał pod strażą; w téj chwili wracam od niego: w uniesieniu rozpaczy opowiedział mi wszystko, prawie mimowolnie.

— I dotąd w więzieniu zostaje? zapytała Julja.

— O nie! wróciłem mu wolność, i tak dość cierpieć będzie, ile razy wspomni o szczęściu, które zdradą napróżno chciał pozyskać, a które zwłasnéj twojéj woli stanie się moim udziałem.

Paulina H.....



Czarne Jezioro.

Ballada.

W pół wiszą piaski, w pół rośnie dziewanna,
    Ponad brzegami jeziora.
Tam, czyli zorza błyśnie poranna,
    Czy święci księżyc z wieczora,
    Ranki, wieczory, przebłąka dziewica,
    Rączki obie załamane,
    Na licu miłość, w ustach tajemnica,
    A oczy łzami zalane.
Duma w zaroślach, to wkoło spogląda,
Czyli kto z obcych nie stoi?
To stanie, spojrzy, coś widzi, coś żąda,
Chce wołać, ale się boi;

Wreszcie klasnęła i nad brzeg wybiega;
Na ten znak plusnęły wody,
Wierzchem czółenko suwa się od brzega,
Na czółenku rybak młody.
— »O moja Łusiu, moja ty kochana,
Tak późno!" — »Ciszéj, ach! ciszéj."
— »On o dwie mile," — »Ach ty nie znasz pana!
On o dwie mile dosłyszy."
— »Nie bój się luba, daj całować rączki,
Daj ust, zerwij obsłonki!
Piersi twe jakby lilijowe pączki,
Jak lilijka białe członki.
Ty drżysz ty płaczesz!" — »Ach! patrz czy się mylę?
Czy on spogląda i szydzi!"
— »Ach bądź spokojna, on stąd o dwie mile."
— »On o dwie mile dowidzi."
— »O Łusiu, Łusiu, zastanów się przecie!
Zawsze łzy i zawsze trwoga!
Wspomnij czém jesteś, jak żyjesz na świecie?
Pamiętaj na Pana Boga!
Wszak dawniej razem, niewinni, najszczersi,
Tyle dni, tyle miesięcy."
— »Zabij mnie, zabij! nóż mi utop w piersi,
A nie wspomnij tego więcéj.
Już mi się z oczu, łez wylała rzeka,
W sercu coś boli a boli,

Żem do pościeli dzikiego człowieka
Przykuta, pomimo woli.
Chcesz, to ucieknę; oboje tułacze,
Pójdziem w świat, ja się ukryję,
Przy tobie luby, przy tobie!" — Tak płacze,
Dłoń mu zarzuca na szyję,
Usta spoili ognistym oddechem,
Łzy im się obu wyleją,
Serce przy sercu uderza z pośpiechem,
Siły opadły i mgleją.
W uściskach padli — w tém z krzaków wyskoczy
Strzelec, od złota ubrany,
Twarz purpurowa, zakrwawione oczy,
A wargi białe od piany,
— »Ha obłudnico! żmijo jadowita!
To wiara, to miłość taka,
Dość, dość słyszałem!" — za włosy ją chwyta,
Nogami bije rybaka.
— »Hej! wiązać." — Słudzy oboje porwali,
Krępują chrustem we czworo;
— »Kamień do szyi!" — kamień przywiązali;
Skinął, — rzuc ii w jezioro.
I tak zginęli, nieznani nikomu,
Lat już ubiegło niemało,
Wszycy pomarli spokojnie i w domu,
Tylko wspomnienie zostało

I ustroń dzika. — Patrz miasto na przodzie
Wisi przed borem na piasku,
W lewo gaj długi przy rozległej wodzie,
W prawo jeziora wśród lasku:
Miasto — to Skoki; — wlewo, zbieg strumieni,
Morze płynące niesporo,
Gaj Budziszewski nad niem się zieleni,
A w prawo — Czarne jezioro.
Przy niem tak smutno, tak dziko, jak w grobie;
Piasek świeci nieustannie.
Tam spytaj starców, a powiedzą tobie,
O rybaku i o pannie.
Posłuchaj w północ, to jakby do łowu,
Raz psów odgłos w puszczy dzikiej,
To znowu trąbka daleko, to znowu
Huk i strzeleckie okrzyki.
Jeśli litością nie wzruszył cię biedny,
Wesoł cudzym niepokojem,
Jeśliś kamieniem i łzyś nawet jednej
Nie uronił w życiu twojem;
Stań nad jeziorem, kiedy wody tkliwe
Wietrzyk północny zamąci,
Wtenczas z wód jedno westchnienie płaczliwe,
Łzę z twoich oczu wytrąci.

A. J. Szabrański.

Ostatni raz w dolinie

Jaż was opuszczać muszę? o wy! miejsca drogie,
Swietnego niegdyś mienia ostatnie już szczątki. ...
Ach! jakże wydrzeć duszy wspomnienia tak mnogie,
Jak rzucić wszystkie życia mojego pamiątki,
Jak?... los chciał; próżno serce dreszcz przebiega,
Próżno na myśl rozstania łzy obficie płyną,
Ostatni raz już tutaj głos się mój rozlega,
Bądź zdrowa, luba dolino!

Bądź zdrów kochany domku, wśród którego cienia
Szczęśliwego dzieciństwa lata się przewiły;
Kędy, w życia jutrzence różane marzenia;
W uroczych mi obrazach cały świat stawiły.

Lube uczucia, co dziś myśl mą wami pieszczę,
Swobodo! wesołości! w téj smutku godzinie
Zniknyście; niech przynajmniéj wam poświęcę jeszcze,
Ostatnią myśl w téj dolinie!

Jak piękne w tym ogródku różnofarbne kwiatki,
Odradzając się corok, młodość mą wieńczyły;
Tu była luba ustroń ukochanéj matki;
Jéj prace każdą stopę ziemi uświęciły.
Kwiaty! nasyćcie wzrok mój; kto wié... w dalszéj
chwili
Może się was już dla mnie niewiele rozwinie!...
Niech przynajmniéj wasz widok jeszcze mi umili
Ostatnią wiosnę w dolinie!

I wy, co me najdroższe łączycie wspomnienia,
Piękne drzewa, rękami dziadów mych sadzone!
Jutro już, jutro, z pośród tych gałęzi cienia,
Nie na mnie zwróci księżyc oko łzą zroszone;
Nie mnie zaśpiewa słowik na téj lipy szczycie,
Nie dla mnie z waszych listków perła rosy spłynie
Nie dla mnie!... dzisiaj tylko jeszcze mi słodzicie
Ostatni wieczór w dolinie!

Szczęśliwy! kto w téj lubéj osiędzie ustroni,
Kto tutaj... lecz co mówię? i coza myśl dzika!
On nie rósł z temi drzewy, ni w dziecinnéj dłoni
Nie obrócił sto razy każdego kamyka.

On na téj łące siana szuka, nie pamiątek;
Wzrok jego liczy zbiory na żyznéj równinie;
A memu sercu, każdy zda się mówić kątek:
„Ostatni raz w téj dolinie!”

Boże! coś mię tak srogim dziś ugodził ciosem,
Ty, co grom i pociechę w ręce dzierżysz Twojéj
Daj się ubłagać, Panie, smutnym moim głosem,
Wysłuchaj modlitwy mojéj!
Spraw, abym kiedyś, kiedyś choć w późnéj starości,
Gdy cały urok życia już dla mnie przeminie,
Mogła tu wspomnieć chwile ubiegłéj młodości,
Ostatni uśmiéch w dolinie!

d. 27 Czerwca
1836 roku.

J. . . O. . . .



Przekupka.

(Naśladowanie z M. G. Saphir'a)

I któż nie zna przekupki ze starego miasta?
Nie trzeba już opisu—przekupka i basta!
Krom innych swoich zalet, niezmiernie opasła,
Otoczona włoszczyzną i fasami masła,
Przechwala się i woła na wszystkich przechodni,
Żeby wszystko jedynie kupowali od niéj.
Zdala od niéj dziewica urodna i miła,
Z kwiatów najraniéj rwanych piękne wieńce wiła,
Potém niemi ubrała koszyk do przedaży.
Niewinność i prostota, przemawia z jéj twarzy.
Kwiatów swoich nic chwali, myśląc sobie skromnie:
›Jeśli kto lubi kwiaty, to sam przyjdzie do mnie."
Z lic otwartych dziewicy, wiernych jak zwierciadła,
Wnet zazdrośna przekupka myśli jéj odgadła;

Z każdą chwilą w niej zazdrość, coraz więcej rośnie:
Nuż baba na sierotę wygadywać sprośnie.
Biedna milczy; a baba tymbardziej się pali,
Wreście tak wrzeszczy, że aż ludzie postawali.
Oburzony tym krzykiem, ktoś z obecnych osób,
Prawi zarumienionej dziewicy, w ten sposób:
„Wstydź się, dziewczyno, wstydź się! jakże jesteś trwożna;
Tak wymyślać na siebie, czyż dozwolić można?
Kto milczy, obelgami krzywdzon bez przyczyny,
Sprawiedliwy na siebie ściąga pozór winy."
—„O! nie dziwcie się państwo!" sierota odrzecze,
A łza po łzie, jako groch, po licach jej ciecze:
»Takim ja ludziom wolę ustępować zawsze;
Chociaż człowiek nie dobry, to niebo łaskawsze!
Przytém osądźcie, proszę, jak nierówne siły,
Gdybyśmy się ze sobą o słowa pobiły?
Bo któżby na ostatku na tém wszystkiém zyskał?
Każdyby na drugiego, co posiada, ciskał:
Ona na mnie drew pęczkiem, ja kwiatami na nią;
Ona mnie może zranić, me kwiaty nie ranią....
Zresztą, od wszelkiej zemsty uchowaj mnie Boże!
Kto niewinny, tego nikt i skrzywdzić nie może...."

Teofil Nowosielski.

Do E*.....

Idąc wczoraj na spoczynek, myślałem sobie: jutro Edwarda imieniny. Chciałbym mu cośkolwiek ofiarować na wiązanie, żeby mu przez to niespodziewaną sprawić przyjemność. Ale cóż mu ofiaruję, kiedy sam nic nie mam, zwykle jak wszyscy poeci, poetyczne tylko posiadający złoto, brylanty, perły, których jednak żadna mennica, żaden złotnik, żaden nawet lichwiarz na zastaw nie przyjmie. Tak dumając, przyszło mi nareście na myśl, aby cię dobry, kochany Edwardzie, tém obdarzyć, czego poeta ma zawsze najwięcéj, i czego też najchętniej udziela. — Wiérszami! powiész; odgadłeś. Nie sądź jednak, żeby to miały być jakie życzenia, wedle przyjętego zwyczaju. Bynajmniej! życzyć te-

go przyjacielowi, cobym dlań przed życzeniem jeszcze urzeczywistnioném widzieć pragnął, szczérze wyznam, iż nie lubię. Bo czemuż, proszę: człowiek, który zawsze dla siebie najlepiéj życzy, nigdy sobie ani na nowy rok, ani na imieniny, żadnych życzeń, żadnych powinszowań nie składa? —

Miasto więc życzeń, przyjmij odemnie, kochany Edwardzie, parę przestróg w poniższych wiérszach. Powiész może: skąd jemu przychodzi dawać mnie przestrogi. Prawda! Nie mam do tego żadnego prawa, chyba przez prawo przyjaźni, jeżeli mogę miéć do niéj prawo. A teraz, czytaj wiérsze moje cierpliwie, dopókąd nie zaśniesz!

* * *

Jeżeli się w tobie kiedy chęć obudzi,
Rzucić ustronie i wejść wpośród ludzi;
A pragnąc kochać i być kochany,
Wstąpisz w dom, tobie jeszcze nie znany,
Gdzie pan gospodarz wita cię najmiléj,
A pani domu pieszczotliwy głosek,
Pyta: kto rodzi? dużo liczysz wiosek?
Gdzie cały dom się na grzeczności sili;
Tam, choć na rozkaz twój czeka kareta,
Weź za kapelusz, ukłoń się i kwita,

* * *

Jeźli kto ciebie w dom jaki wprowadzi,
Gdzie zaraz wszyscy nazbyt tobie radzi,
Gdzie zaraz pęka jedna, druga flasza;
Potém gospodarz do sztosa zaprasza,
Karty i marki podaje z ochotą,
Przy stole przyjaźń wynurzać zaczyna,
Tymczasem zręcznie parolik zagina,
Zwolna z kieszeni wyławia ci złoto:
Choć szampan strzela, kuchnia wyśmienita,
Weź za kapelusz, ukłoń się i kwita.

* * *

Jeźli, daleki od wszelkiéj rachuby,
Zamierzysz kiedy wejść w małżeńskie szluby,
A w dom nieznany wprowadzą cię swaty,
Do panny, młodéj, pięknéj i bogatéj;
Gdzie papa zawsze narzeka na czasy;
Gdzie mama wielbi cnoty swéj Salusi,
A panna wszystkim przypiąć łatkę musi;
Braciszek do twéj przymila się kassy:
Choćto dom zacny i uprzejmie wita,
Weź za kapelusz, ukłoń się i kwita.

* * *

Ale jeżeli, przez przypadek rzadki,
Wejdziesz do dworku, lub do biednej chatki,
Gdzie, chociaż ściany nie błyszczą od złota,
Ale w nich mieszka poczciwość i cnota;
Gdzie cię gospodarz, uściśnieniem ręki,
Poprostu wita, ale za to szczérzéj;
Gdzie gospodyni nie sądzi z odzieży,
A córka, zdobna w niewinność i wdzięki:
Tam szczęście, bracie, dla ciebie zaświta,
Tam zostań, zostań; ożeń się i kwita.

Teofil Nowosielski.



Painted by Miss Sharpe

Engraved by J. C. Edwards

DUMKA.

Co tam, co tam, ulubiona!
Śni twe serce w tej godzinie?
Czyto myśl twa rozżalona
Na wietrzyku słodko płynie?

Czy, gdy zpiersi méj do ciebie
Tysiąc westchnień się wyrywa,
Gdy na twojéj strony niebie
Tęskne oko me spoczywa,

Czyli, moja ulubiona,
Dumasz o mnie w téjże dobie,
I, na zachód obrócona,
Wzdychasz tak, jak ja ku tobie?

O! tak pewno. — Twoje serce
Harmoniinie z mojém bije;
W każdéj uczuć twych iskierce,
Moich uczuć płomyk żyje.

W każdym myśli twéj kolorze,
Farba myśli méj jaśnieje;
W każdym chęci twoich tworze,
Chęć ma widno promienieje.

Sami tylko, sami jedni,
Jak świat długi i szeroki,
Razem szczęśni, razem biedni,
Błogosławim — klniem wyroki.

Ni rodziców święte ręce,
Ni nas druhów lube dłonie,
Nie przytulą w serca męce,
Na litośném bratniem łonie.

Z dwóch dalekich swiata końców,
Jak dwie pianki sinéj fali,
Jak dwie iskry górnych gońców
Zbiegliśmy się na oddali.

I pojrzeliśmy na siebie
Pełnym czucia, wiary wzrokiem;

Anioł losów naszych w niebie
Pocieszenia lśnił urokiem.

Odtąd cudem połączeni,
Serca w jedneśmy stopili;
W nowém życiu odrodzeni,
Duch pokojem odmłodzili.

I w ustroni zawsze z sobą,
Dni spędziliśmy nie wiele,
Błogo! — jak dziecinną dobą,
Gdy bez cienia lśni wesele.

Prędko znikło serc marzenie!
Łzawém okiem się żegnamy;
Gromem błysło przeznaczenie —
W rozłączeniu usychamy.

Taka naszych treść kolei!
Luba! tyś mém niebem była,
Kiedy, w słotnéj trosk zawiei,
Zła nas gwiazda rozdzieliła.

I tak długie dni się wleką:
Ty bezemnie — ja bez ciebie;
Aż nam mroczne mgły przecieką,
Aż zawita świt na niebie.

Nie płacz, nie płacz, moja droga!
Może nam się dzień rozśmieje:
Chociaż jeszcze blask u Boga,
Już nam zorza czerwienieje.

Z jéj rubinów słodko wróżę,
Że radości łzę wysączę:
Znikną śniegi — błysną róże,
I ja z tobą się połączę.

Wiktoryn Zieliński





RANEK.

Już jasne słońce weszło, nad czystém jeziorem;
Słodko się przebudziła drzemiąca natura,
A na *dzień dobry* dla niéj, dźwięcznym, miłym chorém
Ozwały się ptaszęta, tocząc w niebo pióra.
Dumna, brunatna skała, swoje hardc czoło,
Z monarchiczną powagą pod błękity wzniosła;
Obok stóp jej depczących gwarzyli wesoło
Majtkowie, co ochoczo brali się do wiosła.
Na statku cichy wietrzyk powiewał żaglami,
To je marszczył nieznacznie, to je gładził znowu.
A na przeciwko żagli, okryci siatkami
Pośpieszali rybacy: pewnie dla połowu.....
Byłto widok przyjemny, bo natura młoda,
Z całą prostotą dziecka, z dziewiczym urokiem,

Na której czole błyszczy anielska swoboda,
Piękną postać odkryła przed patrzących okiem.
Lecz, czemuż te niewiasty, co wpobliżu stoją,
Tak smutne, choć się wszystko w przyrodzie weseli?
Dla czegóż się jak drudzy roskoszą nie poją?
Cóż ich, od reszty świata, odpycha lub dzieli?
Z spuszczoną głową młodsza pogląda niewiasta,
Z wyrazem niepokoju, a nawet bojaźni,
Jej trwoga coraz silniej z każdém słowem wzrasta,
I coraz silniej działa w bujnej wyobraźni;
Napróżno chce pocieszać ją niańka poczciwa,
Mówi o Opatrzności i o łasce Bożej,
Pragnie skrócić ten smutek, co duszę przeszywa
Jej kochanej panience, niedawno tak hożéj.
„Wszakże niejeden, (rzecze) na morze popłynął,
Przebiegł świat jak jest długi, jak szeroki wkoło,
A przecież zdrów i wesół powrócił, nie zginął;
No! kochana panienko, rozchmurz twoje czoło,
Ja mam jakąś wiadomość o panu Rasławie;
Dziś mi się śniło bicie; a to przecież wróży,
Że ktoś z drogi powróci — a potém, na jawie,
W moim małym ogródku, obok pięknej róży
Znalazłam koniczynę z sześcioma listkami;
I to szczęście rokuje — przytém ranek cały,
Mój wierny Rask był wesoł — o wierz mi, nie mami,
Nie zwodzi mnie przeczucie! Zawsze się sprawdziły

Wróżby starej Aliny."— „O mój dobry Boże!
Rzekła do niej dziewica: „gdyby on dziś jeszcze,
Dziś jeszcze do nas wrócił... lecz to być nie może;
Alino! twe przeczucia, wróżby nie są wieszcze."
W tym głośniejsze pluskanie posłyszały wiosła,
Łódka szybko pędziła przez jeziora wody,
A w tej łódce któż siedział? kogo ona niosła?
Mocny krzyk starej niańki; „To nasz panicz młody!
Oznajmił jej lubego Rasława przybycie.
Radość młodej dziewicy na czole zabłysła;
Pobiegła z całém serca wylaniem, jak dziecię;
Rozpacz, boleść, obawa, w jednej chwili prysła.
Ona była szczęśliwa; a prześliczny ranek,
Co przed godziną nie miał powabu w jej oku,
Teraz był czarującym gdy wrócił kochanek,
I stokroć niż dla innych więcej miał uroku. —

Józefa P.......



Pytanie

(z pism Ludwika Króla Bawarskiego)

Co to jest, powiedz?
Co mi oddech w piersiach ściska,
Z twojém, o luba, spojrzeniem!
A to serce, gdyś mnie bliska,
Budzi silném uderzeniem!
Co rozpala cierpiącemu,
Ogień w twarzy krwią zalanej?
I czemu przed tobą, czemu?
Drżę wylękły, obłąkany!
Czemu? gdy układam wiele
Mówić z tobą, wśród téj chęci

Ledwie się zbliżyć ośmielę,
Wszystko wypada z pamięci?
Co to jest, co tak przymusza
Wzrok mój do twego widoku;
I co robi, że ma dusza
Utonęła w twojém oku?
Czy to nie miłość?

A. J. S.....



Tryolet.

(z Göthego.)

Kto zna miłość i tęsknotę,
Ten wié, co ja cierpię biedny,
Patrzę sobie w gwiazdy złote,
I tam szukam gwiazdy jednéj,
Za pociechę mam zgryzotę,
Zawsze smutny, zawsze biedny,
Próżno marzę myśli złote,
Do méj lubéj, do méj jednéj,
Kto zna miłość i tęsknotę,
Ten wié, co ja cierpię biedny.

A. J. S....

Rybka latająca.

(Myśl główna z Floryana.)

Tam kędy pośród hucznego odgłosu,
Ocean swe bałwany o skałę roztrąca,
Jedna rybka latająca,
Niekontenta z swego losu,
Z ciężkiém sercem skłopotana,
Do swojéj babki sędziwéj przybywa,
I tak się do niéj odzywa:
Ach! Babulu kochana,
Racz się nademną zlitować,
Już niewiem gdzie się schować,
Gdzie śmierci uchronić.
Zaledwie w górę ulatywać poczn꿩

Zaraz mnie orły żarłoczne
Zaczynają gonić.
A kiedy znowu przestraszona w górze,
W morzu się zanurzę,
Sroższa wielorybów gromada,
Zewsząd mnie napada.
Takie przygody dręczą twoją wnuczkę!
A ona taką dała jej nauczkę!....
Moje dziecię,
Kogo na tym świecie,
Orłem lub wielorybem nie stworzyły nieba,
Takiemu średniej dróżki trzymać się potrzeba.
Czyń tak, a pewnéj w życiu użyjesz swobody,
Płynąc blisko powietra, lecąc blisko wody.

J. M.

KRZYŻYK.

DZIECIĘ.

Mamo! kup mi krzyżyk złoty.

MATKA.

Dobrze dziecię ukochane,
Krzyżyk będzie stróżem cnoty,
Zaprowadzi cię do nieba,
Ale jedno przyrzec trzeba.

DZIECIĘ.

O! ja na wszystko przystanę.

MATKA.

Pamiętaj, że znak zbawienia,
Na twej piersi odpoczywa;

Nie obraź niczém sumienia;
Niech się z twoich ust odzywa
Swięta prawda, słowo Boże!
W dobrém krzyżyk dopomoże.
Kiedy złe powstaną chęci,
To miej krzyżyk na pamięci.
Kiedy smutek serce ściśnie,
Rzuć nań okiem, radość błyśnie;
Bo ten, który niebem władnie,
Ziemskie troski gładzi snadnie.
Dziecię matki usłuchało,
Słodki pokój w sercu miało,
I nosząc ów krzyżyk złoty,
Codziennie wzrastało w cnoty.

Stanisław z Oziłowa.

Do ***

Chociaż niewolno jednak spoglądamy;
Inne twe losy i moje są inne,
Serce twe tkliwe, myśli twe niewinne,
Wyrok dla ciebie, to jest wyrok mamy;
A ja się lękam i drżę pokryjomu,
Aby łez gorzkich nie wycisnąć komu;
Próżno na siebie, próżno spoglądamy!

Chociaż niewolno jednak spoglądamy;
Nie wiele miałem, lecz chociaż ubogo,
Oddałem wszystko, o ty wiesz dla kogo;
Dziś nic nie pragnę, oprócz ciebie saméj.
Lecz tobie tylko wolno myśleć o tém,
Jak gonić bańki postrojone złotem;
Próżno na siebie, próżno spoglądamy!

Chociaż niewolno jednak spoglądamy;
W sercu twém jedno i w mém sercu jedno,
Łzy nad twém złotem i nad tobą biedną,
Po tych łzach dobrze, o dobrze się znamy!
A w twoich oczach, o znam oczy twoje!
Lecz czuję tylko, a mówić się boje.
Próżno na siebie, prożno spoglądamy!

Chociaż niewolno jednak spoglądamy;
Obyś ty była, wśród ubogiej chatki,
Biedną sierotą, bez ojca, bez matki,
Z tém sercem, z temi oczyma i łzami,
A ja, jak dzisiaj, trwożliwym i czystym,
Z mojém nieszczęściem i z sercem ognistém.
Próżno na siebie, próżno spoglądamy!

Chociaż niewolno jednak spoglądamy;
Co z tobą będzie, o tém niewiem wcale;
Co zemną będzie, łzy moje i żale,
Lecz nigdy zgryzot, ale nigdy plamy,
Tylko do nieszczęść, któremi się pieszczę,
Oczy twe czarne przybędą mi jeszcze.
Próżno na siebie, próżno spoglądamy!

Druciarz.

Szedł druciarz ulicą, wy znacie druciarza?
Co *garnki drutować!* razporaz powtarza,
Szedł w lichej odzieży, a mróz był niemały,
I ręce zacierał i z zimna drżał cały.
Dwa złote mu chciała dać matka Maryni;
Dziewczynka wstrzymuje: ach co mama czyni,
Wszakże on nie żebrak, ręki nie nadstawia,
On tylko drucikiem garnuszki naprawia!

MATKA.

Gdy widzisz biednego, nie czekaj aż prosi;
Ten czasem co błaga i łzami twarz rosi
Jest chytry, podstępny; a nędza prawdziwa,
Przed okiem litośnem nieraz się ukrywa,
I w pracy uczciwej szuka tylko chleba.
Takimto kochanie dopomagać trzeba.

Stanisław z Dzikowa.

Piosnka.

(z Bürgera)

Dziewcze lube a surowe!
Ty masz usta koralowe;
Nie wiem sam, co mi się dzieje,
Patrzę w usta i durnieję,
Coza lica, buzia jaka,
Z jakiem światłem, z jakim kształtem,
Ha! daj sama raz buziaka,
Bo inaczéj porwę gwałtem;
A jeśli przyjmiesz niegrzecznie,
Jeśli z gniewu i obrazy
Zechcesz odebrać koniecznie,
To ci oddam tysiąc razy.

A. J. S.

Przygoda
KOPERNIKA
POWIEŚĆ.

Cezaremu

ŻOŁĄDZIOWI

w Upominku Przyjaźni

poświęca

KAROL KORWELL

Dziewcze lube a surowe!
Ty masz [illegible]
Nie wiem sam, co mi się dzieje,
[illegible]
[illegible], dusza jaka,
Z jakiém światłem, z jakim kształtem,
Hah daj [illegible]
Bo inaczéj porwę gwałtem;
A jeśli przyjmiesz niegrzecznie,
Jeśli [illegible] i obrazy
Zechcesz odebrać koniecznie,
Tu ci oddam tysiąc razy.

[illegible] A. J. S.

PRZYGODA
KOPERNIKA.

W małym domku, który *Mikołaj Kopernik* posiadał w Bononii — byłoto przy końcu XV wieku,— wieczorem, w przeddzień imienin gospodarza, zebrało się liczniejsze, niż bywało zwykle, jego przyjaciół grono. Właśnie wyprawiać miano krotochwilę, staraniem dwóch siostr ciotecznych Kopernika, przy nim mieszkających, przygotowaną, gdy wtym jakiś nieznajomy, dosyć lichej a nawet dziwacznej powierzchowności, wchodzi do izby festynu, prosi o pozwolenie przypatrzenia się zabawie, i gdy mu tego nie wzbroniono, za innymi widzami zabiera miejsce. Siedzący na czele solenizant, uprzejmą zajęty był rozmową z Jakóbem Battistą, professorem medyolańskim, który żywą ku Kopernikowi

powziąwszy przyjaźń, umyślnie na tę jego uroczystość domową do Bononii przybył. Kopernik także poznawszy w Battiscie światłego męża, jemu najpierwej zwierzył się swego wielkiego odkrycia w układzie ciał niebieskich, i ciągle zostawał z nim w najściślejszych naukowych związkach. Inni goście, byli również poświęcający się głębokim umiejętnościom ludzie, a przeto snadno naszego astronoma zdanie podzielać mogący. Dwaj tylko młodzi studenci, Robert i Paweł, ktorych Kopernik na naukę w dóm swój przyjął, byli do tej zabawy, poniekąd tajemnicy wymagającej, przypuszczeni; znał bowiem ich roztropność oraz przywiązanie ku sobie, a może i owe większe jeszcze (jak to jest zwykłe młodemu wiekowi) przywiązanie do Zofii, czternastoletniej swojej siostrzenicy, córki pani Franciszkowej: tak nazywał po mężu jednę z sióstr swych gospodyń domu, z których młodszą była panna Teresa.

Przedmiotem krotochwili wyprawianej przez nie tego wieczora, było wystawienie teatralne wielkiego odkrycia Kopernikowego pod postaciami symbolicznemi. Widowisko to, pomimo zbyt ograniczonych naówczas środków dramatycznych i braku doświadczenia występujących w niem osób, mogło się nazwać prawdziwie śmiesznem, a nawet dowci-

pném. Za podniesieniem zasłony, ujrzano panią Franciszkowę, w stroju znakomitej matrony, na wspaniałém siedzącą krześle, które magicznemi, astronomicznemi, astrologicznemi znakami i tym podobnemi wizerunkami było przyozdobione. Z nakazującą miną trzymała w ręku berło. Pięciu w świetnej, różno-kolorowej barwie służalców, z najprzedniejszemi owocami i kosztownemi podarunkami, dokoła jej zwolna chodziło, za przewodem damy, w tunikę najczystszej białości przybranej i małą promienistą koronę na głowie mającej. Tę rolę *Słońca* grała panna Teresa.

Matrona siedząca zabrała głos temi słowy:

Jam najpierwsza.—Nazwisko me: *Ziemia!* czy wiecie?
Nademnie nie masz innych przodkujących w świecie.
Planety, sług powinność pełnią na mym dworze;
A *Słońce* nosi rucho (*) szaty méj w pokorze.
Wszystko wreszcie, co żyje wśród niebios przestrzeni,
Mojém jest i mnie swoją karmicielką mieni.

To rzekłszy odbiera hołdy od planet i Słońca, i odchodzi. — Oburzyły się na taką dumę ziemi planety. Jowisz, Mars i Merkury, poduszczają Słońce do nieznoszenia dłużej podobnych zniewag.

(*) *Rucho*: wyraz dawny. — w Słowniku Lindego: część szaty kobiecej fałdzista, która się z szelestem niby ogon z tyłu wlecze.

Cóżto? (rzecze Jowisz) Albożeś i ty nie do królowania,
Któż gdzie jest, co się tobie cześć oddawać wzbrania?
Wszakże wszelkie stworzenia za wejrzeniem twojém,
Cieszą się światłem, życia napawają zdrojem.
A gdy i nam skinienia twe biegu dodawa,
Czyż prym trzymać nad światy, nie masz jeszcze prawa!

Na to słońce odpowiada z westchnieniem:

Rozczulasz mię Jowiszu! któżby się spodziewał
Téj wdzięczności, za skąpe światło, któreś miewał!
Jeśli się nam plan uda; przyrzekam ci bracie!
Tak cię zawsze oświecać, jak jest w téj komnacie.

Daléj rzekł Saturn:

Chociażem za-stary i nie do zalotów,
Pierścień mój jednak tobie oddać jestem gotów;
A gdy tron, co jest twoim, odbierzesz od Ziemi,:
Pozwól nam być na zawsze sługami twojemi!

Słońce odrzucając ten związek małżeński, oświadcza, że nigdy w innym, jak tylko panieńskim chce pozostać stanie, i woli raczéj pogrążyć się w otchłaniach ciemności, aniżeli zaślubić któregokolwiek z planet. To rzekłszy, z wyraźnem nieukontentowaniem, zapuszcza na twarz welon, i wnet ciemno się stało w całéj komnacie. Planety wpadają w rozpacz; błagają słońce o przebaczenie winy, jeśli jaką który z nich popełnił; błagają o bezwarunkowe

objęcie tronu świata powszechnego. Poczém się oddalają, radzą o formalnem wypowiedzeniu ziemi wojny, a gdy ta z szyderstwem na to odpowiada, łączą się sprzymierzeńcy i attakują gród ziemi. Po długiej a żwawej walce, w której nieco z gwiazd stałych i planet ginie, poddaje się ziemia swym zwycięzcom. Słońce, chociaż wprzódy przez nię ciężko obrażone, łagodnie się z branką obchodzi, i przeznacza jej nawet na swym dworze w rzędzie planet miejsce trzecie, a samo stér powszechny obejmuje. Na wniosek planet wyszukuje się posłannik, któryby mieszkańcom ziemi obwieścił o tém, co spotkało ich panią, a to szczególniej jednemu z milionów ich, osobliwszym ulubieńcem słońca i planet będącemu.

Spiesz że się! (tak Słońce rzekło do posłańca) i wynaleść umiej między temi,
Co zamierzchłą lepiankę zamieszkują ziemi,
Męża takiej zacności, iż mu bez wahania,
Słońce swój wiekuisty światła zdrój odsłania.
Opowiedz mu dokładnie co się tutaj stało;
Gdy nieuwierzy, powiesz, żeć Słońce posłało,
Że on właśnie jest owym którego zśród wiela
Za jedynegom sobie wzięło przyjaciela;
Że pomimo niewdzięczność ludzką, zawiść, waśnie,
Wielbić go będą, póki Słońce nie zagaśnie!

Kopernik przez cały ciąg tej krotochwili serdecznie śmiał się, i coraz skinieniami dawał poznać reprezentantkom Ziemi i Słońca, jak go to bawi. Również i Jakób Battista śmiał się, i oba ściskali sobie ręce nawzajem, za każdym przytykiem do niektórych prześwietnych doktorów w Padwie i Rzymie, zawzięcie prześladujących pomysł Kopernika.

Siedział jeszcze na miejscu solenizant, chociaż się już od niejakiego czasu sztuka była skończyła, i ciągle się śmiejąc ocierał sobie łzy z twarzy; już nawet zabierano się do sprzątania dekoracyj, gdy niespodzianie jakaś dziwaczna figura występuje na scenę, i stanąwszy pośrodku, groźny wzrok na Kopernika wymierza. Powstał szmer między patrzącymi; wypytywano się pocichu, ktoby to był? ale gdy i gospodynie domu nie wiedziały, i takie ciekawością zdjęte pośpieszyły w swych strojach teatralnych do widzów, uciszono się, aby słyszeć, co owa niepojęta maska, ponurym głosem prawić zaczęła.

Podły, którego wyrzec usta me nie mogą,
Bo imię twe pali tak, jak siarki pożogą.
Ty, którego najcięższej zbrodni kazi plama,
Klnę cię w imieniu wszystkich pokoleń Adama!
Bo ani Achab, ani Neron, w swoim czasie,
Nie obrazili niebios tak, jakeś ty na się:

Zbrodni takiej nie znano, chociaż były zbrodnie.
Matka-Ziemia, któréjś tak żaparł się wyrodnie,
Dotknięta tą szkaradą niegodnego syna,
Słuchaj oto, jak ciebie przezemnie wyklina!
— Obyś w życiu swém nie miał pokoju na chwilę!
A gdy zwłoki twe będą oddane mogile,
Wytrąci one z siebie; niebo nieda schrony,
Żeś śmiał poprawiać jego porządek stworzony!"

Zaledwo się ta perora, w zadziwienie a nawet osłupienie słuchaczów wprawująca, skończyła, a nieznajomy, który z nią śmiał wystąpić, wyniósł się przez nikogo niepostrzeżony, wnet goście upamiętawszy się niejako, zaczęli naradzać się, czy nienależałoby ścigać zuchwalca; ale każdy spójrzawszy na Kopernika zaniechał o tém myśléć. Kopernik bowiem, nie przestając śmiać się jak z początku krotochwili, żartował ciągle ze swym przyjacielem z Medyolanu; a gdy do niego pani Franciszkowa i panna Teresa przyszły, rzekł im śmiejąc się jeszcze: „Takto jest na swiecie! *Jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził.* W prawdzie popsułem sobie interessa z moją zacną matką, jakto nam dopiero-co zwiastowano, ale czyż mało za to zyskałem, stawszy się wybrańcem takiego słońca! „ dodał, zwracając mowę do panny Teresy. — Poczém znowu śmiał się do rozpuku, aż

mu Jakób Battista przerwał, mówiąc: „Żarty na stronę! ale chciałbym wiedzieć ktoto był ten *advocatus terrae*; bo zaiste, tak się tu odezwał, że w każdéj okoliczności nie wielk'jby ku sobie wzniecił we mnie otuchę. — Czyliż bowiem, czcigodny mistrzu! niewystawił cię tu jako największego zbrodniarza, jaki tylko był kiedy na ziemi; zbrodniarza — który i za życia i po śmierci nie powinien mieć spoczynku?" — „To prawda!" odpowiedział Kopernik, „lecz bądźcie pewni, że pod tą maską ukrywał się, albo, jeden zmoich ukochanych uczniów, albo w złym razie, nasłaniec od doktora ziemskiego z Padwy; gdyż daléj moja tajemnica nie sięga. — Uspokój się więc, przyjacielu!"

Tegoż wieczora, choć już było blisko północy, Kopernik jeszcze w swoim pokoiku przy lampie pracował, gdy wszyscy domowi już spali. Wtym dało się słyszeć lekkie stąpanie po schodach, i wkrótce jakaś osoba, płaszczem otulona, weszła i stanęła przy stoliku mistrza, który z niemałem zadziwieniem ujrzał w tak późnym gościu, młodego książęcia Benedetto, synowca panującego księcia. — Podniósł się Kopernik, i przystąpiwszy do młodzieńca, pilnie wpatrywał się w jego piękne, tylko od zawczesnych namiętności zbladłe oblicze, i zdawał się chcieć odgadnąć przyczynę wyraźnego

w niem smutku. — Postrzegł Benedetto zadziwienie to i uwagę mędrca; usiadł, i po chwili milczenia odezwał się: „Pomimo tak spóźnionej doby, przychodzę do ciebie, Messer Copernigo; bo mię dręczy wróżba, którą naprózno zbadać usiłuję, a która mi się przed kilką godzinami przytrafiła. — Posłuchaj. Siedząc w przedsali księżny, znudzony ciągłą jednostajnością, a może bardziej jeszcze zmordowany przesytem życia, w tak głębokie wpadłem zadumanie, że nareście przedmioty zewnętrzne przestały działać na me zmysły, a natomiast wewnętrzne marzeń zjawiska w żywej stanęły barwie przed zamkniętemi memi oczyma. — Duch mój przeniósł się ze świetnych komnat pałacu do ciemnych grobów katedralnego kościoła ś. Marka, gdzie popioły przodków moich spoczywają. — Tam, pomiędzy zbutwiałemi trunami, błąkałem się sam jeden, żywy, pośród zmarłych niegdyś władców, ja jeden tylko, który nigdy dzierżenia steru rządu spodziewać się nie mogę.

Zajęty myślami o znikomych popiołach, widzę nagle roztwierające się drzwi do tego podziemia, widzę blask światła i przy nim cudnej piękności niewiastę. — Byłato Annonziata, najmłodsza siostra księcia. — Zbliżywszy się ku mnie, z zachwycającym wdziękiem i powagą podniosła prawą rękę do góry

sklepienie grobowe znikło, i ujrzałem gwiaździste sklepienie niebios, w najczystszej pogodzie; nademną świeciła przepyszna konstellacya naszego domu, Oryon! Łatwo się domyśleć, jakie mię na ten widok uczucia przejęły. — Bliski omdlenia, musiałem się oprzéć o trunę, i już paść miałem na ziemię, kiedy wtym jeden z szambellanów, wyrwał mię z tego snu trąceniem w ramię. Ockniony zerwałem się w gniewie z krzesła. — Tejże chwili otwarły się drzwi z sali, i w całej swej okazałości i wdzięku przeszła Annonziata przez nasz pokój. Powiedz-że mi teraz, mężu uczony! co znaczy owo marzenie, i jaki ma związek z tém, co się na jawie stało?" — To rzekłszy zamilkł młody książe, i smętne oko wlepił w szlachetną twarz Kopernika.

„Panie! (odpowie mu on) mylisz się w swych wnioskach o mojéj nauce, jeśli mniemasz, że należę do rzędu tych oszustów, którzy z gwiazd wróżą.— Nie umiém ci dać innéj odpowiedzi, jak tylko, że sny są barwistemi kwiaty, które ciemny zdrój krwi wzburzonej rozwija; są-to mary namiętności miotających nami na jawie. — Myślałeś, panie, o niepodobieństwie osiągnienia tronu swych przodków, a tymczasem pochlebny duch marzeń sennych zapewnia ci dostąpienie tej godności, podaje ci koronę z ręki ukochanej." — Skoczył z krzesła mło-

dzieniec, nagle zarumieniony; uchwycił za rękę Kopernika, i szepnął doń: „Więc i ty tak sądzisz, mistrzu? Tak mi zwiastują gwiazdy? Dzięki ci! Ale" dodał, znowu się zamyślając, »ale Alfredi żyje, a Giacomo w kwiecie młodości; dwie przeszkody między mną i tronem! Wszak Annonziata jest narzeczoną Giacoma!" — »W sprawie słusznej niepodobieństwa nie ma!" spokojnie odpowiedział uczony. »Prawda aż nadto, zacny mężu! Gwiazdy nigdy nie zwodzą. Przyjm to tymczasem w podzięce, i pamiętaj, że Benedetto wiecznie ci będzie obowiązany za otuchę, którąś w nim sprawił." To mówiąc, młodzieniec zdejmuje kosztowny łańcuch złoty, który miał na szyi, kładzie go na stoliku, i wprzód nim Kopernik zdziwiony, a nawet prawie obrażony tym podarunkiem, mógł mu coś odpowiedzieć, odchodzi prędko ze skinieniem pożegnania. — „Bezrozumni!" wyrzekł z gniewem, pozostawszy sam Kopernik; „owo wszyscy mają mię za astrologa i wróżbitę! Wprawdzie kreślę znaki i liczby, lecz któż uwierzy, kto je zrozumie? Odwieczne, nieomylne niebo! ty, w które nauczyłem się patrzeć, jak niegdyś w jasne oko mego ojca, abym prawdę i miłość z niego wyczytał, kiedyż twe światło tryumf odniesie? — Śród gmatwy ciemnoty widzę, że sam jeden opowiadam nieznaną i niedouwie-

rzenia prawdę! Ale, jak są umysły takie, co wiek swój wyprzedzają; tak też są inne, zjawiające się właśnie w takim czasie, kiedy to, co miłują i uwielbiają, w poniewierkę idzie: niedociekając przyczyn ich ubolewań, gmin widzi tylko brak rozumu lub obłąkanie. Jak rozpostartej na nocnem niebie chmury, jedna część jeszcze tleje blaskiem dnia zniknęłego, gdy druga chwyta już promienie nadchodzącego słońca, podobnie w każdym czasie, zgraje ludzi wyzierają wązkiem okienkiem teraźniejszości, na przyszłość i przeszłość. — Ja poglądam tylko na przyszłość." — Przeszedł się jeszcze kilka razy po pokoju, nim mógł się wziąć do dalszego ciągu przerwanej pracy.

Giuseppe, służący Kopernika, otrzymał od pani Franciszkowej polecenie, aby pożyczone w teatrze kollegium *** ubiory, napowrót odniósł.

Przed wejściem do fórty klasztornej, wstąpił do przyległej gospody, gdzie zwykłe towarzystwo przy szklankach zastał. „Witajże nam, Seppe! wykrzyknął, na widok wchodzącego, otyły, uprzejmego wejrzenia gospodarz.

— „Ani Seppe, ani Giuseppe! Tej paplaniny waszej znieść niemogę. — Wszakem już nieraz wam mówił, że się nazywam: Piotr, Jan, Józef Bartel, rodem z pysznego miasta Magdeburga, najcnotli-

wszych kobiet i najpiękniejszych mężczyzn siedliska."
— „Ani słowa! widzimy to!" odpowie gospodarz, spójrzawszy szydersko na garbatego, z szeroką, dziobatą twarzą, Magdeburczyka; „cóżeście-to Seppe, czy tam Józefie z Magdeburga, z temi pstremi rupieciami robili? Zapewneście jakiś pobożny wyprawiali dyalog?"

— „Gdzież-tam dyalog! Właśnie-by też miał się czem mój pan zabawiać. O daleko, daleko od tego! Mamy my smak lepszy, delikatniejszy. — Oto wystawialiśmy astrologiczno - telluryczno - astralną trajedyą." Słysząc to, jedni z biesiadujących okazali największe zadziwienie, a drudzy zaczęli się wypytywać: coby to znaczyło? Tu więc Józef, zdobywszy się na największą powagę, i wodząc małe chytre oczy w sposób znaczący po całem kole obecnych, tak głos zabrał: „Niemogę wam wiele wyjawić; tyle tylko powiem, abym waszę grubą niewiadomość w podobych rzeczach nieco oświecił: że przedmiotem téj trajedyi było to, iż się ziemia obraca nakształt kuli, i obracała się od początku świata." — „Hola, panie Józefie z Magdeburga!" zawołał gospodarz, „co znowu prawisz? ziemia się ma obracać?"

— „Tak, nieinaczéj!" odpowiedział; „ziemia, ta stara, śmieszna szkuta, na któréj tak bezpiecznie

i wygodnie sobie siedzimy, obraca się z nami, i prócz tego jeszcze lata z nami dokoła słońca."

—„Wytłumacz się nam Seppe! „wrzasnął barczysty kowal, z groźnem wejrzeniem," bo nie sądzim, abyś chciał stroić sobie z nas żarciki: co znaczy to obracanie się ziemi?"

—„Uważajcież"! rzecze Józef napuszając się: „Dajmy, żeby ktoś zdołał wzbić się na powietrze, aby Rzym z góry widzieć; jakto zwykle czynią żórawie, bociany, jaskółki i inne bezrozumne, wędrujące ptaki, które niewiedzieć jaką korzyść z tych wędrówek mają. — Dajmy żeby, wzniósłszy się do góry, zatrzymał się na miejscu przez kilka godzin, przypatrując się pilnie Rzymowi, jego kościołom, pałacom, ogrodom i tym podobnym ciekawościom. — Jakżeby się zdziwił, postrzegłszy, że wieże i inne' gmachy posuwają się coraz, a nareszcie całe to ludne miasto, jak mara senna znikło, i znowu inne miasta, rzeki, morze, różne okolice nasuwają się i znikają! Prawdziwie! śmiesznie-to bydź musi patrzeć na coś podobnego. — Więc jeżeli ów z góry patrzący jest człowiekiem ladajakim i niedosyć świadomym *artis astronomicae* na nie mu, jak owym, com przytoczył, wędrownikom, nie przyda się tak wysokie stanowisko; wszystko bowiem za złudzenie, za przywidzenie po-

czyta. Ale człowiek z nauką, potrafi stąd wnioskować: że ziemia się obraca ze wszystkiém, co ma na sobie. — Cóż-to tak, panie majstrze, ustawicznie obracacie swoje grube pięści; czy myślicie że te kloce lepiéj się przy świetle wydają?"

— »Nie! ale sobie myślę, mój bracie" odpowie mu kowal, »żeś ty jest ptaszek, jakiegom jeszcze nigdy nie widział. Obraca się, mówisz, ziemia? Patrzajże! co na mojéj ręce leży, to się na miejscu trzyma; niech tylko pięść obrócę, spada. Czemuż? powiedz nam, panie mistrzu Józefie z Magdeburga! nikt z nas od ziemi nie odpada."

Zdumieli się inni na taki argument, i badawcze oko zwrócili na rozprawiacza, który wszelako niespuszczając z tonu, tak zarzut odpierał: — »Majstrze Giottino! macie przecież rozum, a zatém możecie sami sobie to wytłumaczyć. Skąd pochodzi naprzykład, że częstokroć, osobliwie w nocy, tak ludzie jak i inne rzeczy niewiedzieć gdzie się podziewają? Przed kilką tygodniami, słyszeliście o owych sześciu śmiałkach, co się wcisnęli nocną dobą do pałacu, i gdy ich już prawie straż trzymała, znikli i sami, i wiele kosztowności z nimi jak kamień w wodę poszło. Cóż to znaczy? Oto oderwali się od ziemi; co wcale dziwić nie powinno, zwłaszcza przy chyżym jej obrocie, któremu nawet

czasem tak gwałtowny wicher towarzyszy, że z domów dachy, a ludziom z głowy kapelusze zrywa.'

— »Co to, to prawda!" zawołał jeden ze słuchaczy; »u mnie naprzykład na święty Krzysztof' połowa szopy z wiatrem poleciała, i tylko jakimś cudem stare domisko ocalało."

— »Był to właśnie," mówił dalej Józef, »jeden z owych szalonych podskoków, jakich czasami pozwala sobie stare nasze ziemisko, podobnie jak się zdarza, że poddeptana i ochromiała babka, przez próżnosć chcąc sprostać młodzieży w tańcu, choć już nogi jak szczudła zesztywniały, puszcza się w pląsy i miota się po izbie, że aż zgroza patrzeć, jak się jej osiwiałe włosy rozwiewają!"

— »Niech ją tam tarantuła......!" wrzaśnie krawiec, którego nos, dobrze zaczerwieniony, wskazywał miarę wychylonego wina i stopień łatwowierności; »tak; tak! ja czuję, że ów dostojny i uczony cudzoziemiec ma słuszność: siedzę, zdaje się, tęgo na ławie, ale mogę i spaść. Ha, ha! ktobyto takie psoty przewidział!" Potakiwali mu dwaj sąsiedzi; tylko opasły gospodarz odezwał się:

— »Bracie Magdeburczyku, co tam pleciesz? alboż jato napróżno sześćdziesiąt lat przeżyłem, o podobnych bredniach jednakże nie słysząc."

— »Bo wy o niczém nie słyszycie," odpowiedział Józef. »Żyjecie tu, mój przyjacielu, jak żółwie w skorupie; przyjdźcie jeno do nas, lub gdziekolwiek do Niemiec, a choćbyście tuzin uszu mieli, nienasłuchacie się jednak wszystkich nowin i ciekawości, które się tam codzień po ulicach zdarzają."

— »Z Niemiec wyszło i kacerstwo!" mruknął w kącie izby siedzący mnich jakiś. Na te słowa przeżegnali się wszyscy, prócz Józefa, który rzekł: »prawda, bo u was wszystko, co tylko jest wyższą sztuką, umiejętnością, lub głębszém poznaniem rzeczy, kacerstwem się nazywa." Mnich wstał i wyszedł, surowy i groźny wzrok rzuciwszy na Magdeburczyka. Gospodarz zdawał się być wielce zafrasowanym. — »Cóżeśto zrobił? szepnął Józefowi do ucha; »Czyż nie wiesz, że w żartach nawet z podobnemi mowami wyjeżdżać tu nie wolno! Co ci się uroiło, mój bracie! Pamiętaj, że jużeście wy obadwa, z mistrzem swoim, narobili w mieście hałasu. Miejcież się na ostrożności!"

Chciał na tę przyjacielską przestrogę, coś odpowiedzieć Józef, lecz raptem uwagę jego, równie jak wszystkich, zajęła nowa figura, która do izby weszła. Był-to mężczyzna w podartej odzieży; wybladłą twarz jego nie wiek grubemi zmarszczkami okrył, ale okropne cierpienia zniweczyły; co do u-

rody, również widać było, że dawniej musiał mieć wzrost piękny i prosto się trzymał, teraz bardzo był zgarbiony i na jednę nogę chromy; z tępego zaś wzroku wydawało się obłąkanie. Z trudnością zawlókł się on na wskazane przez gospodarza miejsce, zdala od innych.

— »Widzisz!" mówił gospodarz znowu pocichu, widzisz mój Seppe, żywy przykład tego, com ci dopiero powiedział; ów teraz, jak mara, pociemku tylko się błąkający, którego twarz i cała postawa ślady straszliwego zniszczenia na sobie noszą, przed kilką laty był (na własne oczy widziałem) nadobnym, wielce uczonym panem, który z książętami i prałatami obcował, a na dworach uprzejme znajdował przyjęcie, dla niepospolitego swego rozumu i miłych obyczajów, teraz patrz! jedna noc, najokropniejsza noc, przed sądem tajemnym,—ach, mój bracie! ta noc, pięknego, zdrowego młodzieńca, w zgrzybiałego kalekę, mędrca w warjata, jakim jest teraz, przemieniła! Wiedz przecie, że i u niego pałała ustronna lampa o północy! i on też wiele, bardzo wiele w starych księgach szperał; miał i on tak garbatego, jakeś ty jest sługę, i on podobnież wynajdował rzeczy nadzwyczajne, może do niczego! Aleź, Boże odpuść, niepodobały się one świętemu bractwu; pociągnęło go przed sąd swój, i wyszedł

tak, jakem ci powiedział. Teraz biega szaleniec wszędy, i, kto chce słuchać, dziwactwa prawi niepojęte. Słowem, nieszczęsny zupełnie oszalał." — Józef, któremu z całej tej gadaniny utkwiło w głowie wrażenie w mieście, jakie z panem swoim miał niby sprawić, a biorąc tę gospodarza uwagę za szyderstwo ze swej ułomności, odepchnąwszy go teraz gwałtownie, ze złośliwym śmiechem krzyknął: »Niezawiodłeś się braciszku, że mój pan jest w zmowie z czartem wcielonym, który mu służy, którego oto widzisz we mnie, i który wkrótce wam wszystkim w nocy karki poskręca." Z tą pogróżką, która w jednych śmiech, w drugich gniew wzbudziła, opuścił rozjątrzony garbusek gospodę.

W kilka dni po owych zdarzeniach, ktoreśmy tu opisali, gdy Kopernik podług zwyczaju, późno w noc swoje astronomiczne rachuby zgłębiał, stary domownik, odźwiernego funkcyą pełniący, wchodzi nagle do jego pokoiku, wybladły. — »Co ci jest, *Checco*? Co cię sprowadza tak późno?"

— »Nieszczęście, panie! Przyszedł dworzanin książęcy i jeszcze inni dwaj jacyś panowie, z rozkazem, abyś pan natychmiast z nimi się udał do pałacu."

— »Cóż znowu! w nocy? czy ci się śni, *Checco*?"

— »Mówię prawdę, panie, o czem się łatwo przekonać: dość bowiem jest zejść na dół, gdzie na

pana czekają; nie wpuściłem ich tutaj: boby po schodach takiego narobili hałasu, że wszystkichby pobudzili w domu."

— »Dajże mi płaszcz, kapelusz i laskę," odezwał się Kopernik, przeszedłszy się kilka razy po pokoiku w zadumaniu. Starzec przyniósł, co mu kazano' nie bez wyraźnej wszakże trwogi.

— »Nie lękaj się o mnie," rzecze mu pan, »i nie budź nikogo w domu; któż wie, jaki szczególny interess ma do mnie książe; może, w tak pogodną noc, chce robić spostrzeżenia astronomiczne: za pół godziny powrócę." Słowa te, z największą spokojnością wyrzeczone, nie zdołały jednak ukoić obawy starca; zeszedł za panem na dół; słyszał jak pozdrowił tam czekających, i jak rozmawiając z nimi wyszedł na ulicę.

Kopernik, nie tak w duchu spokojny, jak się powierzchownie okazał przed starym sługą, pozbył się nieco frasunku, widząc, że go w pałacu do wygodnego, a nawet okazałego mieszkania zaprowadzono, i tam rozgościć się kazano. Po krótkim śnie, usłyszał o świcie otwierające się drzwi, i ujrzał oficera od straży, wchodzącego z młodzieńcem, którym nie kto inny był, tylko uczeń Paweł. Widząc go zmieszanym, aby nie sprawić w oficerze podejrzenia, że mają między sobą jakieś tajemnice, zwe-

sołą twarzą powitał, i kazał bez ogródki mówić o wszystkiem, coby miał do powiedzenia. — »Jesteśmy o ciebie, mistrzu, niemało stroskani," rzekł młodzian, »niewiedząc powodu twego tu sprowadzenia; szczególniej zaś (możesz sobie wystawić) wielce to niepokoi twoje siostry, które zamyślają wyjednać posłuchanie u księcia, celem proszenia o uwolnienie ciebie, jeśli na to zezwolisz."

Wstrząsnął głową Kopernik i odpowiedział: że w położeniu swém nic złego nie widzi, i że owszem czegoś lepszego na przyszłość się spodziewa, nie mając sobie nic do wyrzucenia; dla tego też w domu o niego troszczyć się nie powinni. Wreszcie dawszy niektóre polecenia, tyczące się potrzeb domowych, i kazawszy pozdrowić tak siostry, jak i zacnego Jakóba Battistę, podał rękę zasmuconemu ciągle uczniowi, który, na wspomnienie Battisty, mrugnął oczyma, tak, że oficer tego nie postrzegł i wyjmując z zanadrza małą książeczkę, powiedział: »oto właśnie professor, przysyła ci panie, dla rozrywki, twego ulubionego Pindara." Officer w tej chwili przystąpił bliżej i jak najgrzeczniej prosił o pozwolenie mu tej książki; lecz zaledwo ją otworzył, rzekł, oddając napowrot: »Brewiarz łaciński to mi-to rozrywka!" Po wyjściu Pawła z oficerem, przejrzał Kopernik książkę i znalazł w niej, jak się

spodziewał, kartkę z temi wyrazami od Jakuba: — »Drogi przyjacielu! Jesteśmy o ciebie w rozpaczy. Zdradzono cię, najpodléj zdradzono! Nieprzyjaciele twoi w Padwie, potrafili przed tajemném bractwem bonońskiém udać za najbezbożniejsze kacerstwo wielkie twoje odkrycie. Jeśli książe, który cię zna i poważa, przypuści cię do siebie, natenczas jedynym środkiem będzie, abyś wszystko fałszem i oszczerstwem być mienił, i każdy zarzut zbijał przeczeniem. Nic zgoła na tém wielkie twe dzieło nie straci; a gdy się z téj krainy wydobędziesz, swobodniéj zaczniesz działać. — »O nie, zacny mój, ale zbyt lękliwy przyjacielu!" zawołał Kopernik, składając kartkę w kilkoro, »zaprzéć się mojéj zasługi niechcę; bo chociaż jest małą, wszelako jest owocem uczciwéj chęci i nieustannéj, kilkuletniéj pracy, maż mię próżna hojaźń ludzka jéj pozbawiać? Nie Battisto, nie, i uczeni powinni też miéć coś w sobie bohatyrskiego: na wyzwanie nieprzyjacielskiego hufcu, stawić śmiało czoło. — Jak to jest dziwne! mówił daléj, przechadzając się zamyślony po pokoju, »prośby moich przyjaciół nic na mnie wymódz nic zdołały, a teraz przeciwnikom wszystko wyznać muszę."

W godzinę przyszedł oficer znowu i wezwał Kopernika do pokojów książęcych. Udawszy się za nim

przeszedł do sali, pośrodku której stał papierami okryty stół, a przy nim siedzieli dwaj piszący.

Tu się od swego przewodnika dowiedział Kopernik, że się znajduje w kancellaryi sekretarza księcia i że Signor Dominico, który ten urząd sprawuje, wkrótce przybędzie. Znał go Kopernik, jako człowieka wcale ograniczonej głowy, a przytem najzłośliwszego intryganta. Dla tego więc z niespokojnością spojrzał na wchodzących w tej chwili; lecz nieco się pocieszył, gdy spostrzegł przy Signorze, młodego bakałarza, Wincentego Benvenutto, którego znał z lepszej strony i przez kilka tygodni wykładał mu matematykę, póki tenże nie został domowym nauczycielem dzieci jednego z najzaufańszych radców książęcych. Co do dwóch innych jeszcze osób, które razem z tamtemi weszły i u drzwi stanęły, domyślać się można było, że są dworzanami. Prezydujący, pozbierawszy niektóre papiery, i powiedziawszy kilka słów do jednego z piszących, grzecznem skinieniem dał znak Kopernikowi, ażeby się zbliżył. Poczem chrapliwym zapytał głosem:

— »Jak się zowiesz, kto był twój ojciec, i skądeś rodem?

— »Mikołaj Kopernik," była odpowiedź, »ojciec mój także Mikołaj, rodem z Krakowa, był obywalem w Toruniu, gdziem się też urodził."

— »Dla czegożeś swój kraj opuścił i tu przybył?

— »Głośna sława włoskich uczonych, szczególniej w Bononii, skłoniła mię do tej podróży."

Dominico ociężale poruszył się w krześle i mruknąwszy: »dalby Bóg, abyś drugi raz w domu siedział!" obrócił się do piszących i rzekł głośniej: »Słyszeliśmy Mikołaju Koperniku, jakobyś, w czasie pobytu swego tutaj, bawił się niepojętemi szperaninami, i żeś odkrył jakąś tajemnicę w naturze, o której nikt się niedomyślał; czy to prawda?" Dwaj przy drzwiach stojący, zaczęli rozmawiać śmiejąc się dość głośno, tak, że aż prezydujący musiał surowém spojrzeniem nakazać im milczenie.

— »Tak jest," odpowiedział śmiało Kopernik, »wszystkiemu prawda! Chociaż bowiem w pismach dawnych autorów znajdują się napomknienia, każące wnosić, że już jakieś słabe miano o tej rzeczy wyobrażenie, wszelako mogę wyznać, że, przy pomocy moich przyjaciół, jam zupełnie nowe zrobił odkrycie."

— »Jakież-to naprzykład?" było pytanie. Stojący u drzwi znowu szeptać zaczęli, bakałarz Wincenty, za krzesłem Signora stojący, podniósł się na palcach, i gdy Kopernik namyślał się nad odpowiedzią, od której jego dobro lub nieszczęście zależało, rozwarły się nieco podwoje, i wyjrzał mężczyzna już

nie młody, z uśmiechem i ciekawością na twarzy.— Ledwo się opamiętawszy Kopernik, że to jest książe, chciał oddać mu winny szacunek, ale prezydujący sekretarz, skinieniem dał mu poznać, że tego niepotrzeba. W powszechnem milczeniu, kiedy badany, zwróciwszy oczy ku ziemi, jeszcze się namyślał, słyszeć się dało w gabinecie: »Cóżto teraz on odpowie? czego się dowiemy?"

— »Nie odpowiadasz!" zawołał Dominico i oparł się na stole.

Na to Kopernik: »Wiadomo, że w dziedzinie umiejętności, zdarza się wiele, co oku prostaka i światownika błahem i pospolitem być się zdaje; podobnie rzecz się ma z mojem odkryciem: dla mnie jest ono kosztowną perłą, gdy światu może się podłym wydawać kamykiem. Trzeba też i to wiedzieć, że przedmiotem moich szperań, są drobne owe światełka, rozsypane po niebie, które gwiazdami zowiemy: czyliż więc taka zabawa może być komu szkodliwą?"

— »Rozmijasz się z tem, o co się ciebie Mikołaju Koperniku pytam," zarzucił mu Signor Dominico: »nie zbaczaj do rzeczy obcych, a tylko mów nam, coś odkrył." W tej chwili drzwi, dotąd niezupełnie przymknięte, znowu się bardziej otworzyły, a

stojący przy nich cokolwiek na bok ustąpili. — »Odkryłem," rzecze Kopernik, »nowego planetę."

— »Jakiegoż-to?" zapytał Dominico.

— »Dobrze go znacie, Monsignor!"

— »Ja zaś miałbym go znać? Mylisz się. Jak mam znać to, co może o sto tysięcy mil nad moją głową krąży i błyszczy? Wiedz, że ja nocy niezwykłem tak marnie przepędzać. Jeszcze raz się pytam: co to jest za planeta?"

Nasz uczony, odpowiedział z uśmiechem: »Monsignor, znać musisz swoje mieszkanie, w którém codziennie przebywasz, i łoże, na którém sypiasz?"

— »Oczywiście, że znam; cóż więc stąd?"

— »Więc znany ci, Monsignor, i mój planeta; proszę mi wierzyć, że niedaléj doń stąd, jak o mały skok z tego okna do książęcego ogrodu."

— »Swięty Hieronimie!" wykrzyknął Dominico, — »cóż-to! ośmielasz się w obec tych dostojnych panów żarty ze mnie stroić?" Tu rozległ się głośny śmiech w gabinecie. Dostojny sekretarz wstał, otarł pot z czoła, i kilka razy niespokojnie przeszedł się po sali; nareście jakiś dał rozkaz posługaczowi który natychmiast wyszedł.

— »Oba zymy!" mówił znowu, »kiedy wyznać nie chcesz, czy język twego famulusa nie będzie ła-

twiejszy dó rozwiązania." Kopernik podniosłszy oczy, ujrzał z zadziwieniem wybladłego swego sługę, którego w téj chwili straż wprowadziła do sali, i który lękliwem okiem na swego pana patrzał.

—»Powtórz-że, stary gaduło!" odezwał się doń prezydujący, »powtórz teraz, coś niedawno o tajemnicach swego mistrza przed świadkami prawił. Nie kłam i nie przekręcaj mi ani słowa: bo inaczéj, będzie kuso.

—»Wielce dostojni panowie," zaczął biedak, po niejakiéj przerwie, spojrzawszy wprzód na pana, a potém na zasiadających: »jaż-to mam wyznawać? ja, tajemnicę wyjawiać? Miły Boże! wszak tu obecnym jest ten, któremu jednemu tylko godzi się w uczonych rzeczach odpowiedzi dawać. Wasza dostojność dobrze mię nazwała starym gadułą, bo też wistocie jestem człowiekiem, który pomimo siwizny, jeszcze z dzieciństwa nie wyszedł; który sam nie wié co plecie, i z którego gadania nigdy żadnych wniosków robić nie można."

— »Przeklęty rodzie" mruknął Signor Dominico; »wolałbym Bononią widzieć zniszczoną, aniżeli tu z nimi godzinę się męczyć. Przeczytajże mu jego grzechy panie pisarzu!" Wezwany uchwycił do rąk papier i jednotonnie odczytał: »Famulus Giuseppe Bartelli."

— »Przepraszam najpokorniéj" wyjąknął słuchający swego aktu oskarżenia, »nie Giuseppe, ale Józef, Józef Bartel!"

— »Milcz!" odezwał się Signor Dominico, a pisarz czytał daléj: »Wyznaje on, że w domu jego mistrza, tu w Bononii, bezbożne komedye są przedstawiane, w których osoby poważne, w niewieściém odzieniu występują; powtóre, że jego mistrz wynalazł taki sposób czarodziejski, iż słońce na miejscu zatrzymywać nim może; potrzecie, że jego sztuką, złodzieje w nocy, w Bononii, z rąk straży znikają; poczwarte"......

— »Dosyć!" przerwał Signor Dominico, »pierwéj odpowiedz nam, czy masz przeciwko tym zarzutom co do nadmienienia?"

Józef zwrócił się ku panu swemu i z ukłonem rzekł: »Przebacz mi najłaskawszy mistrzu, jeśli teraz, w twojéj obecności, muszę zdawać sprawę z wielce uczonych rzeczy; ale pan widzisz, że pełni mądrości i dostojeństwa panowie, przynaglają mię do zrzucenia z siebie płaszczyka skromności chrześciańskiéj i ukazania się we właściwym sobie blasku. Tak jest, dostojni mężowie, istotnie, macie we mnie tak zwanego wielkiego człowieka, człowieka z genijuszem, który wiek swój uprzedziwszy, musi przeto, jak wszystko co jest nadzwyczajném,

doświadczać przeciwieństwa. Ty zaś, mistrzu! jakkolwiek cię uwielbiam, jakkolwiek nieraz przyrzekałem tobie zostawić sławę przed światem, przebacz, że muszę zerwać z tobą na zawsze, kiedym już raz śmiał przed ludźmi tajemnicę mą wybąkać."

— »Prędzejże, do rzeczy!" zawołał Signor Dominico, »*ad rem*!"

— »Więc odpowiadam!" rzecze Józef. — »Nieraz się przytrafia, rozsądnym nawet ludziom, że się mienią być czemś więcej, niż są rzeczywiście, i tak: sługa, gotów zawsze udawać przed innymi, pana; cerulik, lekarza; student, bakalarza i t. d. Dopóki się wiedzie, póty tacy są w poważaniu; ale jak tylko znajdzie się prawdziwy znawca — pożegnaj się ze wszystkiém! W takim właśnie przypadku fałszywego o sobie urojenia znajdować się mogą, nietylko istoty myślące wszelkiego rodzaju, ale nawet i tak zwane twory nieżywotne, w którychby podobnego frantostwa spodziewać się nie można było; takim jest naprzykład ów stary urywek stworzenia, śmiecisko piasku, kruszców i chwastów, na którém my, nasi ojcowie, dziadowie, żyjemy i żyli, owa tak zwana ziemia, *tellus*, czy tam jak inaczej. Któżby uwierzył, że ją także szatan pychy owionął, i że się jej przez wiele wieków udawało najuczeńszych mężów oszukiwać? Wszakże przyszedł czas i na nię,

bo we mnie ma tego, który jej przebiegłość wyśledził. Nakłopotałem się z rachunkami, dostojni moi panowie, nadzwyczaj trudnemi rachunkami; ślepiłem po odwiecznem sklepieniu niebieskiem, a że już ono nie tak spójne, jak było niegdyś, przez szpary i rysy w niem wypatrzyłem rozmaite dziwy. I tak, widziałem dokładnie, jak się gwiazdy muskały; jak jedne z nich marszczki swoje wygładzały, drugie znowu, wybladłe od bezsennych nocy, policzki sobie malowały; nieraz słyszałem zwady i kłótnie pomiędzy niemi, gdy jedne później, drugie wcześniej wstawały, inne powoli, jakby chromiąc, dążyły i często zachodziły w drogę młodszym, a przeto bez doświadczenia pędzącym. Słowem, nieraz aż przykro było na to wszystko patrzeć. Nareszcie przyszło mi odkryć i fortele naszej starej matki-ziemi. Tulących się nas do jej łona, i przez delikatność patrzących ślepo na jej ułomności, zdołała ona długo mamić, jakoby w przestrzeni nieba najpierwsze trzymała miejsce, a słońce i wszystkie inne gwiazdy były tylko na jej usługi. Zdziwiłem się więc niepomału, gdym raz siedząc, jak zwykle, na czatach, przeciwnie ujrzał. Kiedy się najmniej tego spodziewała, wypatrzyłem, jak nasza staruszka, w grubym kitlu służebnym, razem z innym sobie podobnym gminem kłusuje. O jak nędznic,

jak posępnie wyglądała! jak pokornie zebrała u słońca odrobiny światła; a gdy go otrzymała, dalej znowu, coprędzej się wymuskawszy, grać świetną rolę, póki nie strwoniła datku i nanowo prosić o niego nie musiała. Takto ona czyni co noc, kiedy jej wszystkie śpią dzieci, iżby żadne tego niedostrzegło. Ale nas uczonych, co po ziemi rozsypani, późno w noc przy lampach siadujemy i ślęczemy, nas nie może ona łudzić. I to jest moje, dostojni panowie, odkrycie, mówię własne moje, a nie czyje. Jeśli mi przysądzić za to ze stotysięcy dublonów zechcecie, każcie, nie komu innemu, tylko mnie wypłacić; jeśli zaś podoba się wam na stos mię skazać, tedy błagam, aby to mnie tylko, a nie kogo innego, spotkało."

Niezmierne wrażenie dziwna ta mowa na słuchaczach sprawiła. Książe całkiem prawie do sali się wychyliwszy, śmiał się serdecznie, a za jego przykładem i dworzanie, chociaż ci, najmniej może, przedmiot tego śmiesznego zeznania, rozumieli. Kopernik nawet, ochłonąwszy z początkowej obawy, również śmiał się, gdy stary gaduła, który tak szczęśliwy obrót rzeczy nadał, markotnie patrzył w ziemię, i najzabawniejsze robił pomarszczoną swą twarzą grymasy. Ale Signor Dominico, śmiechem jaki na siebie ściągnął dotknięty, rzekł z gniewem

do Józefa: »Krótko się wytłumacz, co zacz jest twoje odkrycie!"

— »W krótkości nie mogę nic innego powiedzieć, tylko, żem odkrył, iż ziemia się około słońca, a nie słońce około ziemi obraca."

— »Napisać to!" powiedział Dominico do trzymającego pióro, a potém zwracając się do Kopernika: »Widzisz sam, że to nowe, zadziwiające odkrycie, jego tylko jest sprawą, a nie twoją?"

Kopernik ociągał się z odpowiedzią; zrazu bowiem, odezwała się w nim była słuszna chęć objawieniaprzed wszystkiémi, w krótkiem wyznaniu, owoców tylu prac i bezsennie przepędzonych nocy; ale w ciągu osobliwszego tłumaczenia się Józefa, tak się w téj myśli zachwiał, zwłaszcza widząc jego na siebie poglądy korne, a w twarzy Benvenutta frasunek i niespokojność, że odpowiedział tylko, iż wié, jak oddawna famulus jego, uczonemi zajmuje się pracami; że mu jest wdzięcznym za niemałą wswych pracach pomoc, i że nareszcie niewątpi, iż to odkrycie mógł uczynić Józef Bartel.

— »*Bravo*!" wykrzyknął stary ucieszony, »niech też raz i Bartelowi przyznana będzie jakaś zasługa, nie zaś żeby wszystko sam mistrz tylko odkrył i dokonał; a zatém, panie pisarzu, prędzéj na papier przenieś to zeznanie!"

— »Czekaj!" rzekł Signor Dominico, »jeszcześ dotąd na pierwsze zarzuty nie odpowiedział." — Znowu się zaśmiano w gabinecie i dał się słyszeć głos Księcia: »Słuchajmy co teraz odpowie?"

— »Ach, dostojny panie!" odezwał się Bartel, »chciej mi wierzyć, żeśmy w domu mistrza, nic innego jak tylko wesołą komedyę dziecinną wyprawiali, w której nic bynajmniej nie było takiego, coby świętości kościoła, lub powadze rządu ubliżało; a co się tycze zarzutu, jakobym ja mógł, z rąk straży, pojmanych na złym uczynku wyrywać, to widzicie dowód na mnie, żem sam ujść wam niemógł; tymczasem, gdybym ową sztukę posiadał, pewniebym tu niestał."

Zaśmiano się znowu w gabinecie i drzwi przymknięto: co było znakiem ukończenia tego śmiesznego posłuchania. Piszący poskładali papiery, a Dominico w towarzystwie Benvenutta wyszedł, surowo spójrzawszy na Kopernika i jego sługę, którego straż odprowadziła, niedawszy i słowa odezwać się do pana.

Kopernik powróciwszy do pokojów, gdzie go wprzódy osadzono, miał czas w samotności rozmyślać nad tem, co się stało. Późno jeszcze w noc siedział temi myślami zajęty, przy otwartem oknie od balkoniku, wychodzącego na ciasną i ciemną

uliczkę. Widok pogodnego gwiazdami okrytego nieba, był dla naszego uczonego zawsze wielce pożądanym, tym pożądańszym więc był w teraźniejszym jego położeniu; pomimo ścieśnienia tego widoku, przez domy przeciwległe, starał się upatrzeć swoje ulubione i niejako poufałe konstellacye, gdy wtym ktoś na ulicy kaszlnął. Sądząc że to może być który z jego przyjaciół, Kopernik wyszedł śpiesznie z lampą na balkon, lecz zamiast znajoméj sobie miléj twarzy, ujrzał wychylającą się z ciemności istną poczwarę, w szerokim czarnym płaszczu, która zwolna przesuwając się, ponurym głosem kilkakroć powtórzyła: »Czujesz ścigającą cię rękę za obrazę Ziemi! nie ujdziesz jéj! nie ujdziesz!"

Cofnął się Kopernik do pokoju, zamknął okno, i postawiwszy lampę na stole, przeszedł się kilka razy mając w myśli: »Czemum się śpieszył do téj krainy, gdzie powiewa nawet *scirocco* umysłowy, ze skwarnych pustyń zabobonu, i wszelkie życie rozumu zabija?" Dumania te przerwał oficer od straży, oznajmując przybycie bakałarza Benvenutto, który wkrótce wszedł po nim. Oficer zaraz się oddalił, a Benvenutto najczuléj uścisnął rękę Kopernika, który rzekł: »co cię tu, mój dobry przyjacielu, tak późno sprowadza?"

— »Troskliwość o ciebie, czcigodny mój mistrzu! Musisz uciekać! musisz w tych dniach Bononią opuścić!"

— »Żartujesz sobie; czyż bowiem nie byłeś świadkiem, jak się cała sprawa moja na niczém skończyła?"

— »Nie wierz temu, najzacniejszy mężu!" odpowiedział młodzian, »roztropność i zadziwiająca przebiegłość Bartela, uratowała ciebie; on cię wstrzymał od wszelkiego wyznania. Ale czy myślisz, że wszyscy twoi nieprzyjaciele równie snadno oszukać się dadzą, jak Dominico? Pomnij na najzawziętszego, a tyle wpływu na wszystkich wywierającego lekarza Księcia, któregoś nieraz zdanie rzadką swą medycyny znajomością obalił, i który uroił sobie, że jego miejsce zająć u dworu zamyślasz. Pomnij na owego doktora filozofii i ławnika, któremuś w dysputach, tylekroć mylność twierdzeń najniewinniej wytknął! — Że wreście pominę tylu innych nauce twéj i prawości zawistnych, pomnij na wielkie twoje odkrycie i czas, w którym żyjemy."

— »Jakto?" zawołał zdziwiony Kopernik, »więc i ty zacny mój Wincenty, masz mię za kacerskiego cudaka?"

— »Mężu niezmiernego umysłu!" odpowie młodzieniec z uniesieniem, »zadziwiający, niepojęty

człowiecze! któryś jak potężny olbrzym obejrzał niebiosa! duchu niezbadany, przyszłych wieków nauczycielu! pozwól mi być swoim powiernikiem, wielbicielem! Dzięki wam o nieba! żeście mi dały oglądać tego, którego przenikliwe oko i rozum, nowy porządek w budowie świata powszechnego dostrzegły."

— »Marzysz!" przerwał mu Kopernik, »przywidziawszy sobie we mnie jakiegoś cudotwórcę, bo com ja odkrył, mógłby kto inny prędzej lub później także odkryć; ty sam nawet przez swe prace i zaciekania się, byłeś tego niedaleki.»

— »Ach! nie mów mi o tem, nie mów! »rzekl Benvenutto poglądając za siebie, czy kto nie słucha.

— »Przecież z rozmów z tobą, z twoich zdań i domniemań, mogłem wnieść jak dalece w zgłębianiu wyższych umiejętności postąpiłeś?"

— »Nie mów mi tego, dla Boga!" powtórzył w roztargnieniu Benvenutto; »nic nie pamiętam, nie wiem, czylim kiedy co o rzeczach, zdolności mojego umysłu przechodzących mówił." Na te słowa' rzekł Kopernik: — »Młodzieńcze! nic nie pojmuję, ani twoich zbytecznych uniesień, ani twej przesadzonej bojaźni."

— »Więc zapominasz o względach światowych? bo czyliż cię nie można porównać z antychrystem

jako obalającego to, co dotąd za świętą prawdę przez tyle wieków uznawano? zastanowiłżeś się nad tem czcigodny mistrzu?"

— »Ubolewam nad dziwactwem, w którem cię teraz widzę!" odpowiedział Kopernik widocznie urażony; »zdajesz mi się sam sobie sprzeciwiać!"

— »Ach! nie, mistrzu! Taiłem się przed tobą z mojemi czarnemi myślami, które mię wówczas dręczyły, kiedym jeszcze z tobą pracował; ilekroć bowiem sam na sam zapuszczałem się w owe zakazane badania, zawsze przejmowała mię okropność, iż coraz bardziej oddalam się od wiary; nieraz przeto, nad memi książkami łzy pokuty wylewając, błagałem niebo o darowanie mi winy, zapuszczania się w jego skrytości ziemskiém mojém okiem. O mistrzu! jak jest szkodliwa ta wiadomość, jak zgubną żądza badania i wyjawiania podobnych tajemnic!"

Kopernik słuchając tego, bledniał bardziej, lub się czerwienił na przemiany; z oczu jego wyczytać można było zagniewanie i pogardę. — »Dosyć!" rzekł nareście do Benvenutta, »dosyć! jeśli ty takie rzeczy mi mówisz, wierzyć już niemal muszę, że życie moje jest w niebezpieczeństwie, i że troskliwość o mnie, którąm za zbyteczną poczytywał, słuszną nazwać winienem."

— »Więc zgadzasz się na ucieczkę? Chceszli się powierzyć swym wybawicielom?"

— »Zostaw mię teraz samotnym," odpowiedział Kopernik; »potrafiłeś spokojność wygnać z mojéj duszy, trzeba mi czasu abym zebrał myśli, oddal się więc, proszę cię. — Do jutra odpowiedź." Benvenutto wyszedł. Po godzinie namysłu, Kopernik był już w mocném postanowieniu, aby pozostać, nie zaś podejrzaną ucieczką siebie i sprawę swoję, na ciężkie posądzenie narażać.

Czwartéj nocy przed świtem, posłyszał jakiś zgiełk na ulicy. Pośpieszywszy do okna, ujrzał nagromadzone tłumy, z czego wniósł, że jakiś nadzwyczajny zdarzył się wypadek. Wyjrzawszy bardziej na ulicę, postrzegł z przerażeniem, wśród gminu, swojego starego sługę Bartela, prowadzonego przez plac, na którym się obie przyległe ulice zbiegały. Chciał nań wołać po imieniu, chciał wzywać ratunku; ale wnet pomiarkował, że to wszystko byłoby bezskutecznem a nawet jego samego, mogłoby wystawić na niebezpieczeństwo. Passując się tak z myślami, stał jeszcze w oknie, gdy ktoś w szerokim płaszczu, przecisnąwszy się przez tłum, przybiegł pod ścianę i krzyknąwszy: »Precz, precz z okna!" duży kamień wrzucił do jego pokoju. Ledwo dostrzegł Kopernik że kamień był uwinięty w papier, wziął go prędko i

wyczytał następne do siebie od Battisty słowa: Los twój wziął najgorszy obrót. Wieczorem książe zakończył nagle życie z żalem powszechnym. Nieprzyjaciele twoi rozsieli pomiędzy ludem, jakobyś ty był przyczyną téj śmierci. Rozsrożenie więc przeciwko tobie i kilku innym uczonym cudzoziemskim tu mieszkającym, jest niezmierne. Z tak nieochybnéj zguby, w jaką popadł biedny twój Bartel, wyrwać cię może tylko, przezornie obmyślona ucieczka. Jużeśmy do niéj poczynili przygotowania; tobie zaś pozostaje tym kawałkiem stopionego złota, który w téj karcie jest zawinięty, przekupić swego stróża: bo gdy cię tu wszyscy mają za czarnoksiężnika, łatwo, zdaje się potrafisz wrazić w drabanta to przekonanie, że sztuka robienia złota nie jest ci obcą; może i on z nami puścić się zechce w nadziei większych jeszcze na przyszłość zysków. Bądźże za godzinę gotów; przez ten czas kiedy wielkie nabożeństwo, wszystkich niemal do kościoła ściąga, a w pałacu jeszcze jest wszystko w zamieszaniu, nie wątpię że się nam zamiar uda. Miejmy nadzieję w Bogu Wszechmocnym."

Ledwo po niejakiéj chwili odwinąwszy Kopernik powłoki mniemanego kamienia, przekonał się o troskliwości swych przyjaciół, którzy mu tak hojny nastręczali okup. Nie tracąc czasu na rozmy-

łaniu, poskładał ważniejsze papiery które miał zabrać z sobą, i właśnie zabierał się napisać przyjacielskie pożegnanie do Benvenutty, gdy ujrzał go wchodzącego z oficerem. Z surowym wyrazem na twarzy, głosem rozkazującym, wezwał on Kopernika do pójścia za sobą. — »Mój panie, godzina twoja wybiła!" szepnął doń oficer. Benvenutto szedł po przedzie; nie oglądając się przez wszystkie sale i korytarze, Kopernik widział się najniegodziwiej zdradzonym; ogarnęła go taka trwoga, że niebył prawie wstanie zdobyć się na propozycyją ciągle z nim obok idącemu oficerowi, a gdy złoto z zanadrza chciał wyjąć, uczuł wstyd największy, pomyślawszy, że się zniża do stopnia podłego kuglarza, za jakiego przed ciemnym uchodził gminem. Nareszcie zdobył się na odwagę, i zaczął już był układy, kiedy w tym Benvenutto nagle się obejrzawszy i postrzegłszy złoto: „kto śmie od skazanego na śmierć kacerza, cokolwiek przyjmować" rzekł, „na spólny z nim los zasługuje."

— »Niech mię Bóg broni, od takiego występku." zawołał oficer.

— »I toż-to twój przyjaciel, twój uczeń!" pomyślał z westchnieniem Kopernik. Benvenutto, jak gdyby tę myśl zgadując, nieco się zatrzymał w ciemnym kurytarzu, a towarzyszący im wojskowy nic

dostrzegł tego, jak uchwycił za rękę swego ubóstwianego, teraz nieszczęśliwego mistrza, i przycisnął ją do swych piersi. Zrozumiał to uniesienie Kopernik, i spokojniej już wszedłszy w krótce do ciemnego pokoju, gdzie Benvenutto głośno mu oświadczył, że ma czekać dalszego swego losu, pozostał zamknięty. W tém nowém, skąd inąd niebardzo pocieszającém położeniu, przepędziwszy godzin kilka zatopiony w myślach o swej przyszłości, o losie nieszczęśliwego Bartela, o swoich krewnych i przyjaciołach, o swoich pracach, które łupem zazdrości i ciemnoty stać się mogły, gdy już znowu zaczynał bydź niespokojnym, Benvenutto wchodzi, pociesza go, i zaleciwszy milczenie, wyprowadza. Straży niemieli przy sobie; na ulicach było już ciemno. Kopernik w płaszczu pielgrzymskim, który mu Benvenutto przyniósł, szedł z mocném biciem serca, dobrze sobie znaną drogą; nareszcie ujrzał światło w swoim domu; już rozumiejąc się bydź u kresu, z zadziwieniem postrzegł, że przewodnik, ten dom pomija. — » Nie masz już tam twoich" rzekł Benvenutto, wszyscy się wynieśli, a pospulstwo uspakaja się, słysząc żeście w więzieniu. Nie trwoż się jednak, w tych o to zwaliskach znajdziesz wszystkich. Czekać już cię muszą; wszelkie ułatwienia macie do ucieczki. Pośpieszaj też naj-

zacniejszy mężu; bo gdyby cię jutrzejszy ranek w Bononii zastał, niebyłoby może środka ocalenia ciebie." To powiedziawszy młodzieniec ucałował rękę Kopernika ze łzami, i nim ten, rozrzewniony także, zdołał wyrzec kilka słów pożegnania, znikł Benvenutto w ciemności nocnej.

Wkrótce postrzegł Kopernik migające śród ruin światełko, i przy niem kilka osób, które, ile słaby blask dojrzeć pozwalał, niespokojnie oglądały się na wszystkie strony. Były to jego siostry z Zosią, które pomimo dziwacznego ich przebrania się poznał, a zniemi był Battista. Na odezwanie się Kopernika otoczyli go w uniesieniu radości. Pani Franciszkowa zaczęła gorzko narzekać, że przez niewinną krotochwilę, stała się takiego nieszczęścia przyczyną; panna Teressa także obwiniała siebie i swoję nierozwagę, i niebyłoby końca tym żartom i usprawiedliwieniom, gdyby Battista nie przerwał wezwaniem do śpiesznego ruszenia w drogę. Mały ten orszak uszykował się pociemku w milczeniu; wierny przewodnik stanął na jego czele; zawiniątka i paczki, ile ich wziąść można było, już kilką godzinami pierwej wysłane zostały pod okiem młodego Pawła. Z książek Kopernika najważniejsze i najdroższe niosła pod pasterskim płaszczem ukryte, Pani Franciszkowa. Ruszywszy z miejsca wszyscy,

milczący, myśleli tylko o Koperniku; ten zaś z boleścią myślał o wiernym swym słudze, o którego ocaleniu zwątpił zupełnie, jakkolwiek czynić oto staranie, przyrzekł mu był Benvenutto. Tym sposobem szczęśliwie dostali się do bramy miasta, a w godzinę stanęli już w miejscu bezpiecznem, gdzie na nich czekał Paweł. Po niedalekiem przeprowadzeniu i najczulszem pożegnaniu Battisty, gdy Kopernik powrócił do swych towarzyszek, znalazł je wszystkie zapłakane a z niemi i Pawła. Nim się mógł odezwać, by te żale ukoić, pani Franciszkowa wziąwszy go na stronę, powiedziała cicho: — »Jak by to było dobrze, kochany bracie, abyś pozwolił Pawłowi los z nami dzielić, czego najgoręcej sam pragnie. Może się on z czasem do pomocy w twych pracach przyda; a zapewniwszy sobie kiedyś kawałek chleba, czemużby się niemiał ożenić z Zosią?" — »Otóżto kobiety!" odpowiedział z uśmiechem Kopernik," zaledwie bieda przeszła, już kojarzą stadła! Niech sobie wreszcie, tak będzie! jeśli Paweł chce dla dziewczęcia, rodzinne opuścić siedliska, może się udać z nami. Któż wie, jak potem z tej miłości ochłonąwszy zamiłuje naukę!" Słysząc to Paweł, ze łzami najżywszej radości ucałował rękę mistrza, który obracając do całego swego grona mowę, rzekł: Dziękujmy Bogu Najwyższemu, że mię

ocalił! W krótce swobodny i szczęśliwy w naszéj zacnéj odetchnę krainie, ale wy, dajcie mi słowo, że nigdy z ust waszych nikt o mojéj nie usłyszy pracy. Niech dopiéro kiedy z dłuższém życiem, ona dojrzeje, niech się mówię, świat o niéj dowie dopiero po méj śmierci, gdy dla rozumu ludzkiego lepsze czasy Opatrzność zeszle!"

Tu się wszyscy nawzajem uściskali i dalszą przedsięwzięli drogę.



Ustronie.

Wy moje góry! i wy moje zdroje!
O witaj zapomniana przez ludzi ustroni!
Lubię dziką samotność, kocham szczęście moje;
Gdy łzę cichą samotnie oko moje roni.

Tu śpiewam nie dla ludzi, ale dla natury,
Tu głos mój fantastyczne echa wywołuje,
Błądzę w głąb zmilkłych borów, wdzieram się na góry,
A myśl moja wysoko nad myślą króluje.

Pod zwisłą w nurty rzeki płaczącą brzeziną,
Nieraz się z brzegów Narwi przyglądam samotny.
Jak z wodą płynie mój wiek niepowrotny,
Jak moje mary malowane płyną.

Niedługo ciche narewiańskie wody,
Wpadną do ujścia i zginą;
Ach tak upłynie złoty mój wiek młody,
Moje marzenia upłyną!

Ale o luba! nim nas zwodnicze koleje.
Na zawsze pożegnają jak te dni majowe,
Żyjmy dla siebie! a nam słońce nowe,
Niebo lat młodych ogrzeje,

Żyjmy dla siebie, o najmilsza moja!
Przesypmy kwieciem ścieszkę na podróży,
Na niej metę do palmy wskaże mi dłoń twoja,
Albo mi poda kwiat róży.

Ach ty mnie kochaj, jak ja kocham ciebie!
Niechaj w obłoki nasza myśl nie wzlata,
A żyjąc razem, i żyjąc dla siebie,
Żartujmy z świata.

Alexander K. Burski.

Diomed i Nestor.

USTĘP

z Iljady Homera Księgi VIII.

. . . .
. . . .

Wraz z gorejącej siarki płomień wybuchnął straszliwy,
Trwogą przejęte rumaki, dziko przy wozie padały.
Z drżących rąk Nestor wypuszcza lejce ozdobnie splecione,
I z sercem na pół struchlałem do bohatera przemawia:
»Synu Tydeja! bystre rumaki zwróć i uciekaj,
»Czy ty nie widzisz, nie da już tobie Zeus zwycięztwa,

›Dla przeciwnika on chwałę świetną i szczęście z wy-
soka
›Dziś przygotował, a dla nas później jeśli sam zechce
›Da znów zwycięztwo. Lecz żaden z ludzi myśli nie
zmieni
›Władcy wielkiego, bo on sam jeden najpotężniej-
szy."
A jemu na to boju spragniony rzekł Diomedes:
›Twoje wyrazy o starcze! prawdę mi głoszą zba-
wienną,
›Lecz ta myśl ciężką boleścią serce do głębi przej-
muje,
›Bo Hektor potem między Trojany wszędzie rozgłosi,
›Że syn Tydeja przed nim aż w nawach szukał
schronienia.
›Chełpić się będzie! O! niech mnie wprzódy ziemia
pochłonie"
A jemu na to sędziwy Nestor tak odpowiada:
›Biada mi! synu Tydeja, moważ to jest wojownika!
›Choćby już i Hektor ciebie nazwał nikczemnym i
nędznym,
›Jednak mu wierzyć nie będą Trojanie ani Trojanki.
›Ni wdowy tych bohaterów co z tarczą wielką i
sercem
›U nóg twych trupem padali Troi obrońcy potężni."

Rzekł: i wraz bystre rumaki zwraca, i w tłumy ku swoim
Szybko ucieka. Ale za niemi Trojanie i Hektor,
Na pierzchających z okrzykiem zgubne puszczają pociski.
A Hektor hełmem błyszczący, zawołał głosem donośnym:
»Synu Tydeja! na ucztach ciebie czcili Danaje
»Miejscem najpierwszém, potrawą mięsną, pełnym pucharem,
»Teraz cię czeka pogarda. Podłą ty jesteś niewiastą!
»Uciekaj dziewko trwożliwa! Pokąd ja walczę za Troje,
»Precz ty uciekaj! Prędzéj śmierć tobie zada ta ręka!"
Wołał, a pierś Diomeda myśli opadły wątpliwe,
Czy ma skierować rumaki, rozpocząć bój z przeciwnikiem,
Trzy razy chciał już usłuchać głosu odwagi i męztwa,
Trzy razy z Idy wyniosłéj piorunem grzmiał gromowładca,
Głosił Trojańskim narodom znak niepewnego zwycięztwa.

A. J. S.

Wyjątek z Listów do Zofii

O FIZYCE, CHEMII i HISTORYI NATURALNÉJ

przekładu

Norberta Alfonsa Kumelskiego. (*)

LIST IX.

GIENIJUSZ CZŁOWIEKA.

Chcesz więc, by struny mojéj liry brzmiały,
Tych sławnych mędrców potęgi wielbieniem,
Którym się dziwi zdumiony świat cały?
Chcesz własne imie zrównać z ich imieniem?

(*) Przekład tego pięknego dzieła (w IVch tomach) od lat kilku przygotowany do druku, wiele winien zalety, co do poezyi, wysokiemu talentowi poetyckiemu zasłużonego w literaturze polskiej pisarza, *Ignacego Szydłowskiego.*

Nigdy się przedmiot piękniejszy nie zdarzył
Temu, kto pisał, rozmyślał lub marzył.
Żadnych tu duchów nie służy wezwanie;
Swiat cały twoją zdobyczą zostanie.
Bez talizmanów, rószczek, lasek, czarów,
Bez zaklęć, szeptów, ksiąg, dojdziesz zamiarów.
Ujrzysz, że z cudów Twardowski zaszczytem,
Czarnoksiężnikiem nie był, ni wróżbitem.
Nasz-to wiek luby, lekki i wesoły,
Najrzetelniejsze oświecenie szerzy;
Każdy się uczy, a nikt w nie niewierzy;
Każdy rozmyśla, nie mędrszy z tej szkoły:
Nakoniec skacze, weseli się, śmieje;
I ztem każdemu najlepiej się dzieje.
Lecz ty pogardzasz igraszki marnemi,
Chcesz znać skrytości i niebios i ziemi,
Rozprządz żywioły, wznieść się ponad chmury,
I piorunami rozporządzać z góry.
Pochwalam wielce takową wyprawę;
W tym wieku zyszczesz, jaką zechcesz sławę.
Ale czyż trzeba w tej szczęśliwej chwili,
Byśmy za marną mądrością gonili?
Wierzaj mi, kiedy szczęsne powodzenie,
Da nam odgadnąć te świetne zjawiska,
Które składają mędrców zatrudnienie;
Powróćmy znowu w lube nam siedliska,

Gdzie uciechami praca się przeplata,
Myśleć, jak marna mądrość tego świata!

Ale otoż i gabinet mędrca dla nas otwarty! Widzisz fizyka otoczonego mnóstwem narzędzi, ktore służą mu do ważenia światów, a oraz dowcipnemi machinami, za pomocą których ogień z niebios ściąga. W jego piecach, złoto, przeistacza się w proszek piorunujący, który, bez ognia nawet, zapala się z okropnym hukiem; tysiące niewidocznych gazów, płyną do kul kryształowych: jeden z nich ma gasić płomień; drugi tworzyć wodę; trzeci o śmierć przyprawiać. Lecz widzę samegoż mędrca, świetnemi okrytego iskrami; włosy mu się jeżą; ledwo dotknął mosiężnego walca, już go wieńczą promienie światła. Jowisz, patrząc z wysokości swego tronu, na tego nowego Prometeusza, wykrzykuje z przestrachu:

Mnieżto cierpliwie oczekiwać trzeba,
By nowy Tytan szturmował do nieba?
Chce stwarzać, niechaj sam się w proch obróci!
Rzekł, porwał piorun, i na ziemię rzuci.
Płoną po niebie jaskrawe pożary,
Gniewny pan gromów grot po grocie ciska:

Dumniejszy człowiek z tego widowiska,
Wniwecz obraca Jowisza zamiary.

Czy widzisz? mędrzec laską czarnoksiężką kierując piorunem, mówi mu: tam spadniesz!

Dajcie mi dźwignią i punkt podpory, mawiał Archimedes, a świat podniosę. Dajcie mi materyi i ruchu, powiadał Kartezyusz, a stworzę świat drugi!

Trzebaż teraz, aby fizyk wywołał z grobu cienie, aby się otoczył widmami i upiorami, i wzniósł się do niebios z tą wybladłą zmarłych drużyną?...., Widziałem, jak śród ciemnej nocy, kreślił ognistemi literami, na zwaliskach starożytnych pomników, straszliwe wyroki przeznaczenia (1).

Chceszli, aby, jak drugi Archimedes, zapalał floty nieprzyjacielskie zwierciadłem pałącem? albo jak Kallinik, wynalazł straszliwy ogień, jeszcze bardziej rozniecający się pod wodą? Chceszli, by idąc w ślady Ferecydesa, przepowiadał trzęsienie ziemi; lub też, aby na wzór Mągolfiera (*Montgolfier*), latał nad twą głową, i zajął w swą dzierżawę krainę powietrza?

---

(1) Fosforem.

W nawałnic łono i wściekłej flagi,
Człowiek się rzuca bez trwogi;
Swiat wielbi cuda jego odwagi,
Potęgę uznają bogi.

Przenieś tego fizyka nad tajemnicze źródła Nilu, lub na brzegi Amazony, a mieszkańcy tameczni ogłoszą go bogiem.

Teraz potrafisz wytłumaczyć wszystkie cuda kapłanów egipskich, a nawet niedawne sprawy czarnoksięztwa.

Wszakże, nadzwyczajne te odkrycia, są tylko igraszką uczonych: tak-to oni wiodą do prawdziwej nauki, i mamią nas przyłudą! Jak sam gieniusz, tak i moc człowieka jest niezmierną.

W obliczu niebios, wód, ziemi,
Człek się wsławił dzieły swemi.
Gdzie ten las, co się tam szerzył?
Falom go morskim powierzył;
I dumnie, z ułomnej łodzi,
Nad dwóma światy przewodzi.
Ale przemyślny, schronienia
Owad w cieniu drzew tych szuka,
Jego niepojęta sztuka
Liść w drogie włókna przemienia.

I z rośliny, dziwna władza,
Skarb cudowny wyprowadza.
Przybywa mędrzec ochoczy,
Owad, dla niego roboczy,
Srebrzyste jedwabie snuje:
I wnet człowieka bogata,
Okazale stroi szata:
Wszystko jemu ustępuje.
Nędza, wielkość, słabość, siły,
W tym się tworze połączyły.
Wtenczas kiedy przyrodzenia,
Bezdenne przepaści bada;
Złoto jego szczęście składa,
Owad dostarcza odzienia.

Mógłbym ci jeszcze przytoczyć tysiąc innych przykładów prawdziwej umiejętności.

Człowiek, na tym świecie prochu, toczącym się i unoszącym go chyżo, zmierzył przestwory nieba. Naznaczy ci wielkość gwiazd, chyżość ich biegu i odległość; zapytajże go o atomie, przy nim leżącym: odpowie milczeniem.

Lecz cóż-to! widzę go w samotności, bawiącego się igiełkami stalowemi, które się, to pociągają, to odpychają. Może mniema, iż jeszcze zajmie świat temi igraszkami dziecinnemi, albo może ten feno-

men obłąkał mu rozum? Nie; trzyma on klucz do nowego świata. Nic nie będzie miało tak wielkiego wpływu na uszczęśliwienie narodów, jak odkrycie magnesu.

Historya wielkich skutków z małych przyczyn, ciekawą złożyłaby księgę.

Człowiek, ta tak słaba istota, rozrzucona, jak powiada *Labruyère*, tu i ówdzie na tym atomie, wymierza odległość gwiazd, waży słońca, i prawa ruchu zgaduje. Kawałek bursztynu odkrywa mu tajemnicę elektryczności, które poznawszy, umie władać piorunem, i naznaczać mu miejsce, gdzie uderzyć powinien. Nieco zeszklonych ziarn piasku, ukazuje mu tysiące mieszkańców w jednej kropli wody; tysiące słońc w otchłani niebios. Nie ma już ocean nieznajomych brzegów jego żegludze; igła go prowadzi, i czyni panem nowego świata. Gienijusz jego, tworzy sztuki mechaniczne, służące do zaspokojenia potrzeb ciała, i umiejętności oderwane, które, rozprzestrzeniając władze umysłowe, zaspokajają potrzeby jego duszy. Wreszcie, słaba ta istota, uzbraja się we wszystkie siły przyrodzenia, i jego otacza się potęgą; wszystkich zaś tych cudów, przez liczby, linie, koła, trójkąty, dokazuje.

Te przykłady uczą nas, jak niepowinniśmy lekce trzymać o pracach uczonych. Nie pytajmy się geo-

metry, dla czego wysila swój dowcip nad rachunkiem nieskończoności, gdy wszystko, co go otacza, tak ciasne ma granice. Wynalazek, który dziś mamy za nieużyteczny, jutro stać się może jedyną naszą chlubą. Te formuły oderwane, te czcze doświadczenia, które żadnego nie zdają się mieć celu, kiedyś może stanowić będą o losie narodów. Traktat o przecięciach ostrokręgowych Apolloniusza Pergeyskiego, przez dwa tysiące lat leżał bez użytku. Któżby się mógł spodziewać, że we dwadzieścia wieków, stanie się zasadą wiadomości astronomicznych, które dziś ubezpieczają żeglarzy, wiodą sternika po morzach nieznajomych, i wytykają mu na niebie drogę do jego kraju.

Duszo, tchu bozki, czém jesteś? wszakże-to jeszcze ledwo mała dzieł twych cząstka!

Ach! gdyby mi bóg rymów użyczył natchnienia,
Gdyby swojem sprzyjaniem ożywił me pienia,
Zdołałbym w jednej chwili okazać przed wami,
Wsławionych śmiertelników twórczemi dziełami;
Mędrców, którzy gościniec rzucając ubity,
Nowemi szlaki doszli po nowe zaszczyty.
Zdołałbym z Kopernikiem niebios przepaść zbadać
Zatrzymać w biegu słońce, ziemi obrot nadać;
A tam, gdzie gwiazd jaśnieje moc nieprzeliczona.
Smiałem skrzydłem wielkiego doścignąć Newtona;

Jego lotu malować tryumf okazale:
Swiatło słoneczne w czystym skupione krysztale
Rozkładając na części przez sztuki potęgę,
Siedmiobarwną Irydy rozwinąłbym wstęgę:
Cofnąłbym w bystrym biegu dawnych czasów rzeki,
Całe z przeszłości zwalisk podźwignąłbym wieki,
A śpiewając ich świetność, pomyślność, potęgę,
Dziejów, pamięci wartych, otworzyłbym księgę:
Wystawiłbym cię godnie, *Janie* złotorymny (1).
Z arfą króla proroka, nucącego hymny,
W których Przedwieczny sprawca i niebios, i ziemi,
W jasność, jak w płaszcz odziany dzieły opatrznemi,
Wyprowadza z nicestwa, zasłania od szkody,
Ludzi, ziemskie, i wodne, i powietrzne rody;
Lub, z lutnią bolejącą na zgon córki srogi,
Gdyś się ze łzami pytał tej nieszczęsnej drogi,
Którędy do wrot śmierci trafiwszy przed laty,
Puszczał się w ziemię Orfej, szukając swej straty:
Albobym ziemianina odmalował w tobie,
W błogiej raczej, niż w swietnej chcącego żyć dobie.
Symonidesa (2) w wiejskiej wydałbym zagrodzie,
Jak z fletnią Teokryta, przy uciesznej trzodzie,

---

(1) Kochanowski.

(2) Szymon Szymonowicz Bendoński, *Symonidesem* podług zwyczaju wieku, w którym żył, przezwany.

Niewdzięczność dla Dafnisa i kamienne serce;
I niewzajemną miłość wyrzuca pasterce.
Sarbiewskiego, w Auzońskich Muz uczonem gronie
Niezwiędłemi wawrzyny wieńczących mu skronie,
Kiedy za ich rozkazem, przez *niezwykłe usta*,
Zdumionemu Rzymowi wrócił wiek Augusta.

Takie-to są cuda myśli ludzkiej, Wyznaj, żeśmy wielce przewyższyli najpiękniejsze gieniusze starożytności. W umiejętnościach naprzyklad, żak dzisiejszy więcej posiada, aniżeli ubóstwiany Anaxagoras, któremu, podług świadectwa Woltera, Grecya wystawiała ołtarze, za nauczenie ludzi, że słońce jest większe od Peloponezu, że śnieg, czarny, a niebo, kamienne.

Odmalowałem już dziwy, a jeszczem nic nie powiedział o elementach rozłożonych, o fenomenach elektryczności i galwanizmu, o roślinach, muszlach, owadach; nie wspomniałem też o osobliwszych machinach Wokansona *(Vaucanson)*, ani o głowach gadających Mikala *(Mical)*. Nauka Biuffona i Lawoażijera, *(Lavoisier)* całeby nasze zajęła życie, i pochłonęła wszystko nasze podziwienie. Będę się starał, później dać tobie wyobrażenie wszystkich tych dziwów: lecz ileż-to nieoszacowanych odkryć będziemy musieli pominąć! ile wspaniałych nie obaczemy wi-

dowisk! Nauki i sztuki trzymają się za ręce: optyka zaprowadziłaby nas do malarstwa, cudnego wynalazku, który powtarza piękności świata; od uwag nad strumykiem, przeszlibyśmy koleją do okazałego widoku: rzek, wytryskujących z gór, obłoków, które je noszą, i morza, wiekuistem ich będącego źródłem. Nakoniec, ileżto dziwnych rzeczy można powiedzieć o owem stworzeniu, co, rzucone na ziemi bez odzienia, przytułku i pomocy, umiało, samą tylko mocą swej myśli, stworzyć sztuki i nauki, wznieść przepyszne miasta, okryć się szkarłatem, jedwabiem i złotem; co wśród tych bogactw i wystawy, podnosi głos poetycki, opiewając swą wielkość i chwałę! O dziwne wynalazki gienijuszu! o wielkie pomysły pierwszych z ludzi! Będziecie przedmiotem wiecznego uwielbienia i wdzięczności.

I ty, który najpierwszy wdzięcznej sztuki sprawą,
Myśli swe rymotwórczą nadałeś postawą,
A ujmując wiersz gładki w harmonijne miary,
Ucho niepojętnemiś opanował czary;
Przyjm mą cześć, boże słońca otoczony chwałą!
Dotąd me serce tylko moc kochania znało;
Niech je dziś z twego daru duch dzielny zagrzewa,
Jaki Maro z Horacym w piersi wieszcze wlewa;

Bym z ich górnym mógł pieniem, głos mieszając
słaby,
Przystroić myśli moje w uroczne powaby.
Moje rymy, dalekie od zbrodni i kary,
Ogłaszać będą błogie przyrodzenia dary:
A ja, na łonie jego szukając swobody,
Pójdę w ustroń, wyniosłe pominąwszy grody.
Tam, w harmonijném pieniu wzniosę głos do cnoty,
O ulgę i osłodę na ziemskie kłopoty:
A wnet ją zobaczymy zstępującą w chwale,
Jak uśmierza boleści, koi gorzkie żale:
I w każdej śmiertelnikom pomocna potrzebie,
Czerpa swą dzielną siłę, ku ich wsparciu, w niebie.



Do ***

Sonet.

Słodycz ci płynie z każdego wyrazu
I wdzięk za każdym zachwyca uśmiechem,
Jesteś podobną z lubego obrazu,
Do róży rannym omglonej oddechem;
Oko do ciebie lepi się do razu,
Serce do ciebie uderza z pośpiechem,
Westchnąć do ciebie jest mimo zakazu,
Dla wzdychających najpiękniejszym grzechem.
Lecz próżno wzdychać i marzyć o niebie;
Serce do raju przywiązywać ściślej,
Twoim obrazem i twoim wspomnieniem,
Spoglądam w oczy i ubóstwiam ciebie,
Jabym cię w niebo zaniósł na mej myśli,
Gdyby twe serce nie było kamieniem.

A. J. S.

Opuszczona.

POWIEŚĆ.

Na wiosnę, roku 18.., lekarze wysłali z Warszawy, Hrabiego Leona Sylfowskiego na wieś, dla wytchnienia po niebezpiecznej chorobie. Aby do zupełnego przyjść zdrowia, potrzebował pić mleko, niczém niezakłóconej używać spokojności, i strzedz się namiętnych wzruszeń. Wszystko to mógł znaleść u ciotki swojej, hrabiny Orłomieckiéj, w rozkoszném jej wiejskiém siedlisku, położoném śród żyznych niw sandomierskich. Listownie uwiadomił ją o swojem przybyciu i został przyjęty radośnie, z życzliwą serca uprzejmością, jedynie znaleść się mogącą śród samotnych mieszkańców małych miasteczek lub wiosek, dla których odwiedziny przyjaciela albo krewnego, są dniem prawdziwie uroczystym.

Towarzyskie życie ma we wszystkich znaczniejszych miastach jakoweś rodzinne do siebie podobieństwo. Leon wychował się w Warszawie, i jedynie świadomy był życia jakie w niej wiodą; zwyczaje wiejskie, zupełnie dla niego były nowemi. Podobało mu się jednak to życie wieśniacze, gdyż sam się spodobał towarzystwu, śród którego czas niejaki miał przepędzić. Zjawienie się obcej osoby śród ograniczonego grona sąsiadów, tak mile na wsi ożywia rozmowę, pozbawioną zasiłku nowych wyobrażeń i myśli. Leon prócz tego był pięknym młodzianem ze znakomitej rodziny, obyczajny, grzeczny, pełen talentów, i nic dziwnego że po przyjacielsku i zaszczytnie przyjętym został. Po kilku tygodniach jednakże, zdawało mu się że wszystkie otaczające go osoby zna już na pamięć. Nie nudziły go, nie były dla niego nieznośnemi, lecz pragnął odmiany, i jak ptak więziony w klatce wzdychał za swobodą; zdawało mu się nawet, jakoby zamiary jakieś względem niego układano.

Gdy los postawi nas w okolicznościach zmuszających do zmiany miejsca, usychamy jak roślina przesadzona na grunt sobie niewłaściwy, jeśli nie dość giętki posiadamy umysł aby się do takowej odmiany przyzwyczaić.

Leon miał przepędzić kilka miesięcy w Zielinie, dobrach swej ciotki, i zbyt młody jeszcze, byłby

się zapewne nałożył do przepędzania długich dni niezasępionych żadną troską, równie jak żadną umysłową nie ożywionych rozkoszą, gdyby kilka słów wymówionych pewnego wieczora tuż obok niego, nie uchroniły go od tego, i dziwnego na nim nie zrobiły wrażenia.

Aby to pojąć, trzeba się przeniknąć różnicą, jaka zachodzi miedzy umysłowym ruchem wielkiego miasta, coraz zmiennymi jego widokami i myślami, a jednostajną spokojnością wieśniaczego życia, cichą jego swobodą, umilknieniem wszelkich burzliwych namiętności, których dobroczynny wpływ młodości ocenić nam nie dozwala, i nawet niepowinien.

— »Czy pan byłeś wczoraj u Hrabiny Lwoskiej?" spytała podeszła matrona pana Spirskiego.

— »Dziś rano byłem u niej," odpowiedział, »prosząc aby w przyszły czwartek przyjechała do nas na obiad; ale tak jest słaba, iż zaproszenia mojego przyjąć nie mogła.

— »Zapraszałeś ją pan?" spytała znowu ze złośliwem zadziwieniem stara matrona.

— »Jest od dzieciństwa przyjaciółką mojej żony," odpowiedział pan Spirski z przelotnem pomieszaniem, »a pokrewieństwo jeszcze bardziej nakazywało mi tę grzeczność." »Mam nadzieję" dodał: »że na przyszłość częściej będziemy ją widywać u siebie."

I na te słowa spokojnie spójrzał w około siebie, a nikt z obecnych, czyhających na to, nie zdołał odgadnąć, czy się prawdziwie cieszy, że ujrzy u siebie Hrabinę, lub czy też tylko przez wzgląd na pokrewieństwo sądzi obowiązkiem zniewolić sąsiadów do podobnegoż z nią się obchodzenia.

Damy spójrzały po sobie wzajemnie, niby pytając o radę; milczały wszystkie, lecz pośród tego milczenia, zdawała się jakowaś niechęć przebijać.

— »Czy to mowa o Hrabinie Emmie Lwoskiéj, która podczas pobytu swego w Wiedniu z mężem, miała ów zbyt głośny wypadek z księciem M***?" zapytał Leon damy obok któréj siedział.

— »Tak jest," odpowiedziała, »po téj przygodzie naturalnie mąż ją porzucił; powróciwszy przeto w te strony, w naszém sąsiedztwie pustelnię sobie obrała; dotąd nikt u niéj nie bywa; sama zaś zbyt jest rozsądną, aby we właściwém świetle, swego położenia widzieć nie miała, i mogła kogo na nieprzyjemność narażać swojemi odwiedzinami. Spirski i kilku jeszcze innych panów, kazało się do niéj zameldować; jednak samego tylko Spirskiego przyjęła, gdyż dosyć blisko jest z nim spokrewniona. Przypadek jéj zbyt wiele narobił hałasu; zbyt jest gorszący, aby można udawać że się o nim nie wié, i każda z naszych dam czuje to dobrze iż niepodobna przyjąć jéj wizyty, a jeszcze mniéj odwzajemnić jéj

odwiedziny. Musi być nadzwyczaj romansową, lub bardzo ograniczoną, bo Hrabia jej małżonek jest tak doskonale światowym i tak delikatnym człowiekiem, iż długie lata mogłaby była żyć z nim w najzupełniejszej spokojności, a niktby nie miał prawa troszczyć się o to."

Leon już tych ostatnich słów nie słyszał. Pogrążył się w tysiącach najdziwniejszych myśli. Niema słów na wyrażenie niepojętego uroku, jakowy ma dla nas niespodziana awantura, w chwili gdy się wyobraźni naszej poraz pierwszy z uśmiechającym przedstawi powabem, i napełni duszę nie wyraźną jakąś pociechą, przeczuwaniem szczęścia, chociaż żaden czyn, żadne wyraźne życzenie, ułudnym tym omamieniom jaśniejszej nie nadają postaci. W takowych to chwilach często los rzuca zaród namiętności w nasze serca, w którym z całą swoją gwałtownością i siłą, spoczywają jak w ziarnku nasiennem, kwiat najpiękniejszy z całą wonią i blaskiem farb swoich.

Aż do owego wieczora nie wiedział Leon iż w tej okolicy znajduje się Hrabina Emma, którą wszystkie prawie kobiety zarówno potępiały, jak jej zazdrościły, dla tego jedynie że urok piękności i młodości usprawiedliwiał błąd, którego sam stał się przyczyną.

Każda sławność, na czém bądźkolwiek ugruntowana, ślepiącą otacza się ponętą. Blask wykroczenia, zarówno w życiu kobiety jak i życiu bohatéra, zaciera jego hańbę. Piękna i młoda kobieta tém ponętniejszą jest dla mężczyzn, gdy sława rozgłosi, że stała się ofiarą ognistej namiętności, lub zdrady godnéj pogardy; a Hrabina Emma w obu tych znajdowała się przypadkach. Im mniéj podobna kobiéta godną jest pożałowania, tém mniéj obudza współczucia. Zawsze wydajemy się wielkiemi, gdy wszystkich spójrzenia ściągamy na siebie; nie trzebaż innych przewyższać, aby od nich być widzianym? Tłum czuje zwykle pełną poszanowania bojaźń dla wszystkiego co mu się wyższém wydaje, niewymagając aby mu zdawano rachunek, jakowym sposobem wyniesiono się do téj wielkości.

I Leon, skoro usłyszał wymówione imię Hrabiny, uczuł się owładnięty ową tajemniczą potęgą sławy. Mieszała się z tém uczuciem ciekawość i potrzeba ożywienia jakowémkolwiek zajęciem, nudnéj jednostajności teraźniejszego jego sposobu życia. Słowem, połączyło się dla niego mnóstwo owych drobnych podniet, które osobno, nic całkiem nie stanowią, lecz wzięte razem, utworzyć mogą nierozerwalną przędzę naszego życia. Obraz Hrabiny ukazywał mu się z całym powabem nowego świata, który odkryć się spodziewamy. Będąc tak blisko niéj, zby-

wać mu nie będzie sposobności do obawy i nadziei, do walki i zwycięztwa. Musi uderzającą tworzyć sprzeczność z wiejskiemi panienkami, z któremi od kilku tygodni wyłącznie przebywał. Cały wieczór był roztargniony, i przemyślał jedynie, jakim sposobem zdoła sobie wstęp do Hrabiny otworzyć. Słynęła rozsądkiem i dowcipem, i nie łatwo pewno było ją podejść jakowym oryginalnym, delikatnym podstępem; dowcipni ludzie wymagają bardzo wiele i zgadują wszystko, i dla tego właśnie trudniej z niemi trafić do celu. Hrabina do względów jakowe wkładały na nią nazwisko i stopień, zdawała się jeszcze łączyć dumę, którą przykre jej położenie jako obowiązek nakazywało, a samotność w której żyła, bardziej nieprzebytą może jeszcze stawiała zaporę z własnej jej woli, niżeli wszystkie co ją od świata dzieliły. Jakże on, nieznajomy, zdoła sobie przystęp do niej wyjednać?

Następnego poranku, dom w którym mieszkała, stał się celem jego przechadzki; pokilkakrotnie obszedł ogród, śród którego był położony. Badawczym wzrokiem wszystkiemu się przyglądał; długo stał przed oknami, u których firanki były zapuszczone, i w otwarte ciekawie spozierał. Młoda i żywa jego wyobraźnia, niewątpliwą prawie czyniła mu nadzieję, że przypadek na pomoc mu przyjdzie, i ułatwi znajomość z Hrabiną.

Lecz przechadzki te przez kilka dni żadnym nie zostały uwieńczone skutkiem. Obraz jednakże tej kobiety, całkiem odłączonej od świata, w najgłębszej zagrzebanej samotności, coraz to jaśniej oczom się jego zjawiał, i coraz większą potęgę wywierał nad ognistą jego wyobraźnią. Serce biło mu gwałtowniej, gdy krążąc w około ogrodowego muru, zachwycił choć ciężkie stąpanie ogrodnika, zamiast lekkiego jej chodu.

Przyszło mu wprawdzie na myśl pisać do niej; lecz cóż miał powiedzieć kobiecie, która go nieznała i której nigdy nie widział? Z resztą niedowierzał sam sobie, i podobnież jak wszyscy młodzi ludzie, których serce karmi się jeszcze ideałem miłości, lękał się najbardziej, że milczeniem pogardy śmiały krok jego odpłaci. Drżał na samą myśl, iż miłośny list jego z niedbałą obojętnością w ogień może być wrzucony. Tysiąc pomysłów natychmiast odrzuconych snuło mu się po głowie. Setne potworzywszy romanse, setne namarzywszy sposoby przedstawienia się niewidzialnej piękności, wpadł nakoniec na myśl najprostszą, pocieszającą go przynajmniej, że jej miłość swoję objawi.

Towarzyskie nasze obyczaje, większy niekiedy przedział kładą między dwiema osobami, niżeli stróże i mury wschodnich haremów; sama nawet rozbujała wyobraźnia pisarzy powieści bajecznych, nie

stawia tyle trudności, ile ich kładą niekiedy rzeczywiste przeszkody teraźniejszego społeczeństwa.

Gdy Aladyn zakochał się w córce Kalifa, nie większe zapewne przedzielały go od niej trudności, jak Leona Sylfowskiego w Zielinie, od Hrabiny Emmy Lwoskiej, mieszkającej z tamtąd o godzinę tylko drogi. Niedomyślała się nawet ile starań łożył młodzieniec aby ją zobaczyć; żądza jego tymczasem coraz mocniej zapalała się nagromadzonemi przeszkody, a niewidzialność uczyniła ją dla niego prawie bóstwem.

Ufając swemu natchnieniu, wierzył, że byle tylko mógł ją widzieć, wszystkiego spodziewać się może po prawdziwem uczuciu. z oczu, jego jaśniejącem. Słowa zdawały mu się daleko wymówniejsze niż list najnamiętniejszy. Budował prócz tego nadzieję na ciekawości wrodzonej kobietom. Tą nadzieją ożywiony poszedł do Spirskiego, zamyślając go użyć do uskutecznienia swojego zamiaru.

Zwierzył się więc jemu pod pieczęcią tajemnicy, że ma zarazem delikatne i ważne zlecenie do Hrabiny Lwoskiej. Lecz nie wiedząc czy czyta listy nieznajomą ręką pisane, lub czy zechce obcego ufnością swoją zaszczycić, upraszał go aby raczył jej spytać przy pierwszej zdarzonej sposobności, czy mu pozwoli osobiście złożyć swoje uszanowanie. Prosząc Spirskiego o tajemnicę, skłonił go zarazem ażeby

przedstawił Hrabinie powody, dozwalające jej przyjąć jego odwiedziny. Nie byłże człowiekiem honorowym, prawym, nie zdolnym żadnej nieprzyzwoitości uczynić?

Dumny szlachcic, którego próżności Leon umiał bez poniżenia się pochlébić, ani się domyślił tego przebiegłego podstępu miłości. Chciał jednak zgłębić tajemnicę Leona; lecz młodzieniec tak zręcznie umiał badań jego uniknąć, iż oszukany starzec pochwaliwszy jego delikatność, przyobiecał mu wszelkiego dołożyć starania, aby życzeniu jego zadosyć uczynić.

Tego jeszcze samego dnia przeto pobiegł do Hrabiny, z owym pośpiechem, z jakim zwykle starzy ludzie lubią czynić przysługi ładnym kobiétom.

W położeniu Emmy, podobne poselstwo mile ją zajęło. A chociaż wszystkich na pomoc wezwawszy wspomnień, nie widziała jakowy by powód mógł Leona skłaniać do tych odwiedzin, nie postrzegała jednakże żadnej nieprzyzwoitości wprzyjęciu go do swego domu, wypytawszy wprzód Spirskiego, o jego charakter, i położenie jakie w świecie zajmował.

Odmówiła wprawdzie zrazu, starając się wybadać ze Spirskiego czy znał powód owych odwiedzin. Przymuszone jego milczenie, rozjątrzyło jej ciekawość. Spirski, nie chcąc się wydać śmiesznym, utrzymywał jako człowiek wiedzący dobrze

o wszystkiém, lecz pragnący dochować przyjacielowi tajemnicy, że Emma doskonale zna przedmiot tych odwiedzin, chociaż się pozornie zapiera. Hrabina usiłowała wynaleźć jakowy związek pomiędzy znanemi jéj osobami a Leonem, i gubiąc się w najdziwaczniejszych domysłach, pytała sama siebie czy kiedy widziała Pana Sylfowskiego.

Najprawdziwszy list miłośny i najzręczniéj napisany, nigdy podobnego nie uczyniłby skutku, jak owa zagadka, któréj rozwiązania na próżno szukała.

Skoro Leon dowiedział się, iż ma ujrzeć Hrabinę, nieposiadał się z radości iż tak prędko pozyskał szczęście najmocniéj upragnione; lecz dziwnie był razem zakłopotany, jakie rozwiązanie nada swojemu podstępowi.

— Widzieć ją, — powtarzał ubierając się, — byle ją tylko widzieć, już dosyć mi na tém!

Miał nadzieję, że skoro tylko przestąpi próg Hrabiny, łatwo znajdzie sposób rozwikłania węzła gordyjskiego, który sam zaplątał, należał bowiem do owych ludzi, którzy wierząc w potęgę konieczności, nie zatrzymują się w swym biegu, pewni, że w chwili niebezpieczeństwa, samo to niebezpieczeństwo natchnie ich siłą do jego zwalczenia.

Ubrał się z niezwykłą starannością. Podobnie jak wszyscy młodzieńcy, wyobrażał sobie, iż dobrze lub źle ułożone włosy, pięknie lub niezgrabnie

związana chustka na szyi, stanowić mają powodzenie, i nie wiedział że młodość sama już w sobie wszystkie wdzięki i powaby połącza. I tego niewiedział, że takie kobiety, jak Emma, jedynie ponętą dowcipu i wyzszością charakteru zniewolić się dadzą. Wielki charakter, wielką im obiecuje namiętność; pochlebia ich prożności i odpowiada wymaganiom ich serca. Dowcip je bawi, i mniemają że są nawzajem zrozumiane. I czegoż chcą wszystkie kobiety? Być bawione, zrozumiane lub uwielbiane!

Trzeba się dobrze zastanowić nad życiem i stosunkami towarzyskiemi, aby pojąć do wysokiego stopnia posunioną wabność, która przy pierwszem widzeniu zdaje się niedbać o to aby uczynić wrażenie. Gdy Leon nie ufając swemu dowcipowi, starał się strojem złudzenie zastąpić, i Emma także starranniej ubrała się jak zwykle, a rzucając ostatnie spójrzenie na zwierciadło, pomyślała; nie wydam mu się przecież za bardzo brzydką.

Leon posiadał w osobie, umyśle i ułożeniu coś naiwnie oryginalnego, co nadając wdzięk najmniejszym poruszeniom, najpospolitszym myślom, dozwalało mu wszystko powiedzieć, gdyż wszystko z łatwością mu wybaczano.

Był światły, przenikliwy, a szczęśliwy twarzy jego wyraz, zarówno ruchomy jak dusza prędko

wszelkie przyjmująca wrażenia. W oczach jego namiętna tlała czułość, ktorą najwyśmienitsze nie zawodziło serce. Wszedłszy do domu Hrabiny powziął postanowienie zgodne ze szczérym jego charakterem, i ognistą wyobraźnią. Jednakże pomimo śmiałości którą go miłość natchnęła, uczuł gwałtowne bicie serca. gdy przebywszy dziedziniec urządzony w guście angielskiego ogrodu, wszedł do sali, a lokaj spytawszy go o nazwisko, zniknął, i wkrótce wrócił aby go wprowadzić.

Wszedł zwolna, lecz z dobrem ułożeniem; a daleko jest trudniéj wejść do salonu, gdzie tylko jedna znajduje się kobieta, niż tam gdzie ich więcéj jak dwadzieścia razem zgromadzonych.

Hrabina siedziała na sofie i czytała książkę, za wejściem jego, chciała ją na obok stojącym stoliku położyć, lecz ta upadła na ziemię. Bynajmniéj tym wypadkiem nie zdziwiona, podniosła się nieco na powitanie młodzieńca, lecz tak nieznacznie iż wcale niepowstała z sofy. Schyliła się potém aby podnieść książkę i z nią razem upuszczoną rękawiczkę; włożyła ją niedbale na lewą rękę, a prawą, białą, niemal przezroczystą, nie ozdobioną ani jednym pierścieniem wskazała krzesło, zapraszając Leona tém milczącém skinieniem aby usiadł.

Gdy Leon zabrał wskazane miejsce, podniosła ku niemu głowę z zapytującém poruszeniem. Żaden

malarz nie zdołałby oddać jego uroku; byłto wdzięk, który jedynie wyborne wychowanie i nawyknienie do najlepszego tonu mogą nadać kobiecie.

Leon prawie oczarowany został tém połączeniem uprzejmości i godności, które w przyjęciu jego piękna Hrabina, tak dobrze pojednać umiała. Zbyt wielką stawiała sprzeczność z kobiétami, z któremi zmuszony był żyć od dwóch miesięcy, aby nie uiściła wszystkich jego poetycznych marzeń: niemógł jéj porównać z żadną inną kobiétą które dotąd widział. W obec pięknej Hrabiny, w salonie umeblowanym jak najprzepyszniejsze warszawskie pokoje, pełnym bogatych i wyszukanych drobnostek, porozrzucanych po stołach, książek, kwiatów, zdało mu się że znowu jest w stolicy. Deptał prawdziwy perski kobierzec, lubemi oddychał woniami, widział przed sobą wzór wdzięków i godności prawdziwie światowéj kobiety, nie starającéj się bynajmniéj przypodobać wymuszonością, zwykłą cechą parafianek, a na któréj tak wiele tracą.

Hrabina Emma miała jasne włosy, i tak była biała, jak tylko blondynka być może; lecz ciemno-błękitne oczy blaskiem uroczym blada jéj twarz ożywiały. Na szlachetném jéj czole jaśniała duma upadłego archanioła. Gęste jak atłas śklniące włosy, w szeroki zaplecione warkocz i gładko spadające na skronie, podwyższały wspaniały wyraz jéj

głowy; zoczu jaśniała odwaga, silna na odepchnięcie pogardy i zbytniej śmiałości, i zarazem tkliwa współczułość na wszelkie łagodne uczucia. Rysy jej, ułożenie, spójrzenie i uśmiech, tchnęły wyrazem gorzkiej ironii, który tak łatwo było jej przebaczyć, wspomniawszy na jej nieszczęścia, na miłość którą o mało życiem nie przypłaciła, której poświęciła swoje szczęście i świetne położenie. Bolesną tę ofiarę poświadczały jedynie niekiedy zmarszczki, szybko i ulotnie nagromadzające się na jej pięknem czole, lub rozdzierająca wymowa pięknych oczu, często ku niebu wzniesionych.

A jej historya? — Była najpospolitszą ze wszystkich na świecie; tysiące kobiet podobne przeżyły wypadki, i tysiące jeszcze przeżyć je są przeznaczone.

W szesnastym roku życia wydano ją za Hrabię Lwoskiego. Dzień jej ślubu był jasnym, pogodnym dniem wiośnianym; lecz niebo nie było bardziej czystém, żadną chmurką niezasępionem jak niewinne jej serce. Niepokalana jej dusza Bogu i małżonkowi zarówno wiarę zaprzysięgła. Jeszcze nie ściągnęła na siebie oczu żadnego innego mężczyzny. Jeszcze żadne pochlebstwo nie uwiadomiło ją jakową cenę sama sobie nadawać powinna. Z dziecinną radością czuła się szczęśliwa, serce i życie poświęcić na zawsze ukochanemu małżonkowi, który

wobec boskich i ludzkich praw, zaprzysiągł nawzajem miłością i wiernością ją uszczęśliwić.

Niezadługo potém przekonała się o niestałości i niewierności męża swojego. Nie przyszło wszakże pomiędzy małżonkami do żadnych objaśnień. Długi jednak czas upłynął, nim Emma pojąć zdołała, że miłość była dla jéj męża, równie jak dla wielu innych, igraszką tylko, i więcéj dla nich nieposiadała wartości, co piękny wierzchowiec lub obiad wyśmienity. Późniéj dopiéro poznała, iż sympatyczny pociąg serc, nierozerwalny dusz związek, o których niegdyś tak słodko marzyła, w krainie tylko ideałów istnieją, i że kobieta chcąc zapewnić sobie miłość mężczyzny, powinna go umieć zręcznie przywabiać, i nie zrażając całkiem, nigdy jednak zupełnie życzeń jego niezaspakajać.

Już roli takowéj z mężem grać nie mogła, — ale czyż innym niepodoba się mężczyznom? — Zwolna, zaspokojenie próżności, stało się jedynym powabem jéj życia. Pragnęła podbijać, podobać się, świetnieć; ale nigdy nie kochać.

Przyszedł nakoniec dzień, w którym sama przed sobą wyznać musiała, że mąż stał się dla niéj tak zupełnie obojętnym jak wszelki inny mężczyzna. To przekonanie ogarnęło jéj serce w dzień ośmnastych urodzin.

Uchodziła za najpiękniejszą kobietę w całej Warszawie. Żadna potęga na ziemi nie może się porównać z potęgą młodej i pięknej kobiety. Owe nagłe, gwałtowne wrażenie, owe niepojęte, jak piorun szybkie natchnienie, które gieniusz poety, wojownika, krasomówcy lub aktora w tysiącach serc obudza, widok pięknej kobiety, jeszcze prędzej niż wszystkie te gieniusze obudzić jest zdolny. Piękność jedném spójrzeniem zwalcza najnieugiętszych, i jednym wyrazem kajdany na nich wkłada.

Lecz i dla Emmy przyszła chwila, w której żaden tryumf próżności nie mógł ją zaspokoić. Zbyt jeszcze nieświadoma była wybiegów zalotności; bo kobieta wtedy dopiero w całej zupełności je poznaje, gdy ma kochanka. Wówczas to dopiero pozna świat i ludzi; wówczas to dopiero wie, jak daleko zajść może, aby podług upodobania cofnąć się bez straty. Emma nie zaszła jeszcze tak daleko; uśmiechała się niekiedy wprawdzie nieco zalotniej, niż zamężnej przystoi kobiecie, płomiennem niekiedy błysnęła spójrzeniem, ale na tém ograniczała się cała jej wabność.

Żadna jednak kobieta niepowinna ufać, że jej się uda, skoro raz wstąpi na tę ścieszkę, nigdy nie przestąpić granic, tak nazwanej niewinnej kokieteryi. W moralnem, równie jak w fizycznem naszem istnieniu, stan zupełnego spoczynku jest niepodo-

bnym, trzeba koniecznie iść dalej drogą, na którą się raz weszło. Z razu, piękna, młoda kobieta, pragnie tylko aby na nią zważano; pojmuje że to zależy od zachęcającego spojrzenia, uśmiechu, i obojga nie szczędzi. Zaczynają ją otaczać i hołdy jej składać; wówczas, jeśli ma jakowe zasady, zaczyna wbrew im postępować; wydaje się lekkomyślniejszą niżeli jest w istocie; ale tylko gapie dają się oszukać; doświadczeni mężczyzni łatwo poznają, że jest daleko cnotliwszą niżeli się wydaje; a w naszym wieku mężczyzni posiadają zbyt wiele krwi zimnej, zbyt są leniwi; aby mieli długo ubiegać się o kobietę, i ze wszelkiemi prawidłami przypuszczać oblężenie.

Emma zaczęła się nudzić. W pierwszych latach życzyła jedynie, aby jej hołdy składano; teraz, chciałaby być kochaną! Cierpienie i rozwaga odczarowały w jej oczach stan małżeński, lecz wierzyła jeszcze w miłość. Ukochany był dla niej pomysłową istotą, wszystkiem; jemu każde swoje uczucie, każde uderzenie serca poświęcić pragnęła; marzyła jeszcze o czystej, świętej, niezmiennej miłości.

Okrucieństwem jest zaprzeczać kobiecie, której małżonek złamał przysięgę, i od wszelkich uwolnił się związków, przynajmniej prawa rozrządzania własnem sercem. Czuje że nic już mężowi nie jest win-

ną, i tylko obowiązki swe pełnić musi przez wzgląd na Boga, towarzystwo i samą siebie; lecz wolność spójrzeń i myśli mniema być swoją własnością. Mogę być wolną, mówi sama sobie, jak w chwili śmierci, gdy dusza moja do nieba się wzniesie! Tak też i Emma myślała. Nakoniec i w jéj sercu powstało życzenie, w sercu, które samo siebie zgadywać jeszcze nie umiało, poświęcić się całkiem czystéj, nieskażonéj, niezmiennéj miłości.

Prawie wszystkie kobiéty, te nawet co wyższego nie odebrały wychowania, szlachetnie myślą o miłości, dopóki zdrada kochanka nie oczerni jéj w ich oczach. Prawie wszystkie kobiéty, zdolne są poświęcić się dla ukochanego przedmiotu, i z bohaterską wytrwałością wszystko cierpliwie znosić; miłość rozwija w nich najszlachetniejsze uczucia. Potrzebują kochanka, aby mogły cierpieć, wybaczyć i zapomnieć. Serce kobiéty zawsze więcéj dać jest gotowe, niżeli mężczyzna wymaga, i prawie każden z nich, lęka się bardziéj być kochanym, niżeli pragnie.

Emma pojechała z mężem do Wiednia i tam poznała Księcia M**. Sądziła się być od niego tak prawdziwie, tak szlachetnie, tak niewypowiedzianie kochaną, iż całą duszę mu oddając, mniemała się tylko z długu wypłacać.

Zdawało się jej, że duszę swą oczyści w płomieniach miłości, z płochego światowego życia, które od kilku lat wiodła, a które tylu wrodzonych bogactw serce jej pozbawiło. Zdawało się jej że samo niebo ją powołuje kochać i być kochaną, i posłuszną stała się temu wezwaniu. Wola ukochanego, wolą się jej stała; żyła powietrzem, którym dotąd jeszcze nigdy nie oddychała, całe jej istnienie nową przybrało postać; żyła, myślała, mówiła, działała, ożywiona wszechwładną mocą, której nierozkazywać, lecz tylko posłuszną być mogła.

Nierozważnie na jaw miłość swoję wykryła. Bale, teatra, wieczory widownią były romansu, i publiczność prędzej niż ona sama o jej tajemnicy się dowiedziała. Nie zbyt wysoko ceniła sama siebie, mniemając, że zajmuje pierwsze miejsce w społeczeństwie, pod względem urodzenia, bogactwa, piękności i dobrej sławy. Sądziła że Książe M** powinien miłość jej uważać za tak wielkie uszczęśliwienie, jak gdyby wielki los wygrał na loteryi. Niewiedziała iż każda kobieta powinna być na to przysposobioną, czekać od mężczyzny przebaczenia, za błąd do którego sam ją wciągnął.

Emma wielu rzeczy musiała się nauczyć! Została zdradziecko zwiedzioną i opuszczoną. Czyn ten i jego wykonanie tak było podłem, iż je śmiało niezwyczajnem nazwać można.

Nieczynił że wrażenia, na czułém i szlachetném sercu, widok kobiety w ogromnym salonie, owéj kobiety oddzielonéj od świata całego, od trzech lat żyjącéj najsamotniéj, jedynie ze wspomnieniem swojéj młodości, świetnéj, szczęśliwéj, namiętnéj, zapełnionéj niegdyś zabawami, ciągłemi hołdy, a teraz wydanéj na całą okropność nicości. Uśmiech jéj zwiastował wysokie uczucie wartości własnéj. Nie będąc ani matką, ani żoną, odepchnięta przez społeczność; pozbawiona jedynego serca, które bez wstydu mogło bicie jéj serca obudzić; niewyczerpując w żadném uczuciu potrzebnéj pomocy zachwianéj jéj duszy, na własnéj jedynie polegać musiała sile, własném żyć życiem, i innéj nie mieć nadziei, prócz téj, która każdéj opuszczonéj pozostaje kobiecie, to jest: oczekiwać śmierci i starać się przyśpieszyć jéj przybycie, mimo pięknych dni co jéj jeszcze do przeżycia pozostawały! Czuć się przeznaczoną do szczęścia, i umierać nie otrzymawszy, nie udzieliwszy go nikomu! Dla kobiety, co za los! co za boleść!

Leon z szybkością błyskawicy uczynił te uwagi, i uczuł się niezmiernie zawstydzonym, w obec największéj poezyi, jaką kobieta otoczyć się może. Zaślepiony potrójnym blaskiem piękności, nieszczęścia i szlachetnego rodu, cały pogrążony w uwielbieniu, ani jednego nie znajdował wyrazu.

Hrabina, któréj zapewne nie mogło się niepodobać to podziwienie, z łagodnym odezwała się uśmiechem.

— Pan Spirski uwiadomił mię, że Pan byłeś tak łaskaw przyjąć na siebie jakieś do mnie zlecenie. Byłożby to od....

Usłyszawszy te okrótne słowa, Leon uczuł jeszcze bardziéj całą śmieszność swego położenia, całą nieuczciwość swego postępku względem tak nieszczęśliwéj niewiasty. Zapłonił się. Mgła powlekła jego spójrzenie tysiącem nacechowane myśli. Lecz nagle owa siła, którą młode serca z własnéj umieją wyczerpać winy, śmiałości mu dodała, i przerywając Emmie z uniżonością, wzruszonym odpowiedział głosem:

— Pani, nie zasłużyłem na szczęście oglądania ciebie. Niegodnie cię zwiodłem. Uczucie któremu uległem, chociażby najmocniejszém było, nie może służyć za wymówkę nędznego podstępu, którego użyłem na zbliżenie się do ciebie. Lecz jeśli Pani będziesz tak łaskawa i pozwolisz sobie powiedzieć.....

Hrabina rzuciła na Leona wyniosłe i pogardliwe spójrzenie, podniosła rękę do taśmy od dzwonka, zadzwoniła, a gdy wszedł służący, rzekła spoglądając z powagą na młodzieńca:

— Janie, poświeć Panu!

Potém powstała dumnie i skłoniła się Leonowi. Poruszenia jéj były teraz równie oschłe i zimne, jak te z któremi go przyjęła uprzejmie i wdzięczne.

Leon podniósł się; lecz stał. Hrabina rzuciła znowu na niego spójrzenie, jak gdyby chcąc mówić:

— Jakto, nie odchodzisz Pan!

Spojrzenie to nacechowane było tak przenikliwém szyderstwém, iż Leon zbladł, jak gdyby był blizki zemdlenia. Łzy zakręciły się w jego oczach; lecz je osuszył ogniem wstydu i rozpaczy; spójrzał dumnie na Hrabinę, a spójrzenie to wyrażało zarazem uległość i pewne uczucie własnéj wartości, Emma miała prawo ukarać go, lecz powinnaż to była uczynić? Potém wyszedł.

Gdy przebywał przedpokój dowcip jego przenikliwy, bardziéj jeszcze namiętnością zaostrzony, dozwolił mu pojąć całe niebezpieczeństwo obecnego położenia.

— Jeśli teraz dom ten opuszczę, — rzekł sam do siebie, — nigdy tu nie będę mógł powrócić. Na zawsze pozostanę głupcem w oczach Hrabiny. Nie podobna ażeby kobieta, — a ona jest kobietą! — nie odgadła miłości którą wzniecıła. Może mimowolnie żałuje, że mnie tak raptownie odprawiła. Lecz niepowinna, nie może odwołać swego wyroku: do mnie zrozumieć ją należy.

Na tę uwagę, Leon zatrzymał się na kurytarzu, wykrzyknął, śpiesznie się nazad odwrócił i rzekł:

— Ach! jeszczem coś zapomniał!

Służący nie domyślił się niczego i zupełnie został oszukany, gdyż młody hrabia wymówił te słowa z tak niewinną naiwnością.

Leon wszedł ścicha, niezameldowany. Hrabina sądząc pewnie, że to służący, zwolna podniosła głowę, i ujrzała znowu przed sobą Leona.

Emma uczuła gniew swój rozbrojony.

— Siądź Pan — rzekła.

Leon z pośpiechem pochwycił krzesło. Oczy jego ożywione szczęśliwością, tak mocny blask rzucały, iż Hrabina nie mogąc wytrzymać tego młodzieńczego spójrzenia, spuściła oczy na książkę, pojąc się w cichości roskoszą, że jeszcze ona jest dla kogoś źrżódłem szczęścia, bo uczucie to nigdy zaginąć nie może w kobiécie. Prócz tego myśli jéj odgadł. Kobiéta tak wdzięczną jest mężczyznie, gdy umie odgadnąć dziwaczną logikę jéj serca, pojąć jéj myśli tak na pozór sprzeczne, przelotną wstydliwość jéj uczuć, raz lękliwych, czasem zbyt śmiałych: niepojętego połączenia wabności i prostoty!

— Pani, znasz teraz moje przewinienie — łagodnie zawołał Leon, — lecz jeszcze zbrodni mojéj nie znasz. Gdybyś wiedziała z jakowém uszczęśliwieniem, z jakowém uczuciem....

— Strzeż się Pan, — przerwała grożąc mu palcem z tajemniczą miną; potém drugą rękę podniosła jakgdyby chcąc pochwycić za taśmę od dzwonka.

To poruszenie, ta powabna groźba, smutne zapewne przypomniały jéj myśli, obudziły wspomnienie szczęśliwych chwil jéj życia, kiedy wolno jéj było otaczać się urokiem i zalotnością, kiedy szczęście usprawiedliwiało jéj dziwactwa, równie jak dodawało niewysłowionego wdzięku najmniéjszemu jéj poruszeniu. Zmarszczyła brwi; twarz jéj mile oświecona łagodnym blaskiem lampy, ponury przybrała wyraz; spójrzała na Leona z powagą, lecz bez oziębłości, a potém rzekła jak gdyby głęboko przenikniona znaczeniem swych wyrazów:

— Jak to wszystko jest śmieszne! Był czas, gdy mi wolno było być pustą i wesołą; w którym mogłabym się była śmiać i przyjąć Pana bez najmniéjszéj obawy; lecz dzisiaj, bardzo zmieniło się moje życie. Nie jestem już panią moich czynów, i nad każdym zastanowić się muszę. Jakiemuż uczuciu winnam jego odwiedziny? Czy ciekawości? Wrazie takowym z byt drogo opłacam znikomą chwilę szczęścia. Czyż byś już miał kochać *namiętnie*, kobietę osławioną, i któréj nigdy jeszcze nie widziałeś? Uczucie takowe mogłoby się tylko gruntować na braku szacunku, spowodowanym winą, któréj przypadek złéj sławy użyczył.

I z niechęcią rzuciła książkę na stolik.

— Jakto! — odezwała się znowu, groźne spójrzenie rzucając na Leona, dla tego że raz byłam słabą, świat ma pragnąć abym nią była zawsze. To okropnie, to poniża! Czy przychodzisz litować się nademną? zbyt jesteś młody abyś mógł ze współczułością podzielać cierpienia serca. Dowiedz się Pan! że przekładam pogardę nad litość, i nigdy nie zniosę niczyjego politowania!

Nastąpiła chwila milczenia.

— Widzisz Pan, — rzekła znowu, wznosząc ku niemu głowę ze smutném i łagodném poruszeniem, — że jakiekolwiek uczucie spowodowało go płocho zakłócić moję samotność, przykrość mi sprawiasz i obrażasz mnie. Zbyt jesteś młody abyś miał całkiem dobroci być pozbawionym, uczujesz więc nieprzyzwoitość swojego postępku. Wybaczam go Panu, i teraz mówię o nim bez najmniejszéj goryczy. Wszak tu już więcéj niepowrócisz nieprawdasz.? Proszę cię kiedybym mogła rozkazywać. Gdybyś mnie jeszcze raz odwiedził, ani w twojéj, ani w mojéj niebyłoby mocy, zabronić mniemać całemu sąsiedztwu, że zostałeś moim kochankiem, i do wszystkich moich zmartwień wielkie byś jeszcze dodał zmartwienie. A nie mniemam, ażeby to chęcią jego było.

Umilkła, i spójrzała na niego z tak prawdziwą godnością, iż uczuł się pomięszany.

— Zbłądziłem, pani, — przeniknionym odpowiedział głosem; lecz zapał, nierozwaga, ognista potrzeba szczęścia, są w moim wieku zarówno przymiotem jak wadą. Teraz czuję, że niepowinienem był starać się poznać ciebie pani, a jednakże życzenie moje tak było naturalném.....

Wówczas, z większém uczuciem niż dowcipem, zaczął opowiadać wszystkie cierpienia na które skazywało go konieczne wygnanie. Odmalował stan duszy młodzieńca, trawiącej się ogniem bez żadnego żywiołu, dając uczuć że był godzien być tkliwie kochanym, a jednak nieznał jeszcze rozkoszy kochania młodéj, pięknéj, pełnéj gustu i delikatności kobiety. Wytłumaczył uchybienie swoje przeciwko przyzwoitości,lecz nieusprawiedliwiał się z niego. Pochlebił Emmie, dowodząc: że urzeczywistniła dla niego wzór kochanki, któréj każdy prawie młodzieniec bezprzestannie lecz napróżno szuka. Potém mówiąc o swych rannych przechadzkach w około jéj mieszkania,i dziwacznych pomysłach, tworzonych na widok domu, do którego wreście dokazał wstęp sobie otworzyć, obudził w sercu Hrabiny owe niewyczerpane pobłażanie, jakowe kobiéta zawsze znajduje w swojém sercu, dla szaleństw których sama była przedmiotem. Słowem, ożywił zimną tę sa-

motnię namiętnym głosem, ognistemi natchnieniami młodzieńczego wieku, i wdziękami dowcipu wykrywającemi staranne wychowanie.

Emma zanadto długo pozbawioną była wzruszeń, jakie sprawują prawdziwe uczucia delikatnie wyrazone, aby żywo nie uczuć téj rozkoszy. Nie mogła przemódz na sobie, aby się nie przypatrzyć pełnéj wyrazu twarzy Leona, i nie unosić się nad owém pięknem zaufaniem duszy, niezranionéj jeszcze okrutnemi doświadczeniami życia, ani dręczonéj wiekuistą rachubą dumy i próżności. Leon był młodzieńcem w samym jeszcze kwiecie, okazywał się jako człowiek z charakterem, a jednak nie czuł wysokiéj swojéj wartości, ani świetnego powołania.

Tak niebezpieczne dla swéj spokojności uwagi czynili obustronnie, starając się ukryć je wzajemnie przed sobą.

Leon poznawał w Hrabinie jednę z owych rzadkich kobiet, co zwykle stają się ofiarą własnych doskonałości i czułości niewyczerpanéj, ktorych urocza piękność najmniejszym jest wdziękiem, gdy raz dozwoliły miłości przystępu do swéj duszy, gdzie uczucia są nieskończone, gdzie wszystko jest dobrem, gdzie instynkt pięknoty połącza się z najbardziéj urozmaiconemi miłości wyrażeniami, duszy która oczyszcza i uświęca miłość. Bo miłość ma tajemnice dla kobiet, których żaden mężczyzna pojąć nie

zdoła, niebo przeznaczyło je wyłącznie na jej kapłanki.

Emma także, słuchając prawdziwych, szczerych wyrazów, któremi Leon malował nieszczęścia swojej młodości, widziała w nim uosobiony pomysłowy twór marzeń kobiety: młodzieńca, którego nieskażone serce nie znało dotąd samolubstwa rodowitości i majątku; wolne jeszcze od osobistego interesu, który w późniejszym wieku, najszlachetniejsze uczucia, honor, wierność, poświęcenie, wyrzeczenie samego siebie, płonnemi tylko czyni mary.

Raz zapuściwszy się w obszerny przestwór uczucia, bardzo daleko zaszli w teoryi, zgłębili nawzajem tajniki dusz swoich, starannie wybadali prawdę swych wyrażeń. To badanie mimowolne ze strony Leona, było naprzód ze strony Hrabiny przewidzianem. Zażywając wrodzonej lub nabytej przebiegłości swojej, wyrażała, sama sobie bynajmniej nieszkodząc, zdania zupełnie przeciwne swemu sposobowi myślenia, aby poznać sposób myślenia Leona. Tak była dowcipną, tak powabną, iż uniesiony Leon mimowolnie zawołał:

— »Ach! Pani! jakże się znalazł człowiek co cię mógł opuścić!"

Zamilkła Emma. Leon zapłonił się: sądził że ją obraził. Lecz Emma zdziwiona tylko była pierwszą głęboką i prawdziwą rozkoszą, jakiej od dnia

swego nieszczęścia doznała. Najprzebieglejszy uwodziciel, z całą swoją sztuką niebyłby tak nagłego uczynił postępu, jaki Leon winien był temu wykrzyknieniu co się wydarło z głębi jego serca. Ten sąd pochodzący z naiwności młodzieńca, wracał jej we własnych oczach niewinność, potępiał świat, oskarżał tego co ją opuścił, i usprawiedliwiał samotność w której się zagrzebała. Przebaczenie świata, tkliwe współczucia, tak mocno upragniony i tak srodze odmówiony szacunek społeczeństwa, słowem najtajniejsze jéj życzenia spełnione zostały tém wykrzyknieniem, upięknioném jeszcze lubem pochlebstwem serca i owem podziwieniem, którego kobiéty zawsze tak są chciwe. Była nakoniec poznaną, zrozumianą! Leon podawał jéj sposobność podwyższenia się ze swego upadku.

Spójrzała na zegar.

— Ach! Pani, — krzyknął Leon, — nie karz mię za moję płochość i nieuwagę! Jeśli tylko jednym chcesz mnie udarować wieczorem, racz przynajmniéj nie skracać go!

Uśmiechnęła się.

— Lecz, — rzekła, — kiedy się więcej widzieć nie mamy, cóż znaczy jedna chwila więcéj lub mniéj. Gdybym ci się podobała, byłoby to nieszczęściem.

— Stało się już to nieszczęście, — smutnie odpowiedział.

— Nie mów mi tego, — rzekła poważnie. — W każdem innem położeniu, z przyjemnością bym Pana przyjmowała. Chcę z Panem pomówić bez żadnej ogródki, pojmiesz dla czego nie chcę, dla czego nie mogę cię przyjmować. Wierzę że masz zbyt wzniosłą duszę abyś nie uczuł, że gdyby tylko posądzano mnie żem powtórnie zbłądziła, stałabym się dla wszystkich godną pogardy i pospolitą kobietą, byłabym podobną do innych kobiet. Życie czyste i bez skazy zdoła jedynie wykryć mój charakter. Zbyt jestem dumna abym nie miała pozostać śród społeczeństwa wyłączną, oddzielną istotą, ofiarą praw przez mój związek, ofiarą ludzi przez miłość moję. Gdybym nie pozostała wierną memu położeniu, zasłużyłabym na naganę którą mnie obarczają, własny utraciłabym szacunek. Nie posiadałam zbyt wysokiej towarzyskiej cnoty, chęci należenia do człowieka któregom nie kochała, i pomimo praw zerwałam związek małżeński: był to błąd, zbrodnia, co się tylko Panu podoba. Dla mnie stan ten równał się ze śmiercią: chciałam żyć. Gdybym była matką możebym znalazła dosyć siły na zniesienie męczarni związku nakazanego przyzwoitością. W ośmnastym roku życia, niewiemy, biedne istoty, co nam czynić każą. Uchybiłam przeciwko światu, świat mnie ukarał. Obojeśmy sprawiedliwie postąpili. Nie jest że to prawem natu-

ry, wrodzoném w nas uczuciem, żeśmy do szczęścia stworzeni? Byłam młodą, byłam piękną... Napotkałam mężczyznę który zarówno wydawał mi się godnym kochania, jak mnie kochał namiętnie. — Byłam też mocno kochaną przez chwilę!...

Zatrzymała się.

— Mniemałam, — mówiła daléj, — że mężczyzna nigdy nie powinien opuścić kobiety, w położeniu w jakiém ja się znajdowałam. Zostałam *opuszczoną*, musiałam się niepodobać. Zapewne w czém uchybiłam: byłam może zbyt kochająca, zbyt poświęcająca się, albo też wymagałam za wiele; sama nie wiem. Nieszczęście oświeciło mnie. Długi czas będąc oskarżycielką, poświęciłam się zostać występną. Niebyłam dość zręczna aby zachować kochanka: los aż nazbyt mnie ukarał za mą niezgrabność. Umiem tylko kochać: a jakże myśléć o sobie gdy się kocha. Uległam, kiedy mogłam władać. Ci co mnie znają, mogą mnie potępić, lecz szacować będą. Cierpienia moje nauczyły mnie aby się więcéj nie wystawiać na zdradę. Nie pojmuję jak żyję jeszcze, wytrzymawszy boleści piérwszych ośmiu dni, co nastąpiły po tém przesileniu, najokropniejszém w życiu kobiéty. Trzeba trzy lata przeżyć tak samotnie jak ja przeżyłam, aby zdobyć siłę do mówienia, jak ja teraz, o téj boleści. Konanie kończy się zwykle śmiercią; a walka mojego ko-

nania jest bez grobu i spoczynku. Ach ileż ja wycierpiałam!

I Hrabina wzniosła piękne swe oczy ku niebu, zwierzając mu pewnie to, czego nieznajomy usłyszeć nie był powinien.

W téj chwili Emma była wymowną i piękną, można by powiedzieć zalotną, gdyby ten wyraz nie był za mocnym. Oddając sobie sprawiedliwość, kładąc pomiędzy sobą a miłością jak największe zapory, podniecała zapał wszystkich uczuć młodzieńca: im bardziéj cel podwyższała, tém lepiéj wystawiała go na widok, i żądzę osiągnienia go obudzała.

Zwróciła potém spójrzenie na Leona, ze zbyt ujmującym wyrazem, udzielonym wspomnieniem przeszłych cierpień; potém odezwała się spokojnie:

— Teraz Pan wiész dla czego muszę pozostać zimną i samotną.

Leon uczuł gwałtowną chęć upaść do nóg téj kobiety tak szczytnéj rozsądkiem i obłąkaniem: lękał się jedynie wydać śmiesznym w jéj oczach. Powściągnął więc zapał swój i myśli, doświadczał zarazem obawy, że ich niezdoła godnie wynurzyć, i bojaźni straszliwego odmówienia lub szyderstwa, zdolnego oziębić najbardziéj rozpłomienioną duszę! Przymus jednakże wstrzymywania uczuć wydzierających się z głębi jego serca, sprawił mu dokuczliwą boleść,

znaną ludziom nieśmiałym lub wyniosłym, zmuszonym żądze swe pokrywać.

— Dozwól mi pani oddać się największemu ze wzruszeń, jakich kiedykolwiek w życiu doznałem, wyrażając ci to, co teraz czuję. Wznosisz moje serce! czuję niewysłowioną potrzebę całe moje życie poświęcić na wygładzenie z twojéj pamięci cierpień doznanych, pragnę cię kochać za tych wszystkich co cię nienawidzili lub obrazili. Lecz jest to wybuch zbyt nagły: dzisiaj nic nie usprawiedliwia tego życzenia, które powinienem był zachować w najgłębszych tajnikach mego serca, i....

— Dosyć tego, mości panie — rzekła Hrabina.— Zbyt daleko obojeśmy zaszli. Chciałam pozbawić wszelkiéj surowości odmówienie, przez powinność mi nakazane, wytłumaczyć ci smutne jego powody, nie zaś nowe hołdy zjednywać sobie. Zalotność przyzwoitą jest tylko dla szczęśliwéj kobiety. Wierzaj mi, pozostańmy obcemi dla siebie. Późniéj dowiesz się, że nie trzeba zawiérać związków, które koniecznie kiedyś rozerwane być mają.”

Westchnęła z lekka, zmarszczyło się jéj czoło, lecz wkrótce zwyczajną przybrało pogodę.

Nastąpiła chwila milczenia, po któréj dodała wstając, aby zmusić swojego gościa do wstania:

— Przybywając do mnie, niespodziewałeś się bynajmniéj słyszeć morały.

Leon uczuł się w téj chwili bardziéj oddalonym od téj osobliwszéj kobiety, niżeli w chwili wejścia swojego do jéj domu. Spokojna oziębłość tych ostatnich wyrazów, osłupiające sprawiła na nim wrażenie. Starał się przypisać urok przeżytéj tak rozkosznie godziny blaskowi jéj dowcipu; pożegnał ją w milczeniu, i wracając usiłował pojąć prawdziwy charakter, téj tak słabéj i tak mocnéj zarazem istoty; lecz widział ją przybierającą tyle zmiennych odcieni, iż nie mógł sobie prawdziwego o niéj utworzyć wyobrażenia. Srebrzysty dźwięk jéj głosu jeszcze mu się w uszach rozlegał, a wspomnienie tyle użyczało wdzięku jéj poruszeniom, jéj spójrzeniu, iż po tym odbytym przeglądzie, jeszcze bardziéj uczuł się zakochanym. Śród otaczającéj ciemności, przyświecała mu nieporównana piękność Hrabiny. Każde z doznanych wrażeń inne obudzało, wykrywając mu nowe powaby umysłu i postaci, zrazu niepostrzeżone.

Wpadł wówczas w owo zamyślenie bez celu, śród którego najjaśniejsze myśli walkę staczają z najciemniejszemi, i do chwilowego obłąkania przyprowadzają duszę. Trzeba być młodym, aby wykryć i zrozumieć wszystkie tajniki takowéj poezyi, którą ogarnione serce napadają najprawdziwsze i najdziksze myśli, a z których zwykle ulega ostatniéj, i pełnéj nadziei lub rozpaczy, wedle dziwactwa niezna-

nej jakowejś potęgi. W dwudziestym trzecim roku życia, skromność jest zwykle panującém uczuciem w młodzieńcu. Nieśmiały jest i lękliwy jak dziewica. Lęka się źle miłość swoję wyrazić; same tylko widzi trudności i przestrasza się niemi; drży że się nie zdołał podobać; byłby śmiałym gdyby mniéj kochał. Im bardziéj pojmuje cenę szczęścia, tém mniéj wierzy, ażeby ukochana udzielić mu go raczyła. Gdy przypadkiem bożyszcze jego zbyt jest poważne, ubóstwia je tajemnie i zdala: jeśli nie jest odgadnionym, miłość jego tłumi się i znika. Nieraz, młoda takowa namiętność, zamarła w młodem sercu, pozostaje w niém z całym urokiem ułudzeń swoich. Którenże człowiek nie żywi podobnych wspomnień dziewiczych, które poźniéj obudzając się, coraz nowemi wdzięki ozdobne, przynoszą mu widziadło doskonałéj szczęśliwości; wspomnień, podobnych do dzieci zmarłych w kolebce, których matka uśmiech tylko znała.

Leon powrócił od Hrabiny pełen najzagorzalszych uczuć i postanowień do ostateczności przywiedzionych. Emma stała się dla niego warunkiem przyszłego istnienia: wolał raczéj umrzeć, niżeli żyć zdala od niéj. Zbyt jeszcze młody aby nie miał doświadczyć owego rodzaju czarów, które doskonała kobiéta wywiéra na młode i namiętne dusze.

Zbyt prawdziwie zakochany, aby mógł spoczynku kosztować, Leon wstał, i zaczął pisać listy, żaden z nich niezadowolnił go, i wszystkie spalił.

Nazajutrz poszedł znowu ku domowi Hrabiny, lecz dopiero gdy noc rozpostarła swe cienie, bo się lękał być postrzeżonym przez Emmę. Uczucie, któremu wówczas był posłusznym, należało do tak tajemniczych duszy usposobień, iż potrzeba być młodym, lub w podobnym znajdować się przypadku, ażeby pojąć wszystkie jego nieme uszczęśliwienia i dziwactwa; uczucie tak niepojęte, iż pewno wzruszyliby na nie ramionami wszyscy co są tak szczęśliwi, w rzeczywistém świetle spoglądać na życie.

Po najokropniejszych wahaniach, Leon napisał do Hrabiny list następujący:

»Pani!

» Tak wielką potęgę wywierasz na mojém sercu, duszy, i całéj mojéj istocie, iż dzisiaj los mój zupełnie od ciebie zależy. Nie rzucaj w ogień listu mojego. Bądź tak wspaniałomyślną i racz go przeczytać. Może mi tę pierwszą wybaczysz frazę, gdy poznasz, że to nie jest wyznanie pospolite i interesowne, lecz wyrażenie najnaturalniéjszych uczuć. Może cię skromność próśb moich poruszy, pomnąc że je wzbudza przekonanie o niższości mojéj, i jak wielką potęgę postanowienie twoje na życie moje

wywiera. W moim wieku, Pani, kochać tylko umiem, nie wiem zupełnie co może podobać się kobiécie, lub ją uwieść; lecz czuję w mojém sercu upajające ku niéj uwielbienie. Niepowściągnionym popędem czuję się uniesionym ku tobie, bo niewysłowioną rozkosz mi sprawiasz; myślę o tobie z całem samolubstwem, które zawsze tam nas pociąga gdzie czujemy ogień żywotny. Nie sądzę się być godnym ciebie. Nie, młody, nieświadomy, lękliwy, nie mniemam się być zdolnym użyczyć ci ani tysiącznéj części owéj szczęśliwości, któréj doznaję patrząc na ciebie, słuchając cię. Ty dla mnie jesteś jedyną kobiétą na świecie. Nie pojmując jak żyć będę mógł bez ciebie, postanowiłem opuścić mój kraj, probując czy gdzie indziéj śmierci prędkiéj i chlubnéj nie znajdę. Czyż miłości bez granic zwalczać nie potrzeba jakowém postanowieniem, także granic nie mającém? Lecz jeśli zechcesz zostawić mi nadzieję, że będziesz przynajmniéj choć przyjaciółką moją, zostanę. Pozwól mi przepędzać obok siebie, rzadko nawet bardzo jeśli tego wymagasz, kilka godzin podobnych do tych, które podejściem uzyskałem. To znikome szczęście, które wolno ci będzie zakazać, za najmniejszém słowem zbyt gwałtowną tchnącém namiętnością, wystarczy na poskromienie zapału krew moję burzącego. Ale czyż nie nazbyt wzniosłe powziąłem wyobrażenie o two-

jej wspaniałomyślności, błagając cię ażebyś zezwoliła na to, co mnie tylko jedynie ma uszczęśliwić? Potrafisz aż nadto okazać światu, dla którego już tyle uczyniłaś ofiar, że niczem jestem dla ciebie. Jesteś Pani, tak przezorną i tak dumną! Czegóż masz się lękać? Chciałbym ci całe moje wywnętrzyć serce, ażeby cię przekonać, że pokorna prośba moja, żadnych potajemnych nie ukrywa myśli. Prosząc cię o przyjaźń, nie byłbym ci powiedział, że miłość moja jest bez granic, gdybym choć najlzejszą żywił nadzieję, że kiedyś podzielić raczysz uczucia, zagrzebane w najskrytszych tajnikach serca mojego. Nie, będę tym obok ciebie, czym mi być rozkażesz, bylebym tylko był przy tobie. Jeśli mi odmówisz, a możesz to uczynić, nie będę szemrał: oddalę się' Jeśli później, inna jak ty kobieta, czemkolwiek dla mnie będzie, miałaś Pani słuszność; lecz jeśli umrę wiernym mojej miłości, może mnie choć pożałować raczysz. Nadzieja że na chwilę przynajmniej z żalem o mnie wspomnisz, troski moje osłodzi, i będzie całą zemstą niepoznanego serca."

Potrzeba być świadomym wszystkich nieszczęść i męczarni, jakowe wiek młodzieńczy uczuć jest zdolnym; aby pojąć udręczenie którego doświadczył Leon, sądząc że pierwszy list jego miłośny, znajduje się już w ręku Hrabiny.

Widział Emmę zimną, szyderczą, żartującą z miłości, jak wszystkie istoty co w nią więcej nie wierzą. Z duszy chciałby był nazad list swój odebrać. Uznawał go teraz dziwacznym, przychodziło mu tysiąc i jedna myśli lepszych daleko, albo daleko czulszych od nic nieznaczących jego wyrażeń. Starał się nie myśléć, nie czuć; lecz czuł, myślał i cierpiał.

Gdyby miał lat trzydzieści, byłby się upił na rozpacz, lecz naiwny młodzieniec nie znał ani dobroczynnych skutków opium, ani sposobów wykwintnej oświaty. Nie miał przy sobie żadnego zowych przyjaciół, coby mu uczynnie powiedział: *Pete non dolet!* podając butelkę szampana, na ukojenie cierpień niepewności.

Nakoniec Leon następną odebrał odpowiedź.

» Nadto surowo mnie Pan karzesz, za uprzejmość z jaką mu oszczędziłam przykrości odmówienia, i za złudzenie jakie zawsze dowcip i dobroć serca na mnie wywiéra. Zaufałam szlachetności młodzieńczego wieku; a Pan mnie zwiodłeś. A jednakże wyraziłam Panu, jeśli nie zzupełną otwartością serca, a to by tak bardzo było śmiesznem, wyraziłam mu jednak szczérze całe moje położenie, ażeby dać pojąć twojemu młodemu sercu, jak bardzo bym była występną, gdybym dopuściła więcej poufałe pomiędzy nami zbliżenie, i nie umiała sobie odmówić szczęścia zawarcia z nim przyjaźni.

Jestem z przyrodzenia dobrą i tkliwą; lecz okoliczności zmuszają mnie być złą. Inna kobieta byłaby list Pański spaliła nie przeczytawszy go, a ja go przeczytałam i odpowiadam jeszcze. Uwagi moje przekonają go, że jeśli nie jestem nieczułą na wyrazy uczucia, którem wzbudziła nawet mimowolnie, daleką jednak jestem od dzielenia go, a moje postępowanie jeszcze ci lepiej szczerość mej duszy objawi. Chciałam prócz tego użyć władzy którą mi nadałeś nad twojem życiem, i ten jedyny raz pragnę ją wywrzeć, aby zedrzeć zasłonę oczy twoje pokrywającą.

Niezadługo mieć będę lat trzydzieści, a Pan zaledwie masz dwadzieścia i dwa; sam jeszcze nie wiesz jakie twe myśli będą, gdy dojdziesz do mojego wieku. Przysięgi, dzisiaj tak łatwe, może ci się wówczas bardzo trudnemi wydadzą. Dzisiaj chętnie temu wierzę, iżbyś mi bez żalu całe oddał życie, może byś nawet umrzeć potrafił dla znikomej rozkoszy; lecz gdy będziesz miał lat trzydzieści, doświadczenie odejmie ci siłę czynienia mi codziennych ofiar, a ja głęboko bym była upokorzoną przyjmując je. Kiedyś wszystko, sama nawet natura, rozkaże opuścić cię, a powtarzam ci, iż przekładam śmierć nad opuszczenie. Widzisz że nieszczęście nauczyło mnie przewidywać i czynić rachuby. Widzisz że mogę rozumować, bo nie jestem namiętnością uniesiona.

Przymuszasz mnie Pan powiedzieć, że go bynajmniej nie kocham; żem niepowinna, nie mogę, nie chcę cię kochać. Jużem przebyła ową chwilę, w której kobieta ulega nierozważnemu serca uniesieniu, nie mogę być zatém kochanką której szukasz. Jedynie od Boga, nie od ludzi, pociechy spodziewać się mogę. Prócz tego, zanadto jasno czytam w sercach, przy smutném świetle zdradzonéj miłości, ażebym przyjęła tę przyjaźń, któréj się domagasz, którą mi ofiarujesz. Własne łudzi cię serce, i więcéj spodziewasz się po mojéj słabości, niżeli po twéj mocy. Jestto tylko dzieło instynktu, i wybaczam ci ten dziecinny podstęp, gdyż nie jesteś jego wspólnikiem. Rozkazuję ci, w imię tej chwilowéj miłości, w imię twego życia, wimię spokojności mojéj, ażebyś pozostał, i nieopuszczał zaszczytnego, pięknego zawodu, dla złudzenia, które koniecznie zgasnąć kiedyś musi. Późniéj, gdy spełniwszy prawdziwe swoje przeznaczenie, rozwiniesz wszelkie uczucia oczekujące mężczyznę, ocenić potrafisz moję odpowiedź, którą może w téj chwili o zbytnią oskarżać będziesz oziębłość. Wówczas, znajdziesz może znowu z przyjemnością starą niewiastę, któréj przyjaźń będzie wtedy mogła ci się wydawać miłą i szacowną; nie będzie podległą ani zmianom namiętności, ani odczarowaniu życia, a wyobrażenia religijne zachowają ją czystą i nieskażoną.

Żegnam Pana, bądź mi posłusznym, pomyśl, że pomyślność twoja umili moję samotność, i tyle tylko o mnie pamiętaj, ile się o oddalonych pamięta przyjaciołach."

Leon przeczytawszy ten list, następujące odpisał słowa:

»Pani! gdybym przestał cię kochać, przyjmując możność stania się pospolitym człowiekiem, na los bym mój zasłużył!.... sama to przyznaj!.... Nie, nie będę ci posłusznym; poprzysięgam ci wierność, a sama tylko śmierć zdolna będzie rozwiązać tę przysięgę. Lękaj się wyrzutów sumienia, jeśli odrzucisz ofiarę mego życia, moich nadziei, całej mojej przyszłości."

Gdy służący wrócił odniosłszy tę odpowiedź, spytał go Leon:

— Komu bilet mój oddałeś?

— Saméj pani Hrabinie. Właśnie wsiadała do powozu. Zdaje się iż w daleką wybiérać się musi drogę, bo kocz był mocno wypakowany.

Leon szybko wziął przedsięwzięcie, i równie go szybko wykonał. Hrabina zaprowadziła go aż do Włoch, nie wiedząc że za nią goni.

Hrabina przybywszy do Szwajcaryi, najęła sobie tymczasowo mały letni domek nad jeziorem genewskiém. A pewnego wieczora, o zmroku, Leon

u nóg jéj klęczał. Podziwienie jéj dozwoliło Leonowi zachwycającym wymówić głosem:

— Z jakąż rozkoszą brałem konie, które ciebie wiozły!

Tak dobrze być wysłuchaną w najtajniejszych swoich życzeniach! Któraż kobieta nieuległaby podobnemu szczęściu?

Emma nie jadąc już daléj, pozostała w Szwajcaryj. Przemieszkała lat trzy w domku nad jeziorem. Domek ten był mały lecz kształtny, otoczony szerokiemi gankami pełnemi kwiatów, zasłonionemi tajemniczemi markizy, wszystko tam radością jaśniało. Ale ważne sprawy przywołały Leona do własnego kraju, ojciec i brat jego poumierali. Musiał opuścić geneweńskie nadbrzeża. Emma udała się za nim, i nabyła sobie w pobliżu jego dóbr niewielką posiadłość. Leon podwoił roczną pensyą owdowiałéj swéj matce, aby okupić milczące pozwolenie życia zdala od stolicy w swych dobrach, zupełnie według swego upodobania.

Tam kochankowie znowu pomiędzy sobą i światem położyli granicę, któréj ani towarzyskie myśli, ani osoby przebyć nie były zdolne, i znowu ujrzeli się tak wolni i szczęśliwi jak w Szwajcaryi. Przez dziewięć lat kosztowali szczęścia, które napróżno byłoby opisywać; rozwiązanie téj powieści da po-

znać jego rozkosze tym, których dusza zdolną jest pojąć poezyę, w nieskończonych jéj odcieniach.

Małżonek Emmy najlepszego tymczasem używał zdrowia, nic tak bowiem nie dopomaga do życia, jak pewność, że śmierć nasza ma kogoś uszczęśliwić. Hrabia Lwoski był jednym z owych ironicznych i upartych ludzi, podobnych tym co dochód dożywotni dziedziczą, czującym większą rozkosz niżeli wszyscy inni, gdy co rano jak najzdrowsi wstają. Można z tąd łatwo wnosić, iż upór jego nieprzełamaną stawił zaporę. wszelkim staraniom o rozwód, którego prawo jéj dozwalało, a tym sposobem zawarciu nowych związków.

Po dziewięciu latach szczęścia, jakie rzadko staje się udziałem śmiertelnych, Leon i Emma znajdowali się w tém samém naturalném i krytyczném położeniu, jak przy zawarciu związków swoich. Ale teraz nastąpiło okropniejsze jeszcze przesilenie.

Matka Leona dotąd udawała, jakoby nie miała najmniejszéj wiadomości o związku syna z Emmą; nigdy jéj imienia w jego przytomności nie wymówiła; była to prócz tego cnotliwa i zimna osoba, i z jak największą prawnością uszczęśliwiła Hrabię Sylfowskiego. Pomimo jednak tego milczenia Emma dobrze uwiadomioną była, że godna matrona jak najzawziętszą jest jéj nieprzyjaciółką, i prędzéj czy późniéj całéj swéj powagi użyje na zerwanie

związków jego i zapewnienie mu świetnego losu korzystném małżeństwem. Teraz niespodzianie uwiadomiła Hrabina syna swojego, iż pragnie lato w dobrach jego przepędzić. Niepodobna było odrzucić tych odwiedzin, chociaż przerwać miały codzienne widywanie się z ukochaną; Hrabina Sylfowska bardzo naturalnie nie chciałaby przyjąć Emmy do siebie, a jeszcze mniej oddać jéj wizytę. Przywiozła nadto do swego towarzystwa daleką swą krewną, Gustawinę Różalską, młodą piękną panienkę, posiadającą jeszcze nieocenioną zaletę, iż była jedną z najbogatszych w Krakowskiém dziedziczek.

Cztery owe osoby ujrzały się więc we wzajemném położeniu, odpowiedniém cyfrom arytmetycznego działania. List następny, który Leon niespodzianie pewnego poranku odebrał, rozwiązał okropne problema, które od miesiąca nadaremnie Emma starała się wytłumaczyć sobie.

» Najukochańszy! nie jest że to niedorzecznością pisać do ciebie, kiedy się codziennie widujemy, kiedy nasze serca nic skrytego dla siebie nie mają gdy nic nas nie rozdziela, gdy pieszczoty nieraz, nam służą za mowę, a sama już mowa jest pieszczotą. Lecz są rzeczy o których kobiéta nigdy ze swoim kochankiem ustnie mówić nie będzie; sama myśl o tém już jéj głos odbiéra, i wszystką

krwią zalewa serce; traci całą odwagę i dowcip. Znajdować się w takim stanie obok ciebie wielkie sprawia mi cierpienie, a jednak często się tak znajduję. Czuję że moje serce powinno być samą tylko prawdą dla ciebie, nieukrywać przed tobą żadnéj swéj myśli, nawet najulotniejszéj, a to nieprzymuszone, bez żadnego namysłu zaufanie, jest dla mnie zbyt lubém, zbyt mocno łączy się z całym utworem mojéj istoty, ażebym dłużéj wstanie takowym pozostać mogła. Muszę ci więc powierzyć moje obawy, tak jest, obawy. Ukochany! pozwól mi powtórzyć sobie, to, co ci tyle razy w błogich chwilach naszej szczęśliwości powtarzałam. Małżonku serca mojego i wyboru, małżonku mój przed wszystko widzącém okiém Boga, pozwól sobie powtórzyć iż zatarłeś wspomnienie nawet boleści pod których ogromem niegdyś jęczałam. Ty jeden dałeś mi poznać miłość. Potrzeba było twéj młodzieńczéj niewinności, całéj czystości twéj wielkiéj duszy, aby zadowolić serce zbyt wymagającéj kobiety. Nieraz też serce to drżało z radości, myśląc że przez owe dziewięć lat, tak szybkich i tak długich, ani na chwilę nie dałeś mi powodu do zazdrości. Dla mnie były wszystkie kwiaty twéj duszy, wszystkie twoje piérwotne myśli. Najlżéjsza chmurka nie zasępiła naszego nieba, niewiedzieliśmy co to jest ofiara, zawsze natchnieniu serca posłuszni. Za-

kosztowałam najwyższego szczęścia jakiego tylko kobieta zakosztować może. Łzy ktoremi list ten roszę, powiedzą ci jak bardzo jestem wdzięczną! — Pragnęłam go na klęczkach napisać! Ależ, ach szczęśliwość ta dała mi poznać okropniejszą daleko męczarnię niżeli samo opuszczenie! Najdroższy, serce kobiety, nie zgłębione tajniki: aż do dziś dnia sama nieznałam całéj ich obszerności, jak niewiedziałam do jakiego stopnia miłości dojść może. Największe nieszczęście, co nas samych tylko obarcza, niczém jest w porównaniu z pomysłem nawet o nieszczęściu ukochanéj istoty. A jeśli jeszcze sprawcami jesteśmy tego nieszczęścia? Smierć byłaby daleko znośniejszą.... Oto myśl co mnie udręcza. Lecz pociąga za sobą inną, daleko przykrzejszą, pozbawia miłość całéj godności, czyni ją upokorzeniem i cały urok życia odbiéra. Ty doszedłeś już lat trzydziestu, a ja mam czterdzieści. Jakąż to obawą ta różnica wieku przenika kochającą kobiétę! Z razu mimowolnie, potem na prawdę mogłeś uczuć ofiarę którąś uczynił, wyrzekając się wszystkiego dla mnie na świecie! Myślałeś może o towarzyskiem twoim losie, o tém małżeństwie co ma powiększyć twój majątek, dozwolić ci przyznać się do twego szczęścia, do twoich dzieci, przekazać im swe dobra, ukazać się z chlubą pośród świata na miejscu przeznaczonem dla ciebie. Lecz pow-

ściągałeś te myśli, szczęśliwy iż mimo mej wiedzy, poświęcić mi możesz piękną dziedziczkę, majątek, świetną przyszłość."

»W młodzieńczej wspaniałomyślności, pragnąłeś być wiernym przysięgom, łączącym nas w obliczu tylko samego Boga! Przeszłe moje boleści stanęły zapewne przed tobą, i nieszczęście z którego mnie wyrwałeś, moją obroną się stało. Być winną miłość twoję litości! Myśl ta jest dla mnie daleko okrutniejszą, niżeli myśl żeś mi swą przyszłość poświęcił! Litościwym jest ten co zabija swą kochankę, szczęśliwą, niewinną, w całym blasku pierwszych układzeń.... Tak, śmierć znośniejszą jest od tych dwóch myśli, co od kilku dni wszystkie moje zatruwają godziny. Wczoraj, gdyś tak łagodnie mnie spytał: — Co ci jest?.... głos twój dreszczem mnie przejął. Mniemałam że podług zwyczaju czytasz w mej duszy, i oczekiwałam twego zwierzenia, wyobrażając sobie żem prawdziwe miała przeczucie odgadując rachubę twojego rozumu. W tej chwili srodze opłaciłam moje szczęście; uczułam że skarby miłości zawsze okupione być muszą. I w istocie, czyż nas los nie rozdziela? Powiedziałeś sobie bezwątpienia: prędzej czy później będę musiał opuścić biedną Emmę, dla czegóż w sposobną chwilę z nią się nie rozstać? Ta myśl wyrytą była w głębi twojego spójrzenia. Oddaliłam się, i poszłam pła-

kać zdala od ciebie. Ukrywać przed tobą łzy moje!,.. piérwsze to, które zmartwienie od lat dziesięciu mi wycisnęło, a zbyt jestem dumna ażebym ci okazać je miała; ale jednak nieoskarżałam cię. Masz słuszność; niepowinnam posiadać tyle samolubstwa, ażeby chcieć nazawsze połączyć twe świetne i długie życie, z okwitłem i gasnącem prawie życiem mojem. Lecz jeślim się omyliła! jeślim jaką miłośną tęsknotę wzięła za zimną rachubę rozsądku! ach! drogi! nie pozostawiaj mnie w téj wątpliwości ukarz zazdrosną twoję małżonkę, lecz powróć mi przekonanie o mojéj, o twojéj miłości! Cała istność kobiety polega na tém świętém zaufaniu! Od przybycia twéj matki, od czasu jak codziennie stosunki domowego życia zbliżają cię do panny Różalskiéj, jestem pastwą wątpliwości hańbiących nas oboje. Wystaw mnie na cierpienie, lecz nie zwódź wszystko chcę wiedzieć, i to co ci matka mówi, i to co myślisz! Jeśli wahałeś się choć na chwilę między kim innym a mną, powracam ci wolność...... Ukryję los mój przed tobą, potrafię nie płakać w twojéj obecności; tylko nie chcę cię już więcéj widzieć... Ach! muszę się zatrzymać bo serce mi pęka.......

„Martwą i niemą przez kilka chwil pozostawałam.... Przyjacielu, nie będę z tobą dumna.... ty jesteś tak dobry! tak szczery! ty byś nie chciał ani sprawiać mi przykrości, ani mnie zwodzić. Powiesz

mi prawdę, jakkolwiek srogą będzie. Czy chcesz ażebym dodała zachęty twojemu wyznaniu? Więc dobrze! słuchaj, serce moje! pocieszy mnie myśl niewieścia. Należałeś do mnie, w całym kwiecie twych uczuć, w całej czystości i piękności uroku młodzieńczych powabów, nie posiadałam-że Leona, którego żadna inna kobieta znać nie będzie.... Nie byłamże pierwszą, najtkliwszą twoją miłością?.. Nie, już tak kochać nie będziesz jak mnie kochałeś, jak mnie kochasz; nigdy mieć nie będę rywalki. nie będą gorzkiemi moje wspomnienia, gdy pomyślę o naszéj miłości, a ona jest jedyną moją myślą. Teraz nie w twojéj jest już mocy oczarować kobietę owym młodzieńczym piękności powabem; ową wzajemną serc współczułością, owém szybkiem i namiętném uczuć wyrażeniem, co urok pierwszéj miłości stanowią. Ach! jesteś na zawsze moim! Leonie, teraz stałeś się dojrzałym mężczyzną, będziesz posłuszny twojemu przeznaczeniu. Starania, wszelkiego rodzaju niespokojności, pozbawią *ją* owego stałego, niezmiennego uśmiechu, którym usta twoje dla mnie ciągle były upięknione. Głos twój, dla mnie zawsze tak łagodny, nieraz przykrym się stanie. Oczy twoje, tak niebiańskim na widok mój ożywione blaskiem, zasępią się dla *niéj*. A potém, ponieważ nie podobna kochać cię tak jak ja kochałam, nigdy ta kobieta tyle co ja podo-

bać ci się nie zdoła. Nie będzie miała téj nieprzerwanéj sama o sobie staranności, tego ciągłego zajęcia się twojém szczęściem, do którego nigdy nie zabrakło mi pomysłów. Tak jest, Leon którego ja znałam, serce które nazywałam mojém, dla żadnéj innéj istnieć już nie będą, pogrzebię oboje w mojém wspomnieniu, aby się ciągle cieszyć niemi, aby żyć szczęśliwa pięknem życiem przeszłości, prócz nas nikomu więcéj nie znaném."

› Najmilszy! gdybyś jednak najlżéjszéj nie powziął myśli o oswobodzeniu się, jeśli ci miłość moja nie cięży, jeśli urojonemi są moje obawy, jeśli zawsze dla ciebie jestem twoją Emmą, jedyną kobietą dla ciebie na świecie, przeczytawszy ten list, przychodź!... przybiegaj!..."

› Ach! w téj chwili zdaje mi się że cię daleko więcéj kochać będę, niżelim przez wszystkie dziewięć lat kochała!"

› Po bezpotrzebnéj męczarni podejrzeń, o które sama siebie obwiniam, każden dzień dodany do naszéj miłośei, tak, choćby jeden tylko dzień, będzie całém życiem uszczęśliwienia. Mów więc. Bądź szczerym: nie zwodź mnie! — byłoby to zbrodnią. — Mów!... Chceszże wolności? Czy zastanowiłeś się nad mězkiém twojém życiem? Czy żałujesz czego? Ja miałabym być przyczyną abyś czego żałował?... ach! umarłabym raczéj... Jużem ci powiedziała:

Zbyt cię kocham, abym nie miała przekładać twojego szczęścia nad moje, twoje życie wyżéj daleko niż moje cenić. Wygładź z twéj pamięci bogate wspomnienie dziewięciu lat naszego szczęścia, ażeby na postanowienie twoje najmniéjszego nie miały wpływu; lecz mów! Będę ci uległą jak Bogu jedynemu pocieszycielowi, który mi pozostanie jeśli mnie opuścisz,"

Podczas gdy nieszczęśliwa Hrabina oczekiwała losu swojego, Leon list jéj przeczytawszy w wielkiém był *zakłopotaniu*. Uległ już prawie naleganiom matki i powabom Gustawiny, mało znaczącéj istoty, wysmukłéj jak topol, białéj i rumianéj, i prawie zawsze milczącéj. Lecz czyż potrzebowała mówić, jéj 200,000 talarów aż nadto za nią przemawiały.

Hrabina Sylfowska przez zbytek macierzyńskiej czułości, starała się nawrócić syna do cnoty. Wystawiała mu, jak pochlebnie dla niego, iż go Gustawina nad innych przenosi, gdy takie mnóstwo najbogatszéj młodzieży o jéj rękę się ubiega; że czas już o losie swoim pomyśleć; że tak piękna sposobność drugi raz się nie zdarzy; że majątek ze wszystkiego może pocieszyć; że jeśli Hrabina Lwowska kocha go jedynie dla niego samego, najpierwsza powinna go do tego nakłonić. Słowem, dobra matka niezapomniała żadnego ze sposobów,

którcmi kobieta wpływ na mężczyznę wywiera. Dokazała też tego, iż Leon zaczynał się wahać.

List Emmy przybył w chwili gdy Leon passował się ze wszystkiemi złudzeniami, jakie miadało dla niego świetne życie na wielkim świecie, i posiadanie ogromnego majątku. List ten ukończył walkę. Postanowił opuścić Hrabinę i z Gustawiną się ożenić.

—Trzeba nakoniec umieć być człowiekiem! rzekł sam do siebie.

Potém, domyślił się wszystkich cierpień, które postanowienie jego sprawi kochance. Próżność wrodzona mężczyznom i przekonanie kochanka, jeszcze bardziej je w jego oczach zwiększały, i szczera ogarnęła go litość. Uczuł nagle owo niezmierzone nieszczęście, i sądził potrzebą, litościwym uczynkiem, śmiertelną ową ranę zabliźnić, jak najlepiej tylko będzie można. Spodziewał się przywieść Emmę do nieco spokojniejszego stanu, i aby sama nakazała mu to okrutne małżeństwo, przysposabiając się stopniami do koniecznej rozłąki, zostawiając zawsze pomiędzy niemi Gustawinę, jakby widmo jakowe, poświęcając ją z razu, ażeby potém mieć ją sobie narzuconą. Spodziewał się że mu ten piękny powiedzie się uczynek, rachując na szlachetność, dumę Hrabiny, i przymioty jej duszy. Odpisał jej więc, aby uśpić jej podejrzenia.

Odpowiedź na piśmie! Dla kobiéty, co z jasnowidzeniem miłości połączała wysoką przebiegłość niewieściego dowcipu, list był wyrokiem.

Emma przeczytała: »Najukochańsza! tworzysz sobie dzikie widziadła.....

Postrzegłszy te wyrazy, gęsta zasłona powlokła jéj oczy: tajemny głos serca wołał: — Kłamie!.....

Potém wzrok jéj całą ogarniając kartę, z ową chciwą przenikliwością, jakiéj namiętności tylko udzielają, przeczytała u spodu te słowa: »Jeszcze nic z pewnością nie jest postanowione..... Pojęła teraz w jakim duchu ta odpowiedź pomyślaną i napisaną została. Podarła list na kawałki i rzuciła w ogień.

Leon odesławszy swój list poszedł na przechadzkę z damami. Za powrotem już odpowiedź leżała na jego stoliku. Z podziwieniem oderwał pieczątkę i wyczytał:

»Pani, gdybym przestał cię kochać, przyjmując możność stania się pospolitym człowiekiem, na los bym mój zasłużył!.... Sama to przyznaj!... Nie, nie będę ci posłusznym; poprzysięgam ci wierność, a sama tylko śmierć zdolna będzie rozwiązać tę przysięgę. Lękaj się wyrzutów sumienia, jeśli odrzucisz ofiarę mojego życia, moich nadziei, całej mojej przyszłości.".…

Był to bilet który napisał do Hrabiny, w chwili gdy do Genewy odjeżdżała. U spodu były dodane te słowa: — »Jesteś wolnym."

Leon pojechał z matką do Warszawy, i po kilku miesiącach, powrócił do zamku z młodą swoją żoną.

Emma nie opuściła tej okolicy. Przez mnóstwo przyczyn, które należy pozostawić zagrzebane w kobiecém sercu, a z których każda zgadnie najstosowniejsze dla siebie, nie przestała mieszkać w swéj posiadłości po małżeństwie Leona, lecz tak żyła odludnie, że nawet właśni służący nigdy ją niewidzieli, wyjąwszy garderobiannę i starego Jana. Wszystko w około niéj musiało być ciche i milczące jak w grobie, i od chwili odebrania listu Leona, nigdy nie wyszła ze swego pokoju.

W kilka tygodni po swém ożenieniu, Leon wpadł w jakiś rodzaj małżeńskiéj apatyi, która zarówno dozwalała się domyślać szczęścia lub niedoli.

Matka upewniała przyjaciół i znajomych, że syn jéj był najszczęśliwszym.

Młoda Hrabina była powolna, cierpliwa, nieco nudna, ale jednak dobra kobiéta. Wkrótce została przy nadziei, i wszystko właściwym szło trybem. Mąż był dla niéj jak najlepszym, tylko codziennie bardziéj się stawał zamyślony.

— Zawsze był tak myślącym i poważnym, mawiała matka.

W siedm miesięcy po swojém ożenieniu, powracał raz Leon wieczorem z polowania, droga prowadziła obok ogrodu Emmy; rozkazał jednemu

z robotników zawołać Jana, a gdy przyszedł, spytał go czy Hrabina zawsze jeszcze lubi zwierzynę? na potwierdzającą odpowiedź Jana, ofiarował mu znaczną pieniężną kwotę, aby kazał przyprawić dla niéj dwie upolowane przez niego kuropatwy; dodając za przyczynę, że je na własnym jéj zabił gruncie.

Janowi zdawało się wszystko jedno, czy Hrabina jeść będzie kuropatwy upolowane przez leśniczego czy przez Hrabię Leona, i przystał na jego życzenie, tym bardziéj, gdy nalegał aby Hrabina nie wiedziała od kogo pochodzi ta zwierzyna.

Od owego wieczora, nie jadła Emma innéj zwierzyny, prócz téj którą Leon potajemnie dostarczał Janowi.

Leon nakoniec tyle się ośmielił, iż raz długi do niéj napisał list, lecz go napowrót nierozpieczętowany odebrał.

Późno już było w wieczór gdy go Jan odniósł. Odebrawszy ów list, wybiegł spiesznie Leon z salonu, gdzie zdawał się słuchać waryacyi, które żona jego niegodziwie na klawikordzie brząkała; i tak spiesznie pobiegł do mieszkania Hrabiny, jak gdyby na miłośną miał się stawić schadzkę. Wskoczył do ogrodu znanym wyłomem, szedł zwolna przez aleje, zatrzymując się niekiedy, jak gdyby chciał przytłumić głośne bicie serca.

Służący byli zajęci wieczerzą, i łatwo mu było niepostrzeżenie wsunąć się aż do pokoju Hrabiny. Zwolna drzwi uchyliwszy, postrzegł ją, bladą i wychudłą, siedzącą na szezlągu z pochyloną głową, i owisłemi jak we śnie rękoma. Niepodobna ujrzeć wyrazistszego obrazu najgłębszéj boleści duszy!

Może Emma posłyszała oddech Leona, może magnetyczny pociąg miłości, co ich przez tak długie łączyła lata, mimowolnie jeszcze działał; dosyć że Emma zwolna obróciła głowę i postrzegła Leona, który naówczas o kilka kroków do niej się przybliżył.

—Jeśli krokiem jeszcze postąpisz,—krzyknęła bledniejąc,—wyskoczę tém oknem!

Na te słowa poskoczyła do okna, pod którém szumiały fale rzeczki, i stanęła na poręczy ganku.

—Wychodź! wychodź!—krzyknęła,—lub skoczę!

Na ten głos, na to spójrzenie, uciekł Leon jak przestępca.

Gdy wrócił do domu, napisał króciuteńki bilecik, zalecając służącemu aby go zaniósł natychmiast, i dodał: że tu idzie o jego śmierć lub życie.

Potém wrócił do pokoju żony, ciągle grającej waryacye, i usiadł obok niéj, oczekując na odpowiedź Emmy.

Po upłynionéj półgodzinie Hrabina grać przestała, i małżonkowie siedzieli milcząc obok siebie na

sofie, gdy lokaj wszedł i oddał panu jego list nierozpieczętowany.

Leon zerwał się i pobiegł do swego gabinetu, gdzie wracając z polowania postawił nabitą strzelbę. Wystrzał od którego aż szyby zadrżały, zakończył pełne udręczenia i nicości życie jego. Hałas i krzyk nadbiegłych—to są zwyczajne dodatki.

Aż do ożenienia Leona, cała ta powieść była codziennie wydarzającym się wypadkiem, który każdy prawie przeżył; zakończenie może tylko wyda się nienaturalném i niepospolitém: a jednak jestto czyn prawdziwy.

Ale mogęż mieć nadzieję, że któren z czytelników moich pojąć go zdoła?

Doskonałe połączenie dusz dwojga istot nie jest dziełem jednéj godziny, nie oznaką przelotnych miłostek; jak rzadki kwiat z obcéj ziemi, najtroskliwszego wymaga pielęgnowania. Ta harmonijna zgoda, to religijne prawie zaufanie, pewność że niewymownego szczęścia udzielamy ukochanéj istocie, są to tajemnice długiej i trwałej miłości. Obok kobiety, posiadającéj gieniusz płci swojéj, miłość nigdy nie stanie się nawyknieniem. Niewyczerpana jéj czułość, potrafi tysiące najrozmaitszych przybierać kształtów, jest zarazem tak dowcipną i kochającą, tyle

umie połączyć sztuki z naturą, iż zarówno staje się potężna swojem wspomnieniem jak obecnością. Obok niej gasną wszystkie inne kobiety. Trzeba albo obawiać się straty tak niezmierzonej, tak płomiennej miłości, albo zupełnie ją utracić, aby całą wartość jej poznać. Lecz jeśli poznawszy ją, mężczyzna sam się jej pozbawi i zimny zawrze związek; jeśli kobieta, przy ktorej spodziewał się tę samą znaleść szczęśliwość, dowiedzie mu, że szczęśliwość ta, nigdy już dla niego odżyć nie może; a jeśli śmiertelnie zranił prawdziwą swoję kochankę: wówczas pozostaje mu tylko umrzeć, lub posiadać ową filozofię materyalną, samolubną, zimną, którą namiętne dusze tak mocno się brzydzą.

Emma nie wierzyła, aby rozpacz kochanka mogła posunąć się do samobójstwa, sądząc może, iż sama tylko cierpi. Miała też prawo odrzucić najhaniebniejszy podział, jaki tylko istnieć może: któremu żona przez ważne towarzyskie względy nieraz poddać się musi; lecz który kochanka powinna mieć w obrzydzeniu, bo czystość jej miłości, całem jest jej usprawiedliwieniem.

Wanda Malecka.